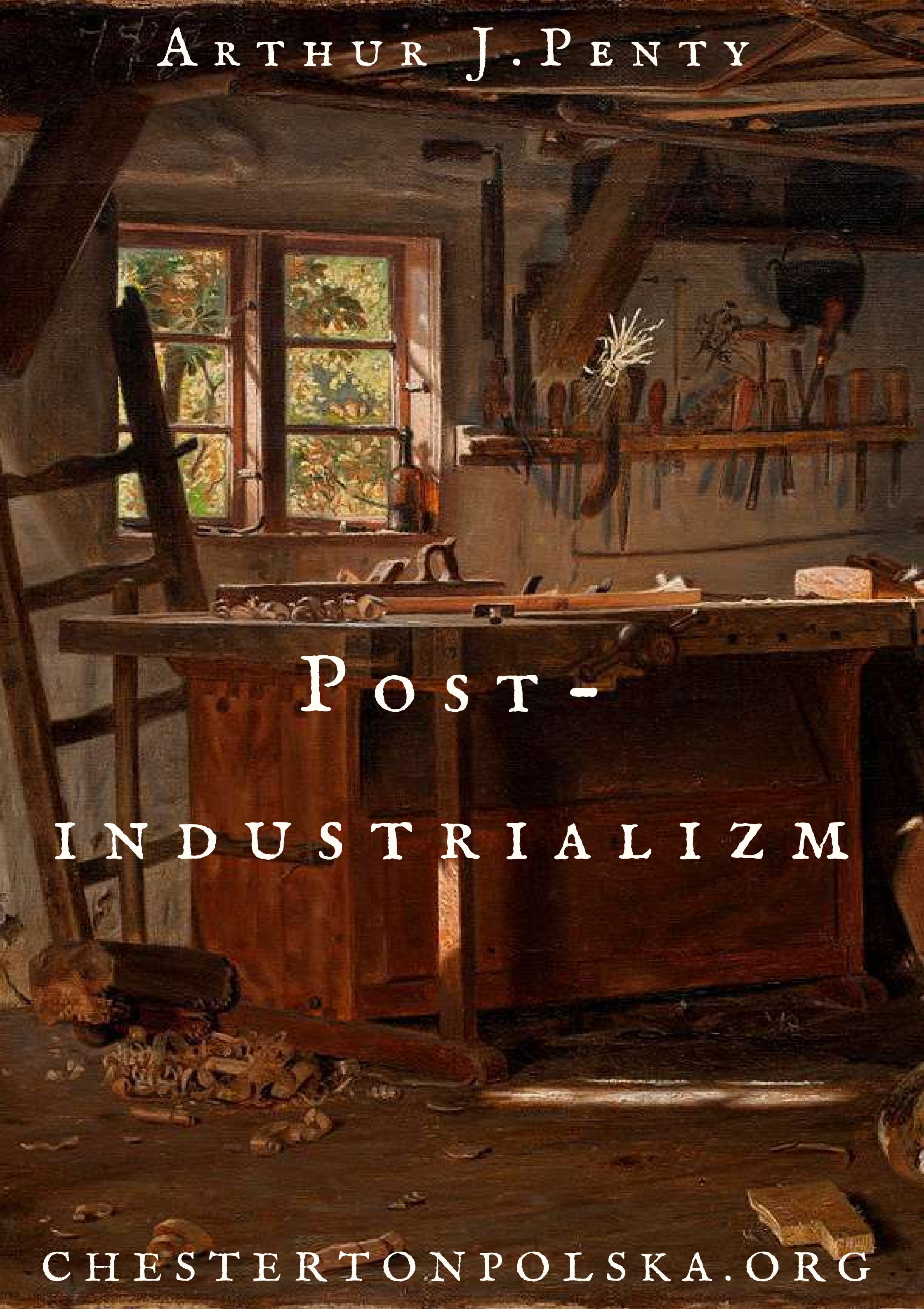
Arthur J. Penty

# Post-industrializm



chestertonpolska.org

**Arthur J. Penty**

# Post-industrializm

*Post-industrialism: 1922*

Przekład: Maciej Wąs

Chesterton Polska

2018

Ilustracja okładki:

Christen Dalsgaard: *A carpenter's workshop.*



CHESTERTONPOLSKA.ORG

## Spis treści

## Słowo od tłumacza

Tak też, po długiej i rwanej pracy, oddajemy do rąk czytelników drugie dzieło Artura Pentyego (1875-1937), angielskiego architekta, pisarza, publicysty i myśliciela politycznego, człowieka, który w swoim czasie znaczył naprawdę sporo, inspirował, porywał, przecierał nowe szlaki, i wywierał wpływ nawet na tych, z którymi się nie zgadzał (na przykład ruch tzw. *guild socialism*), a dziś pozostaje kompletnie zapomniany; i pewien jestem, że po lekturze tego dzieła ten stan rzeczy stanie się dla czytelnika czymś jeszcze bardziej tajemniczym. W porównaniu do wydanego już przez Chesterton Polska dzieła *Odrodzenie ustroju cechowego* (1906), które – choć w swoim gatunku znakomite – stanowiło publikację raczej skrótową, popularyzatorską, eksperymentalną niemal, *Post-industrializm,* pisany przecież szesnaście lat później i po straszliwych doświadczeniach pierwszej wojny światowej, stanowi dzieło prawdziwie dojrzałe, przemyślane, solidne i zwarte niemal jak średniowieczna katedra (czytelnik wybaczy tę metaforę, ale skoro rozmawiamy o architekcie, wydaje się nawet do sensu), a jednocześnie jak średniowieczna katedra pełne jest świeżości, inicjatywy i twórczej odwagi, które zapewnia mu status prawdopodobnie najlepszego i najbardziej systematycznego ze wszystkich dzieł Pentyego; i istotnie, nieprzypadkowo to właśnie je Wacław Borowy traktował jako „kwintesencjalny" wyraz poglądów tego pisarza.

Jakie to poglądy, oczywiście nie powiem; jak napisał Gilbert Keith Chesterton: pozwólmy dziełu mówić za siebie. Ja z reguły z Chestertonem nie polemizuję, więc nie będę i w tym wypadku. Na teraz, *pięć* słów zatem

dosłownie na temat tego, dlaczego *Post-industrializm* w ogóle warto przeczytać.

Po pierwsze: bo jest to dzieło otwarcie dystrybucjonistyczne; Penty pisał je po latach kontaktów ze środowiskiem Belloca i Chestertona, i to bardzo widać; nie jest to już, jak w wypadku *Odrodzenia...* ledwie zbieżność" przypadkowa" (nie umiem tego nazwać inaczej), ale już w pełni przemyślana i zamierzona. I choć Penty w jednym rozdziale dystansuje się nieco od tej perspektywy, uważny czytelnik niechybnie zwróci uwagę, że chodzi tutaj wyłącznie o bardzo ogólne, prymitywne wręcz rozumienie dystrybucjonizmu jako systemu opartego *wyłącznie* na drobnej własności prywatnej; natomiast, rzecz jasna, myśl dystrybucjonistyczna to nie tylko to – bo przecież system społeczny oparty na własności może realizować się w bardzo różnych formach („nie proponujemy ideału – proponujemy proporcję"), i omówienie ich również wchodzi w zakres refleksji, która nas tutaj interesuje. W wypadku Pentyego, forma realizacji programu dystrybucjonistycznego jest jasna: chodzi o system cechowy, któremu książka jest poświęcona właściwie w całości, bo istotnie – idea ta stanowiła *spiritus movens* całego życia tego wielkiego (nie waham się powiedzieć) myśliciela, od początku jego dojrzałości intelektualnej aż do końca ziemskiej drogi, którą przyszło mu przebyć.

Po drugie: bo, co już *implicite* zawiera się w pierwszym, jest to książka jak na dzieło dystrybucjonistyczne wybitnie *praktyczna*. Penty operuje nie tylko na płaszczyźnie historycznej i *stricte* ideowej, ale przechodzi do próby sformułowania przynajmniej bardzo ogólnego programu akcji społecznej, i czyni to, moim zdaniem, bardzo udanie, choć niewątpliwie czytelnik

współczesny będzie miał problem z przestawieniem się na odpowiednie tory myślenia, bo propozycje te wydadzą mu się w pierwszej chwili – bardzo, bardzo prawdopodobnie – po prostu absurdem. Jeśli wszakże zachowa otwartość umysłu szybko przekona się, że Penty nie był w ciemię bity i naprawdę pewne rzeczy przemyślał; znacznie lepiej, niż większość z nas. I na pewno, choć z perspektywy konkretnych warunków patrząc, jego program jest dzisiaj nie do zrealizowania (i naprawdę *warto* zapytać samego siebie czemu), to jednak na pewno jest on do zrealizowania *teoretycznie*; nie ma w nim żadnej sprzeczności, krzty utopii, krzty przesadnego aprioryzmu, w który tak często popadają myśliciele społeczni. Państwo dystrybucjonistyczne, jakiego obraz kreśli przed nami autor tej książki, to projekt realny, który do dzisiaj, mimo zmiany warunków może realnie inspirować (co *nie* oznacza bynajmniej przyjmowania wszystkiego na ślepo i bezkrytycznie), i walnie wspomóc refleksję dystrybucjonistyczną w Polsce – jak mam nadzieję (której ciemności spowijają mnie szczelnie) kiełkującą już u nas, i coraz żywszą. Penty nie był geniuszem na miarę Chestertona, ani „lodołamaczem" na miarę Belloca, *był* za to na pewno najbardziej systematycznym myślicielem i pisarzem z całej trójki – i biorąc pod uwagę różne losy tej pięknej tradycji intelektualnej, należy to odpowiednio uznać i docenić.

(Warto dodać, na odchodnym, że Chesterton – choć wypowiadał się o *Post-industrializmie z* dużym uznaniem – miał do tego planu pewne zastrzeżenia, uważając, że jest zbyt mało liberalny, co podkreśla tylko wewnętrzną żywość i otwartość tego środowiska; referując idee dystrybucjonistyczne w swojej biografii Gilberta, wspomniany już Wacław Borowy streścił dokładnie tę polemikę – i choć starał się pozostawać bezstronny, widać, że skłaniał się ku

rozwiązaniom Pentyego; przyznam szczerze, że choć Gilbert to mój mistrz absolutny, w tym wypadku mam podobne odczucia, jak nasz wielki krytyk).

Po trzecie, *Post-industrializm* okaże się niewątpliwie bardzo interesujący historycznie, i to w dwojakim sensie. Po pierwsze, Penty posiłkuje się w swojej refleksji rozważaniami dziejowymi – sięgając do średniowiecznych zasad życia społecznego jako fundamentu, na którym zaczyna budować, oraz dokładnie analizując historię socjalizmu angielskiego, zwłaszcza tzw. czartyzmu, starając się ustalić przyczynę porażki tego ruchu, co jest mu pomocne w stawianiu własnych diagnoz. Niewątpliwie, perspektywa analizy oraz dobór faktów w wielu wypadkach odkryją przed polskich czytelnikiem rzeczy dotąd mu raczej nieznane, a szalenie interesujące. Z drugiej strony, *Post-industrializm* to również osobne *świadectwo dziejów*, doskonale przybliżające – „z wewnątrz" – ducha epoki oraz naświetlające pewne pojawiające się w niej problemy. W obu wypadkach, stanowi ono także na pewno skuteczną (bo opartą w całości na faktach) „odtrutkę" na kolportowany do Polski od lat 90 w ramach antysocjalistycznej „czkawki" kapitalistyczny tryumfalizm, wybielający wszystkie zbrodnie (bo nie da się tego nazwać inaczej) tego ustroju i cieszący się, wespół z różnej maści ideologami, że tak skutecznie „eliminował" biedotę z życia społecznego („stał się cud! – biedota po prostu zniknęła!"). Co ludzie tego typu mają na myśli – nie wiem; ale wolę o tym nie myśleć, bo mam złe przeczucia.

Po czwarte, jest Penty w nurcie myśli dystrybucjonistycznej do pewnego stopnia na boku, i to bardzo dobrze; ostatecznie bowiem, dojrzały człowiek z rzadka tylko zmienia fundamentalne przekonania, a tym rzadziej, jeśli wynikają wprost z jego temperamentu – i tak też pozostaje Penty na pewno

największym *arystokratą i* konserwatystą pośród dystrybucjonistów, w dobrym tego słowa znaczeniu. Najdalej mu do ideałów angielskiego radykalizmu czy Rewolucji Francuskiej, najbliżej do hierarchicznego porządku średniowiecznych królestw, wielkiego ładu monarchii organicznej. Nie zachodzi tu sprzeczność, ale na pewno zmiana akcentów – i dobrze, bo to jest twórcze, i unaocznia tylko, z jak bogatym dziedzictwem mamy do czynienia, i ile można z niego czerpać. Dystrybucjonizm to idea, że tak powiem, „inkluzywna", która godzi, a nie dzieli; i nawet ja, z serca, temperamentu, doświadczeń i przemyśleń radykał, potrafię się z Pentym porozumieć, i dyskutować w pokoju. Daje to pewną nadzieję, że i w Polsce – choć to nie w polskim stylu – środowisko dystrybucjonistyczne potrafiłoby jednak naprawdę *łączyć*, i stać się ogniskiem prawdziwej, konstruktywnej debaty.

Po piąte, jak już wspomniałem (i to tylko drobna rekapitulacja), *Post-industrializm* poszerza horyzonty, czy może raczej serce; uczy patrzeć na gospodarkę i społeczeństwo inaczej, i szukać innych rozwiązań, o których by się nawet nie pomyślało ze względu na środowisko i wychowanie; uczy odwagi stawiania śmiałych tez, bez oglądania się na szydercze ryki konformistów religijnie niemal wielbiących *status quo* – czy prawdziwych panów sytuacji, którzy ciągną z niej (i z tych pierwszych) realne korzyści. I choć warunki zmieniły się zasadniczo, i debata nie dotyczy już kwestii „warsztatu całego świata" (bo ta rola przypada obecnie *en bloc* Trzeciemu Światu, nowemu proletariuszowi ziemi) co raczej „biura całego świata", zasadnicze zręby problemu pozostają te same; i to samo pytanie: czy odważymy się spojrzeć na nasze krytycznie, uznać błędy, wycofać się ze ślepych uliczek, odrzucić jarzmo tchórzliwego filisterstwa, małego,

zahukanego, zamkniętego, bojącego się wysokości, szydzącego ze wszystkiego co w człowieku wielkie i nierozumiejącego najszlachetniejszych pragnień jego duszy, odzyskać sumienie, zdobyć się na ideowość i „wrócić do przeszłości", czy też nie: i dalej będziemy wegetować w odcięciu od żywych źródeł cywilizacji Europy, po prostu duchowo umierając, nasz szkodę nasza i całego globu – wciąż trwa; i czeka odpowiedzi.

Odpowiadajmy wielkodusznie.

Jak zwykle: na koniec kwestie formalne; to znaczy – że ich nie ma. Penty pisał w sposób bardzo uporządkowany, logicznie, przejrzyście, że tak powiem: „spokojnie", dlatego tłumaczy się go, czyta i – co najważniejsze – *rozumie* lekko i z przyjemnością. Inaczej niż w wypadku „wielkiej dwójki", tutaj naprawdę nie sądzę, aby ktokolwiek – przy założeniu *minimum* dobrej woli – miał jakiekolwiek wątpliwości o co właściwie chodzi. Tym bardziej pozostaje mieć nadzieję, że lektura nie okaże się dla czytelnika bezowocna, i że zimna chmura zapomnienia, która spowija niezwykłą postać pewnego angielskiego architekta, zacznie się rozwiewać.

Maciej Wąs,<br>Sosnowiec<br>04 III 2018, św. Kazimierza królewicza

## Przedmowa G.K. Chestertona

Pan Penty, autor niniejszego dzieła, to jeden z dwóch czy trzech naprawdę oryginalnych umysłów świata współczesnego. Już w pierwszym rozdziale robi to, co nader często robią wszystkie oryginalne umysły: wraca do oryginalnych źródeł. Ludzie z umysłami spętanymi współczesną konwencją zawsze oskarżają podobnych myślicieli o swego rodzaju romantyczną reakcyjność. Pośród krytyków, którzy recenzowali znakomite dzieła pana Pentyego (i którzy – w niektórych wypadkach – nawet je przeczytali) pojawiła się w pewnym momencie swego rodzaju wędrowna legenda, jakoby autor ów uważał średniowiecze za złoty wiek doskonałości rodzaju ludzkiego i pragnął, aby wiek współczesny dokładnie i detalicznie je skopiował. Jego krytycy piszą zazwyczaj w taki sposób, jakby Penty nie robił nic więcej, tylko przekonywał nas, że wszyscy powinniśmy nosić szpiczaste buty i strzelać z łuku. To oczywiście kompletna bzdura, bo nawet jego historyczne studia nad średniowieczem – które rzeczywiście są historyczne – bardzo ostro obchodzą się z całą masą elementów tej epoki, które powszechnie zwykło się podziwiać; jak choćby z nabożnym podziwem dla prawa rzymskiego. Ta książka wszakże, to nie studium warunków średniowiecznych, ale współczesnych. I jedno spojrzenie na stan warunków współczesnych wystarczy, by udowodnić absurdalność oskarżania kogokolwiek o sentymentalizm za to, że pragnie rozumnej restauracji pewnych urządzeń społecznych, straconych dla Europy w wyniku przypadkowej pomyłki bądź anarchicznej anihilacji. A przecież ci sami dziennikarze, którzy tak dzielnie wojują oskarżeniem o reakcyjność, jednocześnie wypełniają swoje gazety nawoływaniami do rekonstrukcji społecznej. Jeśli Belgowie chcą odbudować swoje spalone wsie, nie piszemy, że to majaczący marzyciele, mający

przedwojenną Belgię za raj mlekiem i miodem płynący. Kiedy ktoś chce przywrócić normalne, przedwojenne zasady dystrybucji i wymiany dóbr, nie szturmujemy na niego jako na wyznawcę wyimaginowanej złotej ery. Rozpoznajemy, po prostu, że pewne normalne urządzenia narodów zostały zniszczone przez nienormalną katastrofę, i że musimy je odbudować – tak dobrze, jak potrafimy. Otóż naczelna teza pana Pentyego brzmi, że współczesny wylew rynkowości i industrializmu, mający miejsce w wieku osiemnastym i dziewiętnastym, doprowadził do nienormalnej katastrofy; i że jedyne, co nam pozostaje, to powrócić do stabilniejszego ideału społecznego, przyświecającego nie tylko wiekom średnim, ale – w mniejszym lub większym stopniu – wszystkim wiekom w ogóle – i znacznej większości rodzaju ludzkiego. To jest właśnie jego teza – i to jego koncepcja „powrotu do średniowiecza"; krytycy, jak to krytycy, powinni przystąpić do jej obalania; niemniej, obalenie jej będzie wymagało kompletnie innego rodzaju krytyki.

Ogólna zdolność powrotu do źródeł to jednak jeszcze większa sprawa; i jeśli ktoś chce ją posiąść, to czego mu potrzeba, to niezależność intelektualna. Istotnie, jest jakaś nieuświadomiona prawda w gadaninie płytkich umysłów, które oskarżają ludzi pokroju pana Pentyego, jakoby ci „nie nadążali za czasami". Bo w jednym sensie naprawdę jest on „za czasami"; w tym sensie, w jakim mówi się, że ktoś jest za kulisami. Człowiek za kulisami to człowiek widzący podszewkę i początek rzeczy. Wie, skąd wyszli aktorzy i w jaki sposób zaczęło się przedstawienie. Zobaczył całą pracującą w tle maszynerię, i naprawdę może patrzeć na sztukę jako na sztukę, a nie efemeryczną iluzję. Pan Penty naprawdę zobaczył maszynerię współczesnego świata, i nie ma o niej najlepszej opinii; zobaczył iluzję postępu i *prosperity*, roztaczaną dziś przed tłumem (a przynajmniej pewną jego częścią i przez pewien czas) –

i wie, że to tylko iluzja. To znaczny: jest dokładnie tam, gdzie ledwie tak bardzo niewielu spośród ludzi współczesnych potrafi dotrzeć – poza światem współczesnym, i w pewnym sensie wokół niego. Może swobodnie go osądzać – nie tylko na podstawie porównań z prawdziwą przeszłością, ale i zupełnie możliwą przyszłością. Istotnie, przyszłość ta staje się coraz bardziej i bardziej możliwa. To teraźniejszość staje się niemożliwa. Ci, którzy potępiają pana Pentyego za to, że przeczesuje on historię w poszukiwaniu alternatywy dla industrializmu, nie potrafią zauważyć, że sam industrializm za czas niedługi przejdzie do historii. To, co nazywa się „niepokojami przemysłowymi" może bardzo szybko przerodzić się w przemysłową katastrofę; katastrofę, która nie zagraża wyłącznie tym wszystkim sprawom, które przez tak długi czas modne było wyszydzać jako skazane na porażkę, na przykład starodawnym społecznościom chłopskim chrześcijańskiej Europy. To ci moderniści nie nadążają za czasami; to ci materialiści skazali się na porażkę; i to nowoczesne miasto przemysłowe staje się powoli ojczyzną straconej sprawy. Ludzie owi nie rozumieją po prostu znaczenia pewnych rzeczy; porażki bolszewików w starciu z rosyjskim chłopstwem, współczesnego odrodzenia Włoch, nowej energii, którą tętni obecnie Francja, zwycięstwa rewolucji irlandzkiej.

To, czego nam potrzeba, to praktyczne zmiany w angielskiej polityce; pan Penty przedkłada tutaj swe propozycje w tej sprawie. Jak wykazuje, są one istotnie nieporównanie bardziej praktyczne – to znaczy nieporównanie bardziej możliwe do realizacji w obecnych warunkach – niż alternatywne projekty bardziej teoretycznie precyzyjnej i usystematyzowanej doktryny socjalizmu cechowego, o teoretycznie precyzyjnych i usystematyzowanych

schematach fabian, marksistów czy douglasistów[1] nawet nie wspominając. Naczelna teza tej książki wszakże, inaczej niż w książkach wcześniejszych, wyłożona została zdecydowanie zbyt jasno, by trzeba ją było w jakikolwiek sposób przygotowawczo przybliżać. Od pierwszej diagnozy, dotyczącej mylnych pojęć socjalizmu co do własnych początków, po ostatnie przewidywania dotyczące prawdziwej rekonstrukcji społecznej, analogicznej do wielu rekonstrukcji społecznych z przeszłości, czytelnik może śledzić tok myśli w najmniejszych detalach, i albo się z nim zgodzić, albo i nie zgodzić – bo przecież różnie się może zdarzyć; jeśli dysponuje wszakże pewną dozą inteligencji, z całą pewnością nie zbędzie tej myśli jako fantazji czy fikcji na temat „starych dobrych czasów". Dlatego też, w tym miejscu chciałbym ograniczyć się jedynie do podziękowań, jakie winni są autorowi wszyscy myślący ludzie, i pozwolić, by dzieło niniejsze mówiło samo za siebie.

G.K. Chesterton

1 Chodzi o zwolenników teorii kredytu społecznego pana Clifforda Hugo Douglasa (1879-1952), o którym będzie nieco później. [Wszystkie przypisy „pod cyfrą" pochodzą od tłumacza.]

## Przedmowa autora

Pośród licznych zmian umysłowych, jakie dokonały się pod wpływem niedawnej wojny, najbardziej interesującą jest bez wątpienia zmiana nastawienia do industrializmu. Przed wojną, większość ludzi uznawało tę formę społeczną za trwałą i stabilną, całe zaś zło z nią związane – za przypadkowy dodatek, którego przeznaczeniem jest zniknąć w miarę postępu historii.

Dzisiaj, wszystko się zmieniło. Powszechnie przyznaje się już na przykład, że cały ów postęp, którym tak bardzo chełpiliśmy się przed wybuchem wojny, był w znacznej mierze czczą iluzją. Nasz komfortowy optymizm nie mógł wytrzymać tylu lat konfliktu. Fakt, że mechaniczne tryumfy naszej cywilizacji tak łatwo dały się wykorzystać jako narzędzia zniszczenia, zniweczył ostatecznie, zniweczył raz na zawsze, owo aprioryczne czysto przekonanie, że nauka i maszyna muszą przynosić ludzkości wyłącznie dobro – przekonanie, stanowiące wiarę naszego pokolenia – i jedyną drogą do właściwego zrozumienia sensu długo wyczekiwanego odkrycia, które pozwoliłoby nam na uwolnienie potencjału energii subatomowej, jest uświadomić sobie, że potencjał ów również będzie można wykorzystać na różne sposoby, bo istotnie, jeżeli rozwój moralny człowieka nie dotrzyma kroku jego wynalazkom technicznym, przełom ten może okazać się najbardziej katastrofalnym wydarzeniem w historii ludzkości.

Równolegle do tego niepokoju związanego z odkryciami naukowymi, zaczyna pojawiać się także wątpliwość w sprawie niekontrolowanego wykorzystania maszynerii w produkcji. Przed wojną, protesty przeciwko

nadużywaniu maszyn w procesie produkcyjnym bywały właściwie tylko dwojakiego rodzaju: ekonomiczne i estetyczne. Sprzeciwy ekonomiczne wychodziły ze środowiska ludzi pozbawionych pracy ze względu na nowe wynalazki techniczne, estetyczne zaś – uczniów Ruskina[2] i Morrisa[3]. Ani jednych ani drugich nie traktowano jednak w swoim czasie poważnie. Skarg bezrobotnych nie słuchano ponieważ podobne trudności miały rzekomo stanowić konieczny znak czasu przejściowego, wątpliwości estetyczne natomiast, budziły w większości społecznej coś trudno odróżnialnego od pospolitej pogardy. Dzisiaj wszakże, wszystko się zmienia. Dla coraz większej liczby ludzi myślących staje się jasne, że między ekonomicznym

---

2 Jan Ruskin (1819-1900) – angielski mecenas sztuki, malarz, rysownik, krytyk literacki, pisarz i myśliciel polityczny. Popularyzator twórczości Williama Morrisa i prerafaelitów. Wielki zwolennik humanizacji pracy i rzemiosła, jako metody produkcji najlepiej odpowiadającej godności człowieka. Przeciwnik niekontrolowanej mechanizacji pracy i jej podpory ideologicznej w postaci leseferyzmu. W ekonomii kładł nacisk na jej element społeczny i bezinteresowny, oparty na relacjach interpersonalnych. Zwolennik ustroju cechowego (założył w 1871 Gildię św. Jerzego, istniejącą po dziś dzień, choć już tylko w formie organizacji charytatywnej), kooperatywy i samopomocy. Postać niezwykła. Przypis z *Williama Cobbetta* GK Chestertona.

3 Wiliam Morris (1834-96) – angielski pisarz, malarz, architekt, działacz społeczny, filozof. Twórca tzw. guild socialism, to przekłada się na polski jako „socjalizm cechowy". Zwolennik obrony rzemiosła przed produkcja masową. Człowiek aktywny, niestety niewierzący. Jeden z ulubionych pisarzy Gilberta Keitha Chestertona (przynajmniej w jego młodości). W swoich powieściach i poezji, w geście motywacyjnym w stosunku do własnego ruchu, opisywał utopijne społeczeństwa idealne („Morrisowska utopia" to dosyć słynna rzecz). Cytat z *Odrodzenia ustroju cechowego*.

impasem, w jakie popadło nasze przemysłowe społeczeństwo, a mechanicznymi metodami produkcji, zachodzi związek – bo nie ma żadnych wątpliwości, że bez zastosowania tych metod problem nigdy nie osiągnąłby podobnie gigantycznej skali. Sprawą coraz bardziej interesują się pedagodzy – widząc, że w momencie, w którym chłopcy opuszczają mury szkolne i idą pracować w fabrykach, cała praca ich nauczycieli zostaje zaprzepaszczona, najnowsza książka doktora Augustyna Freemana[4] zaś,

---

4 Prawdopodobnie Edward August Freeman (1823-92) – angielski historyk, artysta i liberał, autor sześciotomowego dzieła *Historia Podboju Normańskiego.* Obecnie bardzo ceniony za swoją „dokładność, bezstronność i życzliwość", co zapewne stanowi przyczynę pomijania milczeniem ciekawego faktu, że był on także jednym z najżarliwszych zwolenników angielskiego „anglosaksonizmu", z całą towarzyszącą mu mitologią postępu oraz teorią rasową (za postęp ludzkości odpowiadać miała „aryjska rodzina narodów", której poszczególni przedstawiciele: Grecy, Rzymianie i Teutoni [*sic!*], odgrywali w następujących po sobie epokach rolę wiodącą, polegającą zasadniczo na działaniu państwotwórczym [przykładem praktycznej realizacji tych aprioryzmów może być choćby śledzenie „nieprzerwanej ciągłości" angielskiego parlamentaryzmu aż do czasów tzw. „podboju saskiego"]; co, rzecz jasna, uprawniało ich do panowania nad całą reszta mniej uzdolnionych nacji). Ja przepraszam, że się tak tutaj Arturowi wtranżalam, ale mam lekką szajbę na punkcie tropienia podobnych „zaskakujących zbiegów okoliczności", o których współcześnie raczej się nie wspomina, a które rzucają poniekąd nowe światło na genezę narodowego socjalizmu, stanowiącą obecnie przedmiot różnorakich osobliwości werbalnych – wygłaszanych szczególnie z pozycji „ideologii postępu", co stanowi jeszcze jeden dowód na to, że przedstawiciele tej subtelnej religii naprawdę mają dużo pracy domowej do odrobienia; sugerowałbym, aby zaczęli jak najprędzej, bo się mogą nie wygrzebać. Przypis ze *Zbrodni Anglii* GK Chestertona (z drobną modyfikacją).

*Rozkład społeczny i regeneracja,* o której dr Inge[5] napisał w niedawnej recenzji[*], że to właśnie te spośród jej rozdziałów, w których autor zbiera się na odwagę i przypuszcza zmasowany atak na system maszynizmu, mogły skłonić Ewerhonian Samuela Butlera[6] do zniszczenia wszystkich maszyn produkcyjnych, to dzieło poświęcone przede wszystkim eugenice. Tak długo, jak długo pokutował w społeczeństwie pogląd, że poza może kwestią przejściowego bezrobocia, problemem dającym się rozwiązać przy pomocy kilku usprawnień organizacyjnych, jedyny możliwy sprzeciw wobec maszynizmu to sprzeciw natury estetycznej, mogło ono odrzucać go jako zwykłą bzdurę. Ba, mogło nawet – w swej ignorancji – czynić to z przyjemnym poczuciem wyższości. Mogło mówić (jak na własne uszy słyszałem), że biegłość w sztuce to cecha ludów niższych szczebli ewolucji społecznej. Kiedy wszakże słyszy nareszcie z ust słynnego naukowca, że niekontrolowane wykorzystanie maszynerii to rzecz zabójcza nie tylko dla sztuki, ale i dla człowieka jako takiego, która musi doprowadzić w ostatecznym rozrachunku do samobójstwa rasy, ponieważ wszędzie, gdziekolwiek się pojawi, nieodłącznie towarzyszy jej gwałtowny spadek sił mentalnych i fizycznych – wtedy nawet brytyjski filister musi zacząć

---

5 William Inge (1860-1954) – duchowny anglikański, profesor Uniwersytetu w Cambridge, płodny i popularny autor. Piewca religijności opartej na osobistych uczuciach i zaangażowaniu.

* *Edinburgh Review,* lipiec 1922 [wszystkie przypisy „pod gwiazdką" pochodzą od autora].

6 Samuel Butler (1835-1902) – angielski pisarz, podróżnik, malarz, muzyk, myśliciel. Autor pierwszego w świecie artykułu prasowego wieszczącego „bunt maszyn" (rozwój maszynerii rozważał analogicznie do ewolucji organizmów żywych).

myśleć. Naukowcy bowiem, to kapłani współczesnego świata, i kiedy mówią, lud słucha.

Niniejsze dzieło kontynuuje tę ofensywę na polu teorii ekonomicznej. Zawsze mniemałem, że problem relacji człowieka z maszyną ma dla kwestii społecznej znaczenie centralne, bo nigdy też nie umiałem pojąć, jak inaczej można by zakończyć erę wojen ekonomicznych, niż wprowadzając ograniczenia produkcji maszynowej. Ale co mnie wydawało się tak oczywiste, innym, niestety, już chyba niekoniecznie, jednak dopiero niedawno, przeczytawszy fortunnym zbiegiem okoliczności *Historię socjalizmu brytyjskiego* pana Beera[7], zrozumiałem, jak właściwie można by dowieść tej niezbitej prawdy. Długo nie potrafiłem przebić się przez powszechne u naszych obecnych socjalistów pojęcia, jakoby problem ów nie istniał, albo nawet i istniał, niemniej stanowił ledwie element większego problemu gospodarki kapitalistycznej, w związku z tym zajmowanie się nim z osobna to fałszywy trop. Podczas lektury książki pana Beera wszakże dokonałem niezwykłego odkrycia, okazało się bowiem, że nie tylko sam ruch socjalistyczny miał swoje źródło w dążności do rozwiązania problemu relacji człowieka z maszyną, ale także iż problem ten zajmował zajmował w myśli socjalistycznej miejsce centralne od Owena[8] do Marksa. Odkrycie to

---

7 Maksymilian Beer (1864-1943) – austriacki historyk, komunista. Mieszkał w Niemczech, Anglii i Związku Radzieckim.

8 Robert Owen (1771-1858) – walijski przemysłowiec, pisarz, działacz społeczny, socjalista. Odrzucał własność prywatną. Dążył do organizacji społeczeństwa w małych gminach, złożonych z absolutnie równych obywateli, którą to równość zabezpieczać miał „społeczny” system wychowania dzieci. Trzeba wszakże

pozwoliło mi usunąć z mej drogi to, co dotychczas stanowiło na niej przeszkodę nie do pokonania, i sformułować problem w języku odpowiednim dla myśli współczesnej.

Jeszcze słowo na temat samej niniejszej książeczki. Z jednego punkt widzenia, „post-industrializm” to po prostu mediewizm, z drugiego można go zaś zdefiniować jako „marksizm odwrócony”. Niezależnie wszakże od wszystkiego, termin niniejszy oznacza na pewno ten stan społeczny, który rozwinie się po upadku systemu industrialnego, w związku z czym można rozumieć pod nim zasadniczo myśl wszystkich tych, którzy rozumieją, że system industrialny rzeczywiście skazany jest na zagładę. O potrzebie wynalezienia terminu dostatecznie pojemnegi, aby obejmował idee tych spośród nas, którzy sympatyzując z ideałami socjalistycznymi różnią się od tego ruchu ze względu na stosunek do gospodarki przemysłowej mówi się już od dawna, i termin post-industrializm, który zawdzięczam profesorowi A.K. Coomaraswamyemu[9], wydaje mi się w tym kontekście przynajmniej bardzo udany.

Pozostaje dodać, że książka niniejsza stanowi uzupełnienie analizy z moich *Cechów, handlu i rolnictwa, w* której rozpatruję powojenny problem społeczny z perspektywy wymiany.

---

przyznać, że dzięki jego inicjatywom los angielskich robotników znacznie się poprawił.

9 Andana Kentish Coomarswamy (1877-1947) – hinduski historyk sztuki i myśliciel, obrońca swej ojczystej Sri Lanki przed wpływami Zachodu, działacz niepodległościowy.

A. J. P.<br>66, Standard-on-Green, grudzień 1921

## Rozdział I – Zapomniany cel ruchu socjalistycznego

Stale powtarzającą się tragedią historii idei jest to, że projekty pierwotnie mające stanowić ledwie środek do celu z czasem nieodmiennie zaczyna się postrzegać jako cele same w sobie, to zaś, czemu pierwotnie miały one służyć, odchodzi w cień i ostatecznie w niepamięć. Obecnie, los ten stał się, jak się zdaje, udziałem ruchu socjalistycznego, co tłumaczy zarówno panujący w nim zamęt intelektualny, jak i trapiącą go niemoc działania. Tak też nacjonalizacja ziemi, kapitału i środków produkcji oraz wymiany dóbr, pomimo pewnych nowych wkładów korporacjonistycznych, wciąż stanowi sedno socjalistycznej wiary i zasadniczy cel socjalistycznego programu, podczas gdy problem produkcji maszynowej, któremu projekt nacjonalizacji miał pierwotnie zaradzić, nie tylko, że został kompletnie zapomniany, to jeszcze otwarcie przeczy się czasem jego istnieniu. Rzetelny rzut oka na myśl socjalistyczną niechybnie rozwieje w tej kwestii wszelkie wątpliwości.

Z punktu widzenia socjologii, okres między rokiem 1760 a 1825, w którym tkwią fundamenty współczesnej akcji politycznej i reformatorskiej, dzieli się na cztery fazy. „Pierwsza z nich to etap czysto parlamentarny i konstytucyjny; jego bohaterowie, Wilkes i 'Juniusz'[10], zajmowali się przede

---

10 Jana Wilkes (1725-97) – angielski dziennikarz i polityk ze stronnictwa wigów, który za obrazę rządu brytyjskiego został w 1763 roku wtrącony do więzienia i wykorzystał ten fakt do ujawnienia swoich talentów polemicznych, które o mało co nie doprowadziły do rozruchów. „Juniusz" – pseudonim nieznanego autora, który w latach 1769-72 napisał do angielskich gazet serię artykułów

wszystkim walką z ustrojem oligarchicznym i ostatnimi pozostałościami osobistej władzy monarchy. Druga – głównie rolnicza; skutki szybkiego grodzenia ziemi tak prywatnej jak wspólnej, jak również i rzeczywistego postępu technicznego w metodach uprawy, zwróciły uwagę rewolucjonistów w kierunku reformy rolnej; to czas Spence'a, Oglive'a i Paine'a[11]. Trzecia faza nastała skutkiem entuzjazmu, z jakim odniosła się do Rewolucji Francuskiej ta część angielskich intelektualistów oraz londyńskich rzemieślników, której umysły zostały przygotowane do tego dzięki teoriom rozpowszechnionym w dwóch poprzednich fazach; to czas Williama Godwina, młodego Coleridge'a, Southeya, Wordswortha i Jana Thelwalla[12].

---

denuncjujących korupcję w wigowskim rządzie tamtego czasu; okazały się bardzo skuteczne.

11 Tomasz Spence (1750-1814) – angielski radykał, zwolennik powszechnej własności ziemi, likwidacji instytucji ziemiaństwa, silnego samorządu demokratycznego i paru innych rzeczy. Swoje pomysły gospodarcze rozwijał w serii książek u utopijnej krainie, którą z wielką skromnością nazwał Spensonią. Przypis z *Williama Cobbeta* GK Chestertona. Tomasz Paine (1737-1809) – angielski polityk i filozof polityczny, zwolennik Rewolucji Francuskiej, deista. Uczestnik Rewolucji Amerykańskiej. Z powodu poglądów dwukrotnie musiał opuszczać ojczyznę. Obdarzony ciętym językiem, którego nie wahał się używać przeciwko monarchii i chrześcijaństwu. Przypis z *Williama Cobbeta* GK Chestertona. William Ogilvie (1736-1819) – szkocki radykał, reformator społeczny, orędownik upowszechnienia drobnej własności rolnej i ocalenia kraju przed skutkami niekontrolowanej rewolucji przemysłowej.

12 William Godwin (1756-1836) – angielski publicysta, myśliciel polityczny i społeczny, twórca niekompetytywnego modelu edukacji, skupionego wokół rozwoju osobistej wrażliwości i talentów, promocji aktywności i niezależnego myślenia (ładne, acz chyba nieco utopijne…). Samuel Taylor Coleridge (1772-1834)

Czwarta, to faza rewolucji przemysłowej w sensie ścisłym, którą pierwszy zaczął krytykować Karol Hall[13], po nim zaś Robert Owen i cała jego szkoła,

---

– drugi obok Williama Wordswortha najsłynniejszy poeta angielskiego romantyzmu, w młodości płomienny demokrata, potem – torys. Robert Southey (1774-1843) – angielski poeta romantyczny, jeden z „poetów jezior", opiewających piękno angielskiego krajobrazu (co miało wyraźny podtekst patriotyczny). Pierwotnie radykał i zwolennik Rewolucji francuskiej, później – torys. William Wordsworth (1770-1850) – najsłynniejszy poeta angielskiego romantyzmu, filozof. Początkowo zwolennik francuskiego republikanizmu, wobec rosnącej brutalności Rewolucji Francuskiej zmienił front i przyjął postawę bardziej konserwatywną, by ostatecznie doczekać się pozycji „poety laureata"; obecnie znacznie wyżej ceni się jego wiersze wczesne. Jan Thelwall (1764-1834) – angielski mówca, polityk, radykał. Wielki zwolennik Rewolucji Francuskiej.

13 Karol Hall (1740-1825) – angielski ekonomista, myśliciel społeczny, jeden z pierwszych krytyków kapitalizmu jako ustroju niedającego żadnego zabezpieczenia ubogim. Zwolennik nacjonalizacji ziemi i wprowadzenia podatków progresywnych.

a także kilku innych pisarzy antykapitalistycznych, Ravenstone, Hodgskin[14] oraz kilku autorów anonimowych: poetą tej fazy był oczywiście Shelley[15]"[*].

Każda z tych faz wniosła pewne nowe elementy do kształtu ideowego oraz fermentu akcji reformatorskiej jaki rozpoczął się w drugiej dekadzie XIX wieku, i który stopniowo przybierał na sile aż do ostatecznej porażki ruchu czartystowskiego[16] w roku 1848. Dopiero ostatnia wszakże, wydała z siebie ruch socjalistyczny. Wprowadzenie produkcji maszynowej spowodowało szybki wzrost ogólnego poziomu dobrobytu – dobrobytu, który stał się

---

14 Piercy Ravenstone – pseudonim anonimowego ekonomisty z przełomu XVIII i XIX wieku, krytyka kapitalizmu, promującego ideę, że własność prywatna jest wyłącznie owocem osobistej pracy (w związku z tym, na przykład, niemożliwe jest „posiadanie" gruntów, których się nie uprawia). Tomasz Hodgskin (1787-1869) – angielski ekonomista i dziennikarz, krytyk systemu kapitalistycznego, ale skądinąd osobliwy, ponieważ krytykę swoją opierał na idei absolutnej niezbywalności własności prywatnej, ale oczyszczonej ze „sztucznych dodatków", takich jak procent, czynsz, wynajem itp., które w jego oczach stanowiły przyczyny niezgody społecznej i kryzysów ekonomicznych. Żądał absolutnego równouprawnienia posiadaczy, minimalnej kontroli państwowej oraz całkowicie wolnego handlu zagranicznego.

15 Percy Bysshe Shelley (1792-1822) – angielski poeta i dramaturg, przedstawiciel romantyzmu, jeden z najbardziej wpływowych twórców tej epoki.

* M. Beer, *Historia socjalizmu brytyjskiego,* tom I, s. 101.

16 Radykalny ruch polityczny w Anglii, istniejący w latach 1808-57, domagający się m.in. zniesienia cenzusu majątkowego w czynnych prawach wyborczych, wprowadzenia pensji dla członków parlamentu (tak, aby mogli w nim pracować także ludzie mniej zamożni) i corocznych wyborów, jako metody walki z korupcją. Przypis ze *Zbrodni Anglii* GK Chestertona.

udziałem także i klasy robotniczej, bo płace były wysokie, a pracy pod dostatkiem. Niemniej, około roku 1806, jej niekontrolowane stosowanie doprowadziło do tego, że podaż znacząco przewyższyła popyt, jakość pracy ludzkiej dramatycznie spadła i zaczęto zastępować ją coraz powszechniej pracą maszyny, reformatorzy zaś, zwrócili swoje oczy w kierunku problemów przemysłu. Do roku 1811 problem stał się bardzo poważny, a gigantyczne bezrobocie dało początek rebelii luddystów[17]. Wściekli robotnicy stanęli do walki i zaczęli niszczyć maszyny fabryczne. Rebelia zaczęła się w Nottingham od niszczenia pończoszarek i krosien, by potem rozlać się także na Yorkshire i Lancashire. Ten stan rzeczy spowodował reakcję w postaci drakońskiej nowelizacji prawa, zgodnie z którą rozmyślne niszczenie maszynerii fabrycznej zaczęto karać śmiercią, i w styczniu 1813 osiemnastu robotników zginęło na szafocie w mieście York. Niemniej, problem pozostał. Liczba bezrobotnych wzrosła do niezmiernie niebezpiecznego poziomu, opinia publiczna stała się niespokojna, zwoływano spotkania i powoływano komitety, mające zbadać przyczyny kryzysu i znaleźć dla niego remedium. Niestety, żadnego remedium nie udawało się znaleźć. A to z tego prostego powodu, że, przynajmniej z tej perspektywy, w której większość społeczna przyzwyczaiła się myśleć, żadnego nie było. Niekontrolowane wykorzystywanie maszyn w produkcji

---

17 Luddyzm – radykalny ruch społeczny, opierający się na sprzeciwie wobec niekontrolowanemu umaszynowieniu produkcji. Nazwa pochodzi od Neda Ludda, postaci na pół legendarnej, który w 1779 roku miał w przypływie słusznego gniewu zniszczyć dwa pierwsze krosna tkackie. Ogólniej oznacza ogólny sprzeciw wobec zastępowania produkcji ręcznej maszynową. W ruchu dystrybucjonistycznym, luddystą był np. o. Wincenty McNabb OP (1868-1943), który sam tkał własny habit.

podważyło istniejący porządek społeczny zaburzając równowagę systemu płacowego – to znaczy, systemu dystrybucji siły nabywczej za pośrednictwem zapłaty za wykonaną pracę – i tak też wszyscy stanęli ostatecznie przed wyborem: albo zakazać produkcji maszynowej względnie znacznie ją ograniczyć albo dokonać rekonstrukcji społeczeństwa na nowych zasadach, które dałoby się zharmonizować z nieograniczonym maszynizmem. Obydwie te alternatywy były dla ludzi tamtego czasu, pozornie przynajmniej, czymś nie do pomyślenia – o ile w ogóle ktokolwiek myślał choć trochę nad drugą z nich.

Właśnie w tamtym czasie, gdy społeczeństwo stało bezradne wobec problemów powodowanych przez stosowanie produkcji maszynowej, Robert Owen pierwszy raz zdecydował się wkroczyć na drogę spekulacji intelektualnych, które stały się potem kamieniem węgielnym myśli socjalistycznej. Ułatwienia w metodach wytwarzania bogactw, jakich dostarczyły nowe wynalazki, wywarły na jego wyobraźnię przemożny wpływ, i zdaje się, że perspektywa ograniczenia lub zakazania produkcji maszynowej nigdy nawet nie przeszła mu przez głowę. Mimo to jednak, dostrzegał on, że ten typ produkcji rzeczywiście niszczy istniejący ład społeczny. Uważał, że maszyny przemysłowe, obsługiwane przez relatywnie niewielką ilość pracowników, w niedługim czasie zdołają zaspokoić wszystkie potrzeby ludzkości. Co takiego miałoby się stać wszakże, w takiej sytuacji, z klasą robotniczą? Czy miałaby ona umrzeć z głodu otoczona powszechnym dobrobytem, czy też żyć z zasiłków? Bo przy utrzymaniu ówczesnych urządzeń społecznych nie było tu żadnej alternatywy.

„Zapotrzebowanie na pomoc publiczną zwiększyło się tak drastycznie, że Izba Gmin powołała do istnienia komisję mającą zajmować się prawem o ubogich. Robert Owen, przekonawszy się, że wyjaśnienie jego poglądów komitetowi powołanemu przez śmietankę społeczną Londynu jest niemożliwe, w marcu 1817 roku napisał dla tej komisji specjalny raport. Rok później, przedstawił szczegółowy plan swoich reform delegatom Świętego Przymierza zebranym w Akwizgranie[18], w roku 1819 zaś skłonił jednego ze swoich przyjaciół, prawdopodobnie Jerzego Mudie[19] (w latach 1821-22 redaktora naczelnego pisma *Ekonomista*) do napisania kilku listów otwartych do Dawida Ricardo[20], poświęconych temu samemu problemowi. Sedno ich przesłania stanowi teza, jakoby produkcja maszynowa ułatwiła wytwórstwo do tego stopnia, że świat staje się przesycony bogactwem. Póki trwała dominacja produkcji ręcznej, równowaga podaży i popytu była zachowana. Produkcja i populacja miały się do siebie w stosunku 1:1. Między rokiem 1792 a 1817, proporcja ta uległa dramatycznej modyfikacji. Stosunek produkcji do populacji wynosił 12:1. Ponieważ praca maszyny była znacznie

18 Chodzi o spotkanie zwołane przez państwa sprzymierzone (Rosję, Prusy, Austrię i Wielką Brytanię) celem ustalenia, jak dalej obchodzić się z pokonaną Francją.

19 Jerzy Mudie (1788 – ?) – angielski polityk, działacz społeczny, dziennikarz, owenista. Orędownik produkcji spółdzielczej.

20 Dawid Ricardo (1772-1823) – angielski ekonomista liberalny pochodzenia żydowskiego, autor wielu ciekawych teorii, np. o „naturalności" spadku płac (bo przecież chciwość pracodawcy motorem postępu) i tezy, wg której robotnicy sami powinni dbać o swoje wynagrodzenia, ograniczając przyrost naturalny. Jego czystko ilościowe podejście do produkcji stało się bazą teoretyczną działań, które ostatecznie doprowadziły do zarzucenia w Anglii produkcji rolnej (cytat z *Williama Cobbetta* GK Chestertona).

tańsza, niż praca ludzka, praca ludzka ulegała stopniowej degeneracji i była wypierana. Fundusz płacowy kraju dramatycznie się zmniejszył; klasa robotnicza straciła zatem znaczną część funduszy na zaspokajanie potrzeb życiowych, rynek wewnętrzny się skurczył, i wyprodukowane dobra leżały, niesprzedane, w stodołach i magazynach. Wraz z wynalezieniem silnika parowego oraz innych typów silnika, przyszło na społeczeństwo albo największe możliwe błogosławieństwo albo największe możliwe przekleństwo. Ostatecznie przeważyła opcja druga, i znaczna część angielskiej populacji skazana została na pauperyzm. Sprężyny wielkiej maszynerii okazały się dla pracy ręcznej, w tamtych warunkach, po prostu zbyt potężne. Z drugiej strony, gdyby udało się sprawić, by konsumpcja nadążała za produkcją, praca i kapitał byłyby dobrze użytkowane, i żaden kryzys społeczny nigdy by nie nastąpił. Dopóki wszakże naczelną zasadę życia społecznego stanowił prywatny zysk, a nie dobro społeczne, taka sytuacja była zupełnie niemożliwa. W takich warunkach, jakie wtedy istniały, produkcja z konieczności musiała w coraz większym i większym stopniu przerastać konsumpcję, eksport maleć, rynek wewnętrzny kurczyć się coraz bardziej, bezrobocie i niepewność bytu rosnąć, aż klasy pracujące, pozbawione wynagrodzenia lub zepchnięte na poziom kompletnego minimum, powstałyby nagle w porywie furii i rozpaczy i rozniosły nasze szlachetne i dobroczynne instytucje państwowe, paląc je do ziemi. ‘Jesteśmy jak ludzie na wąskiej kładce przerzuconej nad bezdenną otchłanią’[21]. Wszystko to wydarzyło się zaś dlatego, że umysł ludzki, po niezliczonej ilości wieków zmagania się z ignorancją i nędzą, zdołał nareszcie otworzyć źródła dobrobytu; pomnożyć siły produkcyjne; sprawić, by produkcja była łatwa. To

---

21 Cytat z Roberta Owena.

obfitość przyniosła nam katastrofę! Ogromne rzesze producentów spętano więzami prawa o ubogich, ponieważ wytwarzały *za dużo!* Jakiż paradoks, jakaż zupełna konfuzja! Co stanowiło remedium? Niektórzy twierdzili, że reforma rolna; inni doradzali masową emigrację. Niemniej, wszystkie tego typu pomysły nie zdały się na nic, ponieważ nie dotykały sedna problemu. Prawdziwym lekarstwem mogła być tylko taka reforma społeczna, która zwiększyłaby poziom konsumpcji i pozwoliła jej dogonić produkcję. I taką reformę dało się wdrożyć wyłącznie przez ścisłą regulację pracy i wydatków, albo komunizm"*.

Widzimy zatem, że między problemami produkcji maszynowej a myślą socjalistyczną istnieje jednoznaczny związek. Wprowadzenie produkcji maszynowej zachwiało równowagę systemu płacowego, jednak Owen uważał, że gdyby udało się zrównać poziom konsumpcji z poziomem produkcji, płace musiałyby się zwiększyć, a ponieważ dopóki maszyneria produkcyjna znajdowała się w rękach prywatnych, naszą kompetytywną gospodarkę, opartą na prywatnej własności maszyn i kapitału, należało znieść i zastąpić jakąś formą kooperatywnej względnie komunistycznej organizacji społecznej. Wtedy maszyny, zamiast stanowić przekleństwo, stałyby się błogosławieństwem, ponieważ w takich warunkach bogactwo społeczne byłoby równo dystrybuowane, w związku z czym nikt nie głodowałby ze względu na brak zajęcia.

Reforma, którą proponował Owen, pierwotnie miała mieć raczej charakter społeczny, niż polityczny. To w związku z nią pojawił się po raz pierwszy

---

* *Historia socjalizmu brytyjskiego,* tom I, ss. 168-70.

w Anglii termin „socjalista”, wprowadzony do użycia językowego podczas wewnętrznych dyskusji owenistów. Oryginalną koncepcję Owena na przekształcenie społeczeństwa z indywidualistycznego i kompetytywnego w kooperatywne i komunistyczne stanowił plan organizacji swego rodzaju komunistycznych kolonii czy wspólnot pracowniczych. Kilka z nich zorganizował sam Owen, a także jego zwolennicy. Wszystkie wszakże tego typu próby, z tych lub innych przyczyn, zakończyły się porażką, ich orędownicy zaś, stracili na nich sporo pieniędzy. Nurt centralny owenizmu miał naturę ściśle komunistyczną i nie dopuszczał istnienia żadnych form własności prywatnej, choć od 1820 roku Owen zaczął głosić pogląd, że przyczyną nędzy społecznej była nie tylko konkurencja, ale również problemy monetarne.

Ruch spółdzielczy, z którym zazwyczaj kojarzy się dzisiaj jego nazwisko, nie stanowił własnej inicjatywy Owena. Przeciwnie – zaczęli go przywódcy ruchów robotniczych, sympatyzujący z owenizmem i radykalizmem[22], w czasie, gdy sam Owen przebywał w Ameryce. Działali wspólnie i otwierali spółdzielnie sklepowe, z których pierwszą byli niewątpliwie „Pionierzy

---

22 Chodzi o radykalizm w pojęciu angielskim – wyjątkowy ruch polityczny, ściśle demokratyczny, dążący do odzyskania wolności ekonomicznej przez uwłaszczenie rodzin (różnie pojmowane) oraz powrotu do złotych swobód „starej Anglii” (częstokroć, trzeba przyznać, mitologizowanej). Radykałem był np. William Cobbett, a także niejaki Gilbert Keith Chesterton, który w *Karolu Dickensie* (1906) napisał, że radykalizm stanowił jedyny prawdziwie angielski nurt polityki – „tak angielski, jak żywopłoty”. Dystrybucjonizm wpisuje się w nurt tradycji radykalistycznej.

z Rochdale”[23] „Gdy Owen powrócił z Ameryki i zobaczył pierwsze eksperymenty ze spółdzielniami, zdecydowanie je potępił, nazywając pogardliwie ‘towarzystwami handlowymi’ i otwarcie ogłaszając, że kupno i sprzedaż nie mają nic wspólnego z jego projektem społeczeństwa kooperatywnego. Kiedy wszakże przekonał się, że wielu członków tych spółdzielni skłonnych było przyjąć jego poglądy, zdecydował się na współpracę i żywo zainteresował ich działalnością”[*].

Raport z jednego ze wczesnych spotkań tych ludzi jest o tyle interesujący, że pokazuje iż zasadnicze idee ruchu wynikały z owenizmu. Rozpoczęto dyskusję na temat: „Produkcja maszynowa w warunkach konkurencji i kooperacji”. Do grona prelegentów należeli między innymi Hetherington, Lovett, Cleave i Watson[24], z których wszyscy później mieli stać się liderami

---

23 Właściwie „Rochdale Society of Equitable Pionieers” („Stowarzyszenie Sprawiedliwych Pionierów z Rochdale”). Kooperatywa konsumencka, absolutnie rewolucyjna w swoim czasie, i do dziś stanowiąca swego rodzaju model dla inicjatyw spółdzielczych na świecie. Opierała się na aktywnym uczestnictwu wszystkich współwłaścicieli w działalności organizacji, z czego wynikała powszechna partycypacja w zyskach.

* *Historia socjalizmu brytyjskiego,* tom I, s. 300.

24 Henryk Hetherington (1792-1849) – angielski polityk, myśliciel społeczny, jeden z liderów ruchu czartystowskiego; syn krawca. William Lovett (1800-77) – angielski polityk, myśliciel, czartysta; działacz społeczny, poświęcający się przede wszystkim poprawie doli i edukacji dzieci robotników (jako pedagog stawiał na radość, wyrozumiałość i łagodność w stosunku do maluchów). Postać niezwykła. Jan Cleave (1790-1847) – irlandzki czartysta, wydawca gazet i drukarz, wielki

ruchu czartystowskiego, i mowy ich co do jednej obracały się wokół tezy, że produkcja maszynowa w warunkach systemu kapitalistycznego jest przekleństwem, ponieważ wszystkie korzyści, jakie przyniosła, stały się wyłącznie udziałem kapitalistów: z drugiej strony, w systemie kooperacji stanie się ona błogosławieństwem, ponieważ w nim osiągnięcia ludzkiego umysłu służyć będą dobru całego społeczeństwa**.

Ruch na rzecz organizacji pracy natomiast nigdy nie przyjął owenizmu w całości. Podjął idee ruchów radykalnych w kwestii reformy parlamentarnej, związków zawodowych, zasady kooperacji, oraz kilka innych elementów jego teorii, które zdatne były do asymilacji z powyższymi. Od roku 1825 i później prądy myślowe, zapoczątkowane przez Owena i jego zwolenników, zostały podjęte przez myślącą część klasy robotniczej znajdując swój wyraz w czartyzmie. Ruch ten, który stopniowo rozlał się na cały naród, i w drugim kwartale wieku dziewiętnastego osiągnął ogromną dynamikę, nominalnie, jak sama nazwa wskazuje, stanowił inicjatywę na rzecz reformy parlamentarnej. Nazwa ta jednak nie była najszczęśliwiej dobrana, ponieważ w istocie zachodził tutaj wzorcowy przykład walki klas, wyrażającej się w serii prób rewolucyjnego przeorganizowania społeczeństwa na zasadach socjalistycznych i robotniczych. Cały ruch przeniknięty był nieprawdopodobnym wprost poczuciem optymizmu, i wszyscy jego członkowie z całego serca wierzyli, że szeroka społeczna recepcja socjalizmu to tylko kwestia czasu, ponieważ wprowadzenie

---

orędownik wolności słowa. Jakub Watson (1799-1874) – angielski polityk, literat, wydawca, radykał i działacz czartystowski, wielki orędownik wolności słowa.

** *Historia socjalizmu brytyjskiego,* tom I, s. 301.

produkcji maszynowej tak skrajnie rozchwiało ład życia zbiorowego, że załamanie się jego dotychczasowych formuł jest kwestią konieczności. „Niespełnionym proroctwom o końcu kapitalizmu” pisze Beer, „nie ma końca”. Czartystom w każdym razie, koniec ten wydawał się nieunikniony, a przeorganizowanie społeczeństwa na zasadach socjalistycznych i robotniczych stanowiło tutaj po prostu logiczną konkluzję.

Okazało się jednak, że byli w błędzie. Po roku 1848 długi okres kryzysu ekonomicznego dobiegł końca. Dobrobyt wrócił, nie ze względu na rozwiązanie problemu relacji człowieka z maszyną, ale ze względu na niespodziewane pojawienie się dwóch czynników zewnętrznych, które, pobudzając aktywność gospodarczą we wszystkich możliwych sferach życia, pozwoliły naszemu społeczeństwu oddalić w czasie dzień katastrofy. Pierwszym z tych czynników był rozwój handlu zagranicznego, którego poziom wzrastał stopniowo przez cały wiek XIX. Drugim – rozwój kolei, który wytworzył gigantyczne wprost zapotrzebowanie na pracę. Towarzyszyło temu jeszcze na dodatek masowe zjawisko migracji ze wsi do małych miasteczek, a z miasteczek do wielkich miast, które nie tylko wygenerowało ogromny popyt na budownictwo mieszkaniowe, ale spowodowało, w pewnych granicach, decentralizację kapitału, umożliwiającą szybki wzrost rozproszonych inicjatyw gospodarczych stymulujących handel. Budownictwo kolejowe znacznie wyhamowało już w latach siedemdziesiątych, niemniej boom na mieszkania wywołany przez relokację centrów populacyjnych trwał aż do wybuchu wojny.

Ten rozwój wypadków przeczył przewidywaniom Owena, jakoby eksport musiał stopniowo maleć, wywołując w ten sposób kurczenie się rynku

wewnętrznego. Ale porażka czartyzmu nie wynikała wcale z tej falsyfikacji. Przeciwnie: przyczyny jej były wewnętrzne raczej, niż zewnętrzne. Słabością centralną tego ruchu było to, że nigdy nie wykształcił trwałej jedności myśli, i to w co wierzył w jednym okresie swego istnienia zazwyczaj przepadało zaraz w następnym. Naczelny cel czartyzmu, przez znaczną większość jego funkcjonowania, stanowiło przejęcie władzy politycznej; z celem tym w jakiś przedziwny sposób złączył się także niezbyt konkretny projekt przekształcenia Wielkiej Brytanii w konfederację niezależnych komun, zorganizowanych na zasadach owenizmu. Jakby tego było mało, gdzieś pomiędzy tymi koncepcjami sytuowała się jeszcze nowa ewangelia walki klas i strajku generalnego. Tych sprzecznych doktryn nie dało się w żaden sposób pogodzić, i tak też czartyzm głosił kolejno parlamentaryzm, syndykalizm i owenizm. W zależności od warunków, przewagę zyskiwała albo pierwsza, albo druga, albo trzecia opcja. Zawód, jakim okazała się reforma ordynacji roku 1832 wywołał w czartyzmie reakcję antyparlamentarną, która trwała ponad dekadę. W 1842 próbowano zorganizować strajk generalny, i poniesiono kompletną porażkę. Po 1839 z kolei, owenizm, jako system społeczny, zaczął chwiać się i sypać, by upaść ostatecznie w 1845, wraz z bankructwem Queenswood, ostatniej tego typu komuny. W związku z tym wszystkim, czartyzm stracił wszelką wiarę polityczną, i to właśnie – odbierając mu moc napędową – przygotowało grunt pod jego ostateczną klęskę. Jako ruch ludowy wypalił się on po katastrofie roku 1848, zostawiając po sobie tylko nielicznych epigonów, niepotrafiących pogodzić się z porażką. To, co pozostało po teoriach i tradycjach tego wielkiego zrywu, zagospodarowane zostało przez ruch spółdzielczy i związki zawodowe, których działacze albo wycofali się z życia politycznego, albo

położyli fundamenty pod nowe spekulacje intelektualne w dziedzinie polityki i ekonomii.

Prawdziwym spadkobiercą ruchu czartystowskiego był Karol Marks. Wraz z upadkiem czartyzmu, spowodowanym rozwojem handlu zagranicznego oraz wzrostem inwestycji kolejowych, ludzie zaczęli myśleć, że problemy pierwszej połowy wieku dziewiętnastego stanowiły ledwie przypadkowy efekt uboczny przejścia z produkcji ręcznej na maszynową, i problem produkcji maszynowej jako takiej w bardzo krótkim czasie kompletnie rozmył się i zatarł w pamięci większości społeczeństwa. Marks wszakże, nie miał złudzeń. Widział wyraźnie, że problem pozostał co do istoty dokładnie taki, jaki zawsze był, i że okres *prosperity* nie stanowił rezultatu prawdziwego rozwiązania trapiących Anglię trudności ekonomicznych, ale działania przyczyn zewnętrznych. Kryzys się opóźniał, ponieważ zwiększył się obszar, w który miał uderzyć. Problem z narodowego stał się międzynarodowy. Kryzys się opóźniał, ale nie mógł opóźniać się w nieskończoność, bo z konieczności musiał nadejść kiedyś dzień, w którym handel międzynarodowy osiągnie ostateczne granice ekspansji, i wraz z osiągnięciem tych granic, problem bezrobocia musiał powrócić z wielokrotnie większą siłą, ponieważ bez fundamentalnych zmian w samej strukturze naszego społeczeństwa zwyczajnie nie dało się temu zapobiec. W geście antycypacji zatem, Marks rozpoczął pracę nad taką teorią społeczną, która zapewniłaby ruchowi socjalistycznemu pewniejszy grunt do działania, niż fragmentaryczne i sprzeczne teorie czartyzmu.

Widać także wyraźnie, że Marks przewidywał klęskę ruchu czartystowskiego, ponieważ już w 1847 roku opublikował wraz z Engelsem

swój *Manifest komunistyczny*, zawierający esencję jego poglądów. *Das Kapital* to ledwie rozwinięcie i uzasadnienie teoretyczne *Manifestu*. W tych dwóch dziełach, Marks rozprawia się ostatecznie z utopijną myślą Roberta Owena jako niepraktycznym wizjonerstwem, i szukać zaczyna dynamicznego principium życia społecznego, które odnajduje w materialistycznej koncepcji dziejów. Według tej koncepcji, społeczeństwo nie stanowi, jak chcieliby tego chrześcijanie, wyrazu idei i energii moralnej, ale manifestację sił produkcyjnych; czyli, innymi słowy, energii motywnej nie dostarczają społeczeństwu założyciele wielkich religii, filozofowie, prawodawcy i artyści, ale wynalazcy, inżynierowie, odkrywcy i pracownicy. W ostatecznym rozrachunku liczy się wyłącznie ta druga grupa, ponieważ idee pierwszej to ledwie reakcja na zespół materialnych warunków bytu. Czy, jeszcze inaczej, „W reakcji na stymulujące działanie sił produkcyjnych, człowiek tworzy porządek społeczny, rząd, religię, moralność, sztukę, filozofię i naukę. Produkcja materialna to substruktura i fundament, wymienione wyżej zjawiska zaś, systemy polityczne, religijne, moralne, filozoficzne i naukowe, to ledwie superstruktura, wyższe piętra budowli społecznej. Substruktura ma naturę materialną, superstruktura to skutek względnie reakcja natury psychologicznej”*.

Oto właśnie centralna idea marksizmu. Jeśli zastosować ją do analizy czasów współczesnych, widać wyraźnie, że Marks uważał maszynerię produkcyjną za naczelny czynnik twórczy naszej epoki. Zgadza się z Owenem i czartystami co do tego, że maszyneria owa, używana w warunkach stwarzanych przez system kompetytywny, zniszczy istniejący

---

* *Historia socjalizmu brytyjskiego,* tom II, s. 203.

ład społeczny, ale idzie znacznie dalej, i twierdzi, że maszyneria nie tylko zniszczy stary ład społeczny, ale stanie się także w procesie dziejowym zasadniczym źródłem nowego. Idea ta ma kluczowe znaczenie dla jego interpretacji ewolucji systemu kapitalistycznego. *Według Marksa, to nie ewolucja kapitalizmu determinuje ewolucję produkcji maszynowej, ale ewolucja produkcji maszynowej ewolucję kapitalizmu*. Różne fazy rozwoju, przez które przechodzi kapitalistyczna forma organizacji społecznej, to naturalne skutki niekontrolowanego wykorzystywania maszyn w produkcji, i tych dwóch kwestii nie da się rozdzielić. Tak więc na przykład immanentna w kapitalizmie tendencja do centralizacji zależy od rozwoju kolei i telegrafu, pozwalających na skuteczne sprawowanie centralnej kontroli. Walka klas natomiast – ideę której odziedziczył po czartystach i socjalistach kontynentu – to po prostu bunt ogółu populacji przeciwko niesprawiedliwościom wynikającym z koncentracji bogactwa. Końcem będzie tutaj permanentny brak równowagi między produkcją a konsumpcją i wynikający z niego w prostej linii paraliż ekonomiczny. Znakiem tej ostatniej fazy rozwoju będzie pojawienie się stałej armii bezrobotnych. Społeczeństwo podzieli się radykalnie na dwa wrogie obozy kapitalistów i proletariatu. Robotnicy, doprowadzeni do ostateczności przez głód i nędzę, powstaną i przejmą kontrolę nad ziemią, kapitałem i środkami produkcji i wymiany dóbr, rozpoczynając budowę nowej formy społecznej służącej dobru wszystkich, a nie tylko garstki wybranych. I w tym właśnie punkcie, tutaj, gdzie zaczynają się prawdziwe trudności, myśl Karola Marksa niespodziewanie się urywa. Zostawia on nas z wizją społeczeństwa komunistycznego, ostatecznego etapu tej ewolucji, ale co do jego konkretnych kształtów nie ma właściwie nic do powiedzenia. Jego forma, najwyraźniej, to również kwestia działania sił produkcyjnych. Nie ma więc

potrzeby myśleć o niej zawczasu. I oczywiście – bo, stwierdza Marks, tak jak siły produkcyjne przeszłości znalazły dla siebie odpowiednie środki wyrazu, tworząc tradycje ładu społecznego, rząd, prawa, ekonomię, sztukę i inne rodzaje urządzeń społecznych, można z zupełną pewnością założyć, że zatroszczą się także o szczegóły przyszłości, ponieważ, mówi nam, „każdy nowy system społeczny rozwija się niczym embrion już w łonie starego systemu”.

Po klęsce czartyzmu, jak już wskazałem, nastąpiło odrodzenie handlu. Dobrobyt powrócił. Rozwój produkcji maszynowej, dotąd uchodzący za naczelnego wroga klas pracujących, dzięki boomowi kolejowemu, przystroił się w szaty ich wyzwoliciela. Tak też klasy pracujące w coraz większym stopniu popierały maszynizm, a opór wobec niego stał się domeną małych grup rzemieślników, sukcesywnie spychanych na margines przez nowe wynalazki, i wobec ogólnego wzrostu materialnego dobrobytu o istnieniu jakiegokolwiek problemu związanego z używaniem maszyn w wytwórstwie kompletnie zapomniano. Zaczęto myśleć, że przeznaczeniem maszynerii jest stać się wyzwolicielem ludzkości. W opinii tej utwierdziła ich zaś jeszcze dodatkowo teoria ewolucji społecznej, opracowana przez Herberta Spencera[25]. Była to wiara bardzo wygodna, szczególnie dla kapitalistów i przedstawicieli klasy średniej, którzy stawali się dzięki niej tak ogromnie

---

25 Herbert Spencer (1820-1903) – angielski filozof społeczny i socjolog, twórca ewolucjonizmu społecznego (nawiasem mówiąc, opracował swoje teorie przed Darwinem, co pokazuje tylko filozoficzne uwarunkowanie darwinizmu). Zwolennik dominacji silnych w społeczeństwie. Przypis z *Co widziałem w Ameryce* GK Chestertona.

bogaci. Protesty Ruskina, i celne ostrzeżenia formułowane przez Mateusza Arnolda[26], że wiara w moc maszyny to nasz najcięższy grzech, zamieciono pod dywan jako nieodpowiedzialną gadaninę idealistów i dziwaków, którzy z sobie znanych względów próbowali położyć tamę fali postępu i ewolucji, co od początku było zresztą ideą próżną i poronioną.

To właśnie w tej atmosferze, atmosferze ogólnego zadowolenia z osiągnięć industrializmu, socjalizm się odrodził. Przez dziesięć lat po klęsce czartyzmu, agitacja społeczna przechodziła załamanie. Klasy pracujące, według wszelkich znaków, porzuciły politykę całkowicie, poświęcając się raczej kwestiom organizacji zawodowej i spółdzielczości. Wszystkie próby zainteresowania ich na powrót polityką i problemem społecznym spaliły na panewce, i socjalizm pozostawał dla nich czymś kompletnie martwym aż do lat osiemdziesiątych. Jan Stuart Mill[27] zdołał wykrzesać z ogółu pewne

---

26 Mateusz Arnold (1822-88) – angielski pisarz, poeta, krytyk literacki, publicysta. Jeden z „mędrców" (czyli publicystów filozoficznych) epoki wiktoriańskiej, w który to nurt GKC sam wpasowuje się aż nadto dobrze; autor wpływowego dzieła *Kultura i anarchia*, w którym ukuł termin „filistyn" wzgl. „filister" (z jakiegoś powodu druga wersja jest w Polsce bardziej rozpowszechniona) na oznaczenie materialistycznej burżuazji, gardzącej kulturą i sztuką (bo jak wiadomo, „najsampierw jest kultura, potem długo długo nic – i sztuka"...). Przypis z *Co widziałem w Ameryce* GK Chestertona.

27 Jan Stuart Milla (1806-73) – angielski filozof utylitarystyczny, pisarz, działacz. Postać niezmiernie wpływowa. Orędownik wolnego handlu, swobody jednostki w państwie, równouprawnienia kobiet. Orędownik „wysokiego" hedonizmu jako zasady organizacji społecznej (przyjemność jako zasada, ale przyjemność wysoka, psychologiczna, czerpiąca z kultury).

zainteresowanie kwestią reformy rolnej, przygotowując tym samym grunt dla Henryka George'a[28], którego *Postęp i nędza* (1879) błyskawicznie sprzedał się w ogromnym nakładzie. W 1882, gdy nakład ten przekroczył w Wielkiej Brytanii 100 000 egzemplarzy, przyjechał tu z Ameryki, głosić wykłady w Irlandii i Londynie. Efektem jego propagandy było rozbudzenie zainteresowania ekonomią wśród młodszej generacji intelektualistów i robotników. W roku 1884 istniały już i Federacja Socjaldemokratyczna, i Towarzystwo Fabiańskie. Pierwsza z tych organizacji miała charakter otwarcie marksistowski. Towarzystwo Fabiańskie natomiast przeciwnie – oderwało się od marksistowskiej tradycji i otwarło w historii myśli socjalistycznej nowy rozdział, któremu musimy się niniejszym przyjrzeć.

Biorąc rzecz powierzchownie, różnica między fabianami a Marksem polegała na tym, że podczas gdy Marks ściśle łączył swoją wiarę polityczną z pojęciem rewolucji, fabianie złączyli ją z pojęciem ewolucji, i to ona stała się słowem-kluczem ich planów reformatorskich. Prawdziwa różnica polegała jednak na tym, że Marks – niezależnie od tego, jak błędna może być znaczna część jego konkluzji – zdawał sobie sprawę z centralnej pozycji, jaką zajmuje w problemie społecznym kwestia produkcji maszynowej, fabianie natomiast w ogóle nie dostrzegali nawet istnienia takiego problemu. Przeciwnie, przyjmowali beztrosko wygodny optymizm Herberta Spencera, który utożsamiał upowszechnienie maszynizmu z postępem ludzkości, różniąc się od niego wszakże dążeniem do zorganizowania społeczeństwa na zasadzie

28 Henryk George (1839-97) – amerykański ekonomista, publicysta, osoba publiczna; poświęcał się teoriom zwalczenia monopoli ziemskich, orędując za opodatkowaniem jej własności.

kooperatywnej, a nie kompetytywnej. W związku z powyższym ostatecznie odrzucili oni marksistowski pogląd o katastrofie społecznej jako nieuchronnym końcu systemu industrialnego, głosząc że ekspansja przemysłu to proces nieskończony. Żyjąc w czasach, w których przemysł angielski osiągnął pewien stopień stabilności, wzięli tymczasową odporność na problemy gospodarcze za stan permanentny. Nie potrafili zdać sobie sprawy, że kwestia relacji człowieka z maszyną nie została nigdy rozstrzygnięta, ale tylko rozmyta i przykryta przez rozwój handlu zagranicznego i relokację centrów populacyjnych, i prędzej czy później, gdy ekspansja handlowa osiągnie ostateczną granicę, będzie musiała powrócić, o ile aktualne tendencje polityczne nie zostaną poddane radykalnej transformacji. Tak zatem, choć Marks mógł mylić się co do tego, że państwo socjalistyczne będzie w stanie wykiełkować samorzutnie z gruzów zrujnowanej cywilizacji, to na pewno utrzymując, że postępujące upowszechnienie produkcji maszynowej stanie się w ostatnich fazach kapitalizmu przyczyną masowego bezrobocia, już błędu nie popełnił. W związku z tym wszystkim, odrzuciwszy fundamentalną kwestię cywilizacji przemysłowej jako pusty problem, fabianie zwrócili się ku sprawom drugorzędnym, i projekt nacjonalizacji ziemi, kapitału oraz środków produkcji i wymiany dóbr, która pierwotnie stanowić miała ledwie środek do zniesienia systemu płacowego – co jeśli praca maszyny miała dalej wypierać pracę ludzką stanowiło kwestię bezwzględnej konieczności – stała się celem samym w sobie, „zniesienie systemu płacowego" zaś zaczęto postrzegać jako bezużyteczny slogan bez treści, mogący uniemożliwiać opinii publicznej zrozumienie prawdziwego programu ruchu socjalistycznego. I tak też ów ruch socjalistyczny, z pozycji doktryny zajmującej się centralnymi faktami naszej cywilizacji, spadł na poziom

werbalnej szamotaniny o kwestie własności prywatnej i publicznej, i zgubił drogę w gąszczu ksiąg obrachunkowych, statystyk oraz szczegółowych analiz; uspołecznienie sieci gazowej i wodociągowej, prawo o ubogich, reforma mieszkaniowa (itd.) z jednej, i labourzyści z drugiej strony.

Wielu socjalistów od początku wyczuwało wadliwość ruchu fabiańskiego, niemniej dopiero w roku 1908 nastąpiła przeciw niemu jakaś konkretniejsza reakcja, wynikająca z rozczarowania poczynaniami Partii Pracy w Izbie Gmin. Reakcja ta przybrała dwie formy. Pośród intelektualistów polegała ona na sprzeciwie wobec ideału biurokratycznego, który to sprzeciw w krótkim czasie przyjął formę socjalizmu cechowego[29], mającego wywrzeć ostatecznie – choć w cokolwiek mętny sposób – wpływ na większą część ruchu robotniczego, jednocześnie zaś wystąpiły przeciw fabianizmowi radykalne środowiska socjalistyczne, których ostateczny kształt stanowił rezultat połączenia pierwotnych koncepcji marksizmu i walki klas z ideałami syndykalistycznymi, przywiezionymi z Francji. Obecnie obydwie te inicjatywy, choć pewne pozory zdają się sugerować coś innego, zupełnie się wyczerpały, i jeśli ruch socjalistyczny nie podzielił jak dotąd przykrych losów czartyzmu stało się tak wyłącznie z tego względu, że panujący we współczesnej Europie chaos a także gigantyczne rozmiary problemu bezrobocia nie pozwalają ludziom zapomnieć o tym, że tzw. kwestia społeczna naprawdę istnieje.

---

29 Chyba najlepsze ukute dotąd tłumaczenie terminu *Guild Socialism*. Jest to wybitnie angielski ruch polityczny, nie znajdujący w polskiej kulturze nie tylko odpowiednika, ale nawet i słowa.

Czy socjalizm ma przed sobą jakąś przyszłość, czy też ulegnie stopniowej dezintegracji, to się jeszcze okaże. Niemniej fakt, że kwestię społeczną należy rozwiązać, i to szybko, jeśli nasza cywilizacja ma nie zawalić się w gruzy, pozostaje poza wszelką dyskusją. Tymczasem narzuca się nam tutaj jedna zasadnicza refleksja: że problem bezrobocia to ten sam problem, który przewidział Marks; ten sam, z którym starały się walczyć grupy luddystów – i że socjaliści współcześni, w ślepocie swojej, nie chcą nawet uznać jego istnienia.

## Rozdział II – Niespełnione proroctwa o losach produkcji maszynowej

Przekonaliśmy się, że ideał socjalistyczny, zakładający rekonstrukcję społeczeństwa na zasadzie kooperatywnej względnie komunalnej, wziął się z przekonania, że niekontrolowany rozrost produkcji maszynowej w społeczeństwie kompetytywnym przynosi tylko szkody; że problemy maszynizmu zajmowały w teorii socjalistycznej miejsce centralne od Owena do Marksa, niemniej zniknęły z pola widzenia i uległy kompletnemu zapomnieniu w ruchu fabiańskim, który zaczął domagać się nacjonalizacji ziemi, kapitału oraz środków produkcji i wymiany dóbr jako jedynego i ostatecznego celu akcji socjalistycznej, zamiast pojmować ją jedynie jako środek do celu, tak jak pojmowali ją wcześni socjaliści wieku dziewiętnastego; dla których celem naczelnym, rzecz jasna, było przystosowanie społeczeństwa do zmian wynikających z wielkoskalowej produkcji mechanicznej.

To pierwsza przyczyna ogólnego zamętu, jaki ogarnął niedawno cały ruch socjalistyczny. Ruch ten nie tylko że nie zdołał znaleźć rozwiązań dla obecnych problemów społecznych, to jeszcze zapomniał, jaki problem pierwotnie próbował rozwiązać. W takich okolicznościach, pierwszy krok na drodze wyzwolenia społeczeństwa z chaosu, jaki je obecnie ogarnął, stanowi przywrócenie problemowi relacji człowieka z maszyną pozycji centralnej, takiej, jaką zajmował on w teorii społecznej przed pojawieniem się Towarzystwa Fabiańskiego. Z punktu widzenia jasności myśli jest to po prostu bezwzględna konieczność, niezależna od naszych osobistych

rozpatrywań na rozwiązanie tej kwestii. Sam fakt, że problem produkcji maszynowej zajmował centralne miejsce w poglądach tak Ruskina, jak Marksa, powinien skłonić nas przynajmniej do minuty refleksji. Że dwóch wybitnych myślicieli, którzy nie zgadzali się ze sobą właściwie we wszystkich istotnych sprawach, zgodnie uznawało, iż w analizie sytuacji nowoczesnych społeczeństw rola maszyny powinna mieć absolutny priorytet, samo w sobie sugeruje przynajmniej tyle, że nie powinno się tej kwestii lekceważyć, sam zaś fakt że wszyscy myśliciele współcześni, którzy ją zlekceważyli, nie tylko że nie potrafią znaleźć efektywnych sposobów przeprowadzenia jakichkolwiek zmian, ale popadają w całkowite ideowe wyjałowienie, jasno wskazuje na niewystarczalność przyjętych przez nich założeń. W tym czy innym sensie, zawsze pojmują oni własne stanowisko w błędnej perspektywie, i nieważne jak gorąco protestowaliby przeciwko ponownemu podjęciu kwestii produkcji maszynowej jako niepotrzebnej komplikacji i tak trudnych problemów, pewien jestem, że w ostatecznym rozrachunku powrót ten okaże się nie komplikacją, a właśnie uproszczeniem, na podobnej zasadzie, na jakiej wprowadzenie nowego składnika do nieredukowalnej formuły matematycznej czasami pozwala sprowadzić ją do jedności.

Skoro zatem zgadzamy się co do fundamentalnego znaczenia problemu produkcji maszynowej, przejdźmy do omówienia, jak powinniśmy się do niego odnosić, i najlepiej będzie zacząć w tym kontekście od przyjrzenia się przepowiedniom Karola Marksa – na ile się one sprawdziły, i na ile zostały sfalsyfikowane przez późniejsze doświadczenia. Jako iż Marks, w swej płomiennej wierze w istotną dobroczynność maszynizmu, zbliża się zasadniczo do umysłowości współczesnej.

Rozmiary obecnego problemu bezrobocia stanowią zarówno dowód fałszywości fabiańskiej tezy o potencjalnie nieskończonym charakterze ekspansji przemysłowej oraz dowód prawdziwości przewidywań Karola Marksa, że znakiem ostatniej fazy kapitalizmu będzie pojawienie się ogromnej i stale rosnącej armii bezrobotnych. Ponieważ fabianie zawsze przeczyli zaciekle takiej możliwości, natychmiast dostrzegamy, że Marksowi istotnie udało się uchwycić pewną fundamentalną prawdę, której fabianom nie udało się uchwycić. Prawdą ową jest zależność finansów od produkcji maszynowej. Marks widział wyraźnie, że w warunkach systemu kompetytywnego maszyny z konieczności będą wykorzystywane na coraz większą i większą skalę, i że taki kierunek rozwoju zdaje finanse na łaskę i niełaskę produkcji maszynowej – której coraz powszechniejsze stosowanie determinować będzie kolejne fazy rozwoju społeczeństwa industrialnego, aż do momentu kulminacji. Prawdziwość niniejszej interpretacji znajduje potwierdzenie w sytuacji gospodarczej przedwojennych Niemiec. Powszechnie za przyczynę tej sytuacji uznaje się załamanie niemieckiego systemu kredytowego – fakt, że Niemcy zbudowały swoją industrialną potęgę za pożyczone pieniądze. Najważniejszym wszakże faktem w tej sprawie jest to, że przez piętnaście lat bezpośrednio przed wojną Niemcy czterokrotnie zwiększyły swój poziom produkcji. Dzięki niewyczerpanym pokładom energii, biegłości technicznej oraz postępowi naukowemu, podaż zatrważająco przekroczyła popyt. Kontrola nad produkcją zależała już nie od popytu, ale od fabryki, stale rosnąca zaś presja konkurencji spowodowała tak gigantyczny wzrost wydatków, że nie dało się już wygasić choćby jednego pieca czy zatrzymać choćby jednej maszyny; bo w takim wypadku, wydatki

bieżące zaczęłyby pochłaniać wszelkie zyski, i cały misterny system przemysłu runąłby w proch, powodując totalne bankructwo narodu*.

Jeśli nie zdamy sobie sprawy, że ostateczną przyczynę wojny stanowił katastrofalny stan niemieckiej gospodarki, wywołany bezkrytycznym uwielbieniem dla nauki i maszynizmu – pojmowanych jako cele same w sobie – nie wyciągniemy z tego, co się stało, żadnych rozsądnych wniosków. To przesilenie stało się kwestią konieczności tego samego dnia, w którym przemysł zdecydował się wkroczyć na ścieżkę niekontrolowanego umaszynowienia, bo taka droga rozwoju bezwzględnie prowadzić musi do nadprodukcji (czy „podkonsumpcji", jak niektórzy wolą to określać). Ideał myślicieli ekonomicznych wczesnego wieku dziewiętnastego, koncepcja Wielkiej Brytanii jako „warsztatu całego świata", okazała się romantycznym złudzeniem; bo żaden naród nie może w nieskończoność sprowadzać się do roli biernego konsumenta owoców produkcji maszynowej innych narodów. Przemysłowy moloch wyssałby z niego wszystkie surowce, i wszystkie siły. Tak też każdy naród, po kolei, zmuszony jest samemu rozpocząć proces industrializacji – w zwykłym geście samoobrony. Dlatego też wszystkie narody, które niegdyś pełniły rolę naszych klientów, po kolei wprowadziły u siebie produkcję maszynową, dając się porwać wirowi industrialnej gorączki. I w miarę postępów tego długiego procesu, zmuszeni byliśmy zapuszczać się coraz dalej i dalej w poszukiwaniu nowych rynków zbytu, i tylko czekać było momentu, w którym nie będziemy mieli już żadnego nowego miejsca, które można by było odkryć, i żadnego rynku, który można by wyzyskiwać. Z nadejściem tego momentu, fundamentalny fałsz całego

* Patrz: *Macki gospodarki niemieckiej* profesora Hausera z Dijon (Evelyna Nasha).

systemu objawił się nagle w formie ekonomicznego paradoksu, który zmusił Niemcy do rozpętania wojny.

Marks widział wyraźnie, że niekontrolowany maszynizm musi wywołać kryzys, to znaczy: że przyjdzie kiedyś taki dzień, w którym dalsza ekspansja przemysłowa okaże się niemożliwa. To, czego nie widział, to to, że presja systemu kompetytywnego, stymulując zazdrość między narodami, doprowadzi do wybuchu wojny. Przeciwnie, w *Manifeście komunistycznym,* mówi: „Wraz z rozwojem burżuazji, wolnego handlu i rynku światowego oraz warunkami życia, które z nich wynikają, różnice i antagonizmy między narodami zanikają w niespotykanym dotąd tempie". Jest to niezmiernie istotne, ponieważ wybuch wojny jednoznacznie dowiódł tego, że Marks – podobnie jak Herbert Spencer – zwyczajnie się mylił. Industrializm okazał się siłą destruktywną, a nie konstruktywną. Przed wojną, zwykło się uważać industrializm i militaryzm za zjawiska przeciwstawne; z których jedno służyło pokojowi, drugie zaś powodowało konflikty. Niemniej głębsza refleksja zdaje się wykazywać, że militaryzm i industrializm, w takiej formie, w jakiej istnieją w świecie współczesnym, to ledwie dwie strony tego samego medalu, ponieważ obydwie te rzeczy stanowią prosty wyraz kultu bogactwa i słabości intelektualnej, wynikającej z bezrefleksyjnego kultu maszyny, i od samego początku były ze sobą nierozerwalnie związane. Niedawną wojnę nazwał ktoś wojną machin. I tym właśnie była. W przeszłości, konflikt na tak ogromną skalę stanowił czystą niemożliwość. Aby się urzeczywistnić, potrzebował skomplikowanego aparatu państwa przemysłowego. Transport mechaniczny, telegraf, konserwy itd. były dla wielkiej wojny tak samo niezbędne, jak nowe typy uzbrojenia, i nie wolno nigdy tracić z oczu podstawowego faktu, że w produkcji brodni sztuki mechaniczne osiągnęły

szczyt doskonałości. Pancernik jest w takim samym stopniu symbolem współczesności, jak katedra – średniowiecza*.

Choć Marks nie przewidział wybuchu wielkiej wojny, z całą pewnością dostrzegał, że między produkcją mechaniczną a zastanymi tradycjami porządku społecznego i kultury zachodzi fundamentalna sprzeczność. Dostrzegał, że niekontrolowany maszynizm musi stać się przyczyną ich zniszczenia, prorokował wszakże, że na skutek zmiany warunków społecznych – i w reakcji na stosowanie produkcji maszynowej – polityka i kultura wykształcą nowe standardy. Przewidywania te, przyznaję, zostały empirycznie kompletnie sfalsyfikowane. Nie ma żadnego dowodu na to, że maszynizm tworzy obecnie cokolwiek, jakiekolwiek nowe tradycje społeczne, które mogłyby zastąpić te, które zniszczył, choćby tylko na zasadzie reakcji psychologicznej. Przeciwnie, maszyna przynosi ze sobą wyłącznie chaos i marazm**.

---

* W książce Z *perspektywy człowieka,* autorstwa dra L.P. Jackesa znaleźć można interesujący rozdział pt. „militaryzm i industrializm".

** Mistrzowską analizę wpływu maszyn na cywilizację znaleźć można w książce *Upadek społeczny i regeneracja* dra R, Augusta Freemana (1921). Wszystkie jego argumenty przeciwko produkcji maszynowej znajdują podsumowanie w tych kilku zdaniach: „Mechanizm, ze względu na wpływ, jaki wywiera tak na człowieka jak i środowisko, jest wrogiem dobrobytu. Zniszczył gospodarkę i zastąpił ją zwykłą harówką; zepsuł i zwulgaryzował efekty ludzkiej pracy; zniweczył jedność społeczną, i przyniósł na jej miejsce dezintegrację i wrogość klasową, tak intensywną, że zagrażającą samemu istnieniu cywilizacji; zdegenerował strukturę życia wspólnego, budując ją kosztem ludzkiej indywidualności; przekazał siłę polityczną w ręce niegodnych, którzy wykorzystują ją do tworzenia instytucji

Fakt, że socjologia nie jest w stanie wytworzyć żadnej teorii, która usprawiedliwiałaby niekontrolowane wykorzystywanie maszyn w procesie produkcji, znalazł kilka lat temu bezpośrednie potwierdzenie w tekstach pana H.G. Wellsa, który ze względu na swoją niewzruszoną wiarę w naturalną dobroć maszynizmu i sposób ujmowania tego problemu jest dzisiaj prawdziwym spadkobiercą samego Marksa. Tak też we wstępie do dzieła *Wielkie państwo* pisze on: „Musimy, trzeba to jasno powiedzieć, opracować w Wielkim Państwie, jeśli w ogóle mamy o nim myśleć, metodę ekonomiczną wykluczającą wszelkie podziały klasowe. Jeśli nie potrafimy tego dokonać, lepiej przejdźmy wszyscy od razu na stronę konserwatystów, bo to oni mają rację, my zaś opowiadamy absurdy. [...] Nasza współczesna ekonomia wszakże, to wciąż ledwie głupia, pretensjonalna pseudo-nauka, gnijąca masa hipotez o kupnie, sprzedaży i pensjach, i równie dobrze można by szukać odpowiedzi na to fundamentalne pytanie w dziełach Bradshawa[30] czy

---

szkodliwych dla całej zbiorowości; i na koniec, ze względu na wpływ, jaki wywarł na sposób prowadzenia wojen, stał się możliwą przyczyną całkowitego zniszczenia ludzkości, jej dorobku, i wszelkiej kultury, którą zbudowała. Stanowi więc ścisłą analogię przeciwciał, likwidujących kolonie niższego typu organizmów".

Równie interesujący jest artykuł dra Inge'a, zatytułowany „Dylematy cywilizacji" (*Edinburgh Review*, lipiec 1921), stanowiący recenzję tej książki. Choć w niektórych momentach sądy recenzenta odbiegają od autorskich ze względu na antagonizm klasowy, teza zasadnicza zostaje utrzymana w całej rozciągłości.

30 Prawdopodobnie chodzi o p. Jerzego Bradshawa (1801-1853), angielskiego kartografa i wydawcy, przewodników turystycznych i kolejowych rozkładów jazdy. Przypis z *Irlandzkich impresji* GK Chestertona.

Dumasa, co w tekstach współczesnych profesorów ekonomicznej ortodoksji"*.

Słowa pana Wellsa na temat modernistycznej ekonomii pozostają tak samo prawdziwe dzisiaj, jak były dwanaście lat temu, gdy wyszły spod jego pióra. Wszędzie panuje obecnie zmowa milczenia co do centralnego problemu naszych czasów – relacji człowieka z maszyną**Dalsze losy pana Wellsa to

---

* *Wielkie państwo,* zbiór esejów różnych autorów, z przedmową H.G. Wellsa, ss. 37-39.

** Jeśli istnieje jakikolwiek wyjątek od reguły, jest to koncepcja kredytu społecznego pana C.H. Douglasa. Pan Douglas widzi, że system płacowy jest bliski załamania. Niemniej, jego starania o znalezienie alternatywy nie napawają nas wiarą w to, że problem ten można rozwiązać bez wychodzenia poza granice modernizmu. [Chodzi Clifforda Hugo Douglasa (1879-1952). Koncepcja kredytu społecznego polega z grubsza (bardzo z grubsza) na tym. Otóż Clifford poczynił obserwację, że wraz ze wzrostem technologicznym produkcja staje się coraz większa i droższa, a pensje za tym wzrostem nie nadążają. W związku ze społecznym wymiarem gospodarki (czyli prawem do udziału wszystkich w owocach produkcji) należy zatem wypłacać wszystkim obywatelom dywidendę, która pozwoliłaby im nadążyć za tym wzrostem. Za wypłacanie tej dywidendy odpowiedzialny powinien być urząd zajmujący się emisją pieniądza (Narodowy Urząd Kredytowy). Inną metodą byłoby dopłacanie sprzedawcom różnicy między ceną ustaloną pierwotnie, a ceną po obniżce, która pozwoliłaby rozejść się danemu produktowi prawie w całości (przykład: jeśli jakiś produkt kosztuje 100 zł i sprzedaje się ¾ tego, ile go jest, należy obniżyć cenę do 75 zł a resztę wyrówna Narodowy Urząd Kredytowy). Oczywiście, taka teoria zakłada kompletnie inną rolę pieniądza w gospodarce, które to zagadnienie zostawiam osobom bardziej kompetentnym. –

jako takie stanowią jak najwymowniejsze świadectwo tego, że moderniści naprawdę nie zdołali zbudować wokół niekontrolowanego maszynizmu żadnej spójnej teorii społecznej. Pan Wells jako jedyny spośród modernistów dostrzega centralne znaczenie produkcji maszynowej i podjął naprawdę bohaterskie próby znalezienia rozwiązania. Nie udało mu się – ponieważ, jak uważam, próbował dokonać niemożliwego. Maszyneria fascynuje go zbyt mocno, aby spojrzał prawdzie w twarz, dlatego też kołuje nad problemem licząc, że znajdzie w końcu jakiś słaby punkt. Wydaje się świadom, że nie jest w stanie iść naprzód i brak mu odwagi, aby się cofnąć.

Trudności, na jakie napotyka w kontekście niekontrolowanego maszynizmu teoria społeczna odnajdujemy, w praktycznie identycznej formie, także w wypadku sztuki. Podjęto wiele prób pogodzenia sztuki z realiami produkcji maszynowej. Wszystkie skończyły się fiaskiem. I niech nikt nie mniema, jakoby wrogość przejawiana przez Ruch Sztuk i Rzemiosł[31] w stosunku do maszynerii produkcyjnej brała się z prymitywnych i nieuleczalnych przesądów. Przeciwnie – to ściśle logiczny wniosek, to którego dochodzi się bardzo niechętnie, i po wielu doświadczeniach. Liczba artystów skłonnych sądzić, że prawa sztuki i władzę maszyny da się w pewien sposób pogodzić

---

wyj. tłumacza. Przypis z *Wolnej prasy* Hilarego Belloca. Swoją drogą, Penty i Douglas bardzo rywalizowali ze sobą o wpływ na ruch socjalizmu cechowego.]

31 Oryg, *Arts and Crafts movement* – ruch zrzeszający artystów i rzemieślników z różnych dziedzin, założony przez Williama Morrisa w 1888 w Londynie, bardzo wpływowy; celem był powrót do starego ideału pracy rzemieślniczej i tworzenia rzeczy naraz pięknych i użytecznych. Inspiracją były pisma Jana Ruskina. Ruch znalazł naśladowców był w całej Europie, także w Polsce. Przypis z *Odrodzenia ustroju cechowego.*

zawsze była mniej więcej równa liczbie tych, którzy sądzili inaczej. Interesującym faktem jest jednak to, że nieodmiennie najchętniej przyjmują ten sąd za swój ci ludzie, których pracy nie da się zastąpić produkcją maszynową, że najnowsze koncepcje sztuki narodziły się wyłącznie w umysłach tych, którzy powrócili do podstaw i zaczęli upatrywać jej początków w rzemiośle, nie zaś w umysłach wielbicieli maszyn, i że wszelkie dobre owoce produkcji maszynowej zawsze, w każdym wypadku, stanowią ledwie imitację owoców pracy ręcznej. Taka jest po prostu prawda. Maszyneria z natury swej jest czysto imitatywna; niczego nie tworzy. A nawet w zakresie samej imitacji możliwości jej pozostają bardzo ograniczone. I zawsze będzie istnieć coś, co się jej wymknie, pewna szczególna jakość, której maszynowa reprodukcja zwyczajnie nie potrafi oddać. Jakością tą – jest charakter. Produkcja maszynowa nie ma charakteru. Maszynowo można wytwarzać rzeczy naprawdę szlachetnych proporcji, ładnego koloru i przyjemnego kształtu. Charakteru wszakże zawsze, ale to zawsze, zabraknie. Charakter dzieła to rzecz kompletnie nieosiągalna dla martwej maszyny.

Tymczasem, maszyna nie obudziła w społeczeństwie żadnych nowych form twórczych. Towarzystwo Kompozycjno-Przemysłowe[32] poczyniło tytaniczne starania by pogodzić sztukę z warunkami produkcji industrialnej. Widząc, że

---

32 Oryg. *The Design and Industries Association* – towarzystwo artystyczne założone mniej więcej w roku 1914 przez grupę artystów brytyjskich, pragnących skopiować niemiecki (oczywiście) model adaptacji sztuki do warunków społeczeństwa przemysłowego. Propaganda oficjalna jest taka, że się udało, choć sam pan P. miał co do tego, jak się zdaje, inną opinię.

ruch Sztuki i Rzemiosła nie osiągnął swych celów, i nie wywarł większego wpływu na całość gospodarki, zaczęło ono głosić swą ewangelię jakoby jedyną metodę odrodzenia sztuki stanowiło zbudowanie mostów łączących ją ze światem wielkiej maszynerii. Niemniej, jeśli chodzi o wpływ na przemysł, inicjatywa ta poniosła równie dotkliwą porażkę, jak ruch Williama Morrisa, a jednocześnie widać aż za dobrze, że do dziedziny rzemiosła idee jej wniosły co najwyżej wkłady pasożytnicze. I nie jest to zresztą żadnym zaskoczeniem, jeżeli tylko pamięta się, że cały rozwój naukowy czasów najnowszych miał swoje źródło w swobodnym eksperymentowaniu z materiałem; bo czymże jest przecież nauka eksperymentalna, jeśli nie odpowiednikiem eksperymentalnego rękodzieła? I jeśli nauka nie potrafi czynić postępów bez tej eksperymentalnej podstawy, dlaczego zakładać, że sztuka może? Prawda jest taka, że szukając dróg odrodzenia sztuki na bazie powrotu do eksperymentalnego rękodzieła, artyści przejmują po prostu metody naukowe. Ale skoro między nauką eksperymentalną a produkcją maszynową nie zachodzi najmniejsza sprzeczność, dlaczego miałaby ona zachodzić między produkcją maszynową a rękodzielnictwem? Odpowiedź brzmi, że bierze się ona stąd iż standard mechaniczny, dla nauki zupełnie zadowalający, pozwala wkomponować się w system produkcji kwantytatywnej, standard estetyczny rzemiosła zaś – nie, ze względu na to, że z konieczności suponuje on wolność twórcy. Całe instrumentarium kapitalizmu, jego standard kwantytatywny, wielka organizacja, jego szybkość i złożoność, jako takie stanowi truciznę dla ducha rzemieślniczego. Te dwie rzeczywistości kłócą się ze sobą w tysiącach wypadków, i wszelkie próby pogodzenia ich muszą zakończyć się całkowitym fiaskiem.

Niemniej, antagonizm ów ma jeszcze głębszą przyczynę. Bo te dwie przeciwstawne rzeczywistości, kapitalizm i rzemiosło, służą zupełnie innym celom. Cele sztuki mają naturę duchową; cele produkcji maszynowej i wolnego rynku – ściśle materialną. Do pewnego punktu, obydwa te rodzaje celowości mogą rozwijać się obok siebie bez żadnych napięć. Duchowy i materialny aspekt życia idą ręka w rękę. Kiedy wszakże punkt ten zostanie przekroczony, wszystko się zmienia. Zaczyna się separacja. Od tego momentu, dalszy rozwój jednej z tych dwóch dziedzin życia może dokonywać się tylko kosztem drugiej. I nie chodzi w żadnym wypadku o świadomą chęć. To kwestia utraty równowagi, naturalnie wynikającej ze zbytniej koncentracji na problemach jednej strony naszej egzystencji. Kwestia proporcji. Podobnie jak chemii; wiemy że substancje tworzące ze sobą związek chemiczny mogą to czynić wyłącznie przy zachowaniu takich a nie innych proporcji, i w żadnym innym wypadku, podobnie można powiedzieć, że materialne i duchowe elementy życia łączą się w organiczną całość wyłącznie w takim społeczeństwie, które potrafi zachować między nimi pewną zdrową równowagę. Tytułem translacji tej metafory na język odpowiedni dla problemu, którym się teraz zajmujemy, możemy powiedzieć, że mechanizm to jeden aspekt życia; sztuka – drugi. Te dwa aspekty mogą się ze sobą organicznie wiązać, tak jak miało to miejsce w przeszłości, gdy potrafiono zachować między nimi odpowiednie proporcje. Obecnie wszakże, w czasach nienormalnego przerostu aspektu mechanicznego, jest to niemożliwe. Błąd polegający na przeświadczeniu, że mechanizm może pewnego dnia wydać z siebie nowy rodzaj sztuki ma swoje źródło w innym błędzie, w nieumiejętności rozpoznania, że te dwa aspekty życia, jako z natury swojej rozdzielne, nie potrafią przechodzić jeden w drugi. Jakże łatwo uspokajać się przyjemną iluzją, jakoby między sztuką a maszynizmem

nie zachodziła żadna zasadnicza sprzeczność, jeśli nie spróbowało się ich połączyć – i jakże trudno *po* takiej próbie. Standard estetyczny i standard mechaniczny różnią się od siebie tak bardzo, jak poznanie poetyckie i poznanie logiczne. I wiara w to, że procesy mechaniczne wydadzą z siebie kiedyś nową formę sztuki jest czymś równie racjonalnym, jak próba wyciśnięcia poezji z sylogizmu.

Nie istnieje taka gałąź sztuki, dla której produkcja mechaniczna nie stanowiłaby śmiertelnego zagrożenia. Wszystkim grozi wymarcie – i nie widać póki co żadnych nowych jakości, które można by uznać za rzeczywisty substytut. Oczywiście, można powiedzieć, że problem architektury na przykład to rzecz zbyt złożona, by dało się ją adekwatnie opisać przy pomocy podobnego uproszczenia. Na pewno jednak można stwierdzić na ten temat przynajmniej tyle, że ta dziedzina sztuki znajduje się obecnie w ogniu krzyżowym ogromnej siatki wpływów i czynników, którym architekt bardzo często nie potrafi się przeciwstawić, a z których prawie wszystkie stanowią pośrednie lub bezpośrednie skutki niekontrolowanego maszynizmu. Przez bardzo długi czas, jedyną trudnością, z jaką musiał mierzyć się kompetentny architekt, stanowiła kwestia dostępu do wysokiej jakości cegieł i kafelków. Ostatnio natomiast, przywaliła go lawina sztucznych materiałów, płyt azbestowych, betonowych bloków, standaryzowanych ram okiennych, drzwi i tego typu abominacji, które uderzają w samo serce wszelkiej prawdziwej pracy. Wyłącznie zamówienia o wyższej cenie, których ilość spada dramatycznie z roku na rok, dają architektom jakąś możliwość ucieczki przed tym zalewem śmiecia. Wierzyć, że w takich warunkach naprawdę może pojawić się jakiś rzeczywiście nowy styl architektury, to uciekać w fantazje pozbawione jakiegokolwiek związku ze światem realnym.

I istotnie, wśród architektów nie wierzy w to zgoła nikt, choć to nie znaczy, że nikt nie próbuje.

Inne sztuki nie wytrzymują konkurencji z maszynową imitacją, uprawianą w tej czy innej formie. Rynek malarski został zrujnowany przez zalew tandetnych reprodukcji; muzyka musi mierzyć się z gramofonem; teatr z kinem; a dobry smak literacki zatruwają potoki ścieków, sączące się z taniej prasy codziennej.

Choć nowe wynalazki i produkcja maszynowa zaszkodziły wszystkim gałęziom sztuki, może poza tymi, które mają swoje źródło w rzemiośle, to mniej chodzi tutaj o samo w sobie używanie maszyn, co raczej o degenerację popytu. Degeneracja ta stanowi ledwie naturalną konsekwencję niekorzystnych sposobów wykorzystywania maszyn w produkcji, z ich monotonią pracy, z ich stale rosnącą szybkością, oraz z ich bezwzględnym postępem, który mieli istotnie różne od siebie rzeczy w amorficzne konglomeraty o nieprawdopodobnym stopniu skomplikowania. Rozsądne przyjemności biorą się z rozsądnej pracy. Degeneracja pracy zatem, nieodmiennie skutkuje degeneracją czasu wolnego. Bo jeśli zamienia się ludzi w maszyny, albo każe się im pracować w sposób, który nie przynosi im ani przyjemności, ani satysfakcji, ich życie zaczyna gnić u samych korzeni. I nieważne, czy uda się zredukować dzień pracy do sześciu, czy nawet czterech godzin dziennie – to fundamentalne zepsucie i tak się utrzyma. W podobnych warunkach, człowiek traci normalność. Ogarnia go uczucie niepokoju, które – w skutkach – niszczy wszystkie jego naturalne instynkty. Zaczyna gorączkowo łaknąć ekscytacji, i tak długo, jak długo człowiek ten zachowa siłę i męskość, głód ten zaspokajać będzie hazardem, piciem

i występkiem. Ale kiedy, ze względu na wpływ warunków przemysłowych, dane pokolenie traci swoją witalność, jedyne, czego pragnie, to trochę dobrej zabawy, w związku z czym ostatecznie zaczyna masowo chodzić do kina – co jest najmniej wymagającą intelektualnie formą rozrywki w ogóle. Tak właśnie mechaniczna praca wydaje z siebie potrzebę mechanicznej rozrywki. I cały ten proces to rzecz zupełnie naturalna, ponieważ w ostatecznym rozrachunku kultura nie może istnieć bez związku z życiem. Wielkie kultury przeszłości stanowiły organiczny element codziennej pracy człowieka. Towarzyszyły mu w niej, wytwarzając w jego duszy pewne stałe usposobienie, zharmonizowane z ich najwyższym rejestrem. Kultury takie stanowiły zjawiska prawdziwie ludzkie, w tym sensie, że potrafiły związać króla i wieśniaka, księdza i rzemieślnika wspólnymi więzami współczucia i zrozumienia. Lecz podobne poczucie zrozumienia między różnymi klasami jest niemożliwe, jeśli ogół społeczny zmuszony jest pracować w sposób zdegenerowany – ponieważ nie da się uzupełnić edukacją tych braków, które wytwarza w umyśle człowieka jego codzienne zajęcie. Stąd właśnie bierze się ta nieprzenikalna bariera, oddzielająca obecnie wielu od wybranych. Ogniwa łączące kulturę z życiem pękły, i nigdy nie uda się ich naprawić, o ile nie uda nam się wyzwolić z kajdan niewolników maszyny. Tak też wszelkie przejawy życia stają się wyprane z kultury, i pozbawione sztuki – ponieważ kultura i sztuka to rzeczy zbyt ogromne, by mogła podtrzymać je grupka nielicznych. Albo wszyscy będą mieć w nich udział, albo nikt. Jeśli sztuka naprawdę ma się odrodzić, musi być to sztuka stanowiąca własność wspólną całego społeczeństwa, i taka sztuka nigdy nie narodzi się w warunkach przemysłowych. Przeciwnie, jedyna sztuka (jeśli możemy to tak nazwać), do wytworzenia której zdolna jest wspólnota mechaniczna, to sztuka kina i gramofonu, jedyna kultura zaś – kultura mechanizmu, czy to samochodu,

czy samolotu. Bo tylko tego typu wynalazki stanowią obecnie realną część życia żywych ludzi. Jeśli to właśnie miał na myśli Marks, gdy prorokował, że maszynizm stanie się nowym impulsem kulturotwórczym i artystycznym, to można stwierdzić, że jego proroctwo się sprawdziło, przynajmniej w tym beznadziejnie ograniczonym sensie. Na pewno jednak tego typu kultura i sztuka to nie kultura i sztuka, które mnie osobiście kojarzyłyby się z przepowiadaną świetnością „milenium socjalistycznego", bo na pewno nie można powiedzieć, że służą one dobru wspólnemu. Przeciwnie – to kultura i sztuka pospolitej plutokracji.

Na identycznej zasadzie, na jakiej produkcja mechaniczna wytworzyła nastrój społeczny niekorzystny dla sztuki, podobnie stała się źródłem atmosfery powszechnej wrogości w stosunku do religii. Prawdziwym wrogiem moralności chrześcijańskiej jest nie materializm, ale maszyna. Starsi racjonaliści negowali nadprzyrodzony charakter religii chrześcijańskiej, ale ani myśleli przeczyć jego regułom etycznym. Ten atak, należy zauważyć, wyszedł ze strony tych, którzy wierzyli w wyzwolicielski wpływ maszynizmu, którym wydawało się – w pewien dziwny, niejasny sposób – że wraz z nadejściem ery maszynerii, chrześcijaństwo – podobnie jak rzemiosło – stało się niepotrzebne. Postacią wiodącą pośród wyznawców tego poglądu był zresztą sam Marks, ponieważ „nowa moralność", której budowę postuluje, miałaby się rzekomo narodzić na skutek rozkładu żywotnej tkanki obecnego społeczeństwa, wywołanego przez maszynizm, i biorąc pod uwagę niszczycielskie skutki, jakie system fabryczny wywiera na życie rodzinne, trudno nie dostrzec łączności zachodzącej między tymi dwoma zjawiskami. Ludzie, którzy mieli okazję wzrastać w szczęśliwszych okolicznościach Wschodu, doskonale wyczuwają zachodzący tu antagonizm.

Niech będzie mi wolno przywołać tutaj słowa Hindusa, pana Raba Bharati[33], dotyczące dokładnie tego problemu. Otóż, mówi on:

„Cóż to zresztą jest cywilizacja? Przez ostatnie pięć lat, miałem okazję mieszkać w czterech spośród jej zasadniczych centrów. Przez ten czas, próbowałem zrozumieć ją tak dobrze, jak tylko pozwala mi na to owo nędzne światło, jakie przekazali mi moi bramińscy przodkowie. I muszę przyznać, że rozmyślania moje sprawiły mi wiele bólu. Oto bowiem tak wielka ‘cywilizacja’ uczyniła egoizm swoją najwyższą wiarą. Mamona stała się dla niej tronem Boga, fałsz nauką, kłamstwo sztuką piękną. [...] Wytworzyła w człowieku sztuczne potrzeby i zrobiła z niego niewolnika tej pracy, która pozwala je zaspokoić; napełniła go niepokojem wewnętrznym i zewnętrznym, i odebrała mu wolny czas – jedynego przyjaciela wysokiej myśli. Nie zna on już pokoju – dlatego też nie zna siebie, i prawdziwych celów swego życia. Zamieniła go w oddychającą maszynę, wiecznie w gorączce, wiecznie w pośpiechu, wiecznie w walce, wiecznie w ruchu – maszynę, która pracuje bez ustanku, nie znając ani chwili wytchnienia, ani nawet błogiej ulgi spokojnego snu. Zamieniła go w kłębek nerwów, rozedrganych i pozostających w ustawicznym napięciu. Podcięła korzenie życia domowego – i pozbawione

33 Być może chodzi o Rabindranatha Tagore (1861-1941)? Hinduskiego uczonego, mędrca, bramina, pisarza, poety, polityka, jedną z najważniejszych postaci kultury bengalskiej i indyjskiej, który sporo czasu poświęcił na poznawanie Europy późnego wieku XIX. Politycznie był zwolennikiem niepodległościowej myśli hinduskiej, a także – swoistej formy hinduskiego dystrybucjonizmu, wzbogaconego o wątki okcydentalne (był wielkim przeciwnikiem ślepej nienawiści w stosunku do Brytyjczyków). W 1913 otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

tych ożywczych soków drzewo chwieje się i omal nie pada pod najlżejszym podmuchem wiatru. Jej wulgarna bieganina i miłość sensacji wdziera się nawet w domenę religii, którą klasyfikuje się w niej obecnie jako zwykłą fanaberię – lub zwykłe wariactwo. Osławione wynalazki jej nauki wyrządziły ludzkości, w sferze jej najważniejszych i wiecznych problemów, więcej szkody niż pożytku; służą one wyłącznie wierzchniej warstwie życia, jedynej, którą wyznawcy jej czują i rozumieją"*.

Powiedziało się tutaj już dość, by udowodnić, że proroctwa Karola Marksa i Herberta Spencera, wieszczące niekontrolowanemu maszynizmowi cudowną przyszłość, proroctwa – dodajmy – które świat współczesny w mniejszym lub większym stopniu uznał za swoje, nie tylko że się nie sprawdziły, ale nic nie wskazuje, by kiedykolwiek miały się spełnić, bo wszystkie dostępne nam dane wskazują na coś dokładnie odwrotnego. Marks był dobrym obserwatorem. Dostrzegł, że to nie ludzie używają maszyn, ale raczej maszyny „używają" ludzi, z czego wyprowadził wniosek, że siły produkcyjne to uniwersalna przyczyna rozwoju społecznego. Nie ma tutaj wszakże logicznej konieczności. Łatwo zrozumieć, dlaczego społeczeństwo odrzucające regulację produkcji maszynowej zawsze znajdzie się ostatecznie na jej łasce i niełasce. Ale nie wynika stąd wcale, że przed wynalezieniem tego typu produkcji każde społeczeństwo znajdowało się na łasce i niełasce narzędzi rzemieślników, bo w czasach przed-maszynowych zmiany zachodziły zbyt wolno, aby siły produkcyjne mogły zdominować ludzką umysłowość czy w jakikolwiek sposób wpłynąć na kierunek rozwoju życia zbiorowego. Niemniej, od czasu rewolucji przemysłowej, sąd ów rzeczywiście

---

* W *Światło Azji,* cytat za: *Paranoja szybkości,* Tomasz F, Taylor, ss. 23-24.

jest prawdziwy, w związku z czym, choć nie możemy wespół z Marksem podnosić specyficznej sytuacji społecznej i gospodarczej wieku dziewiętnastego do rangi uniwersalnego prawa historii, możemy uznać przynajmniej tyle, że jeśli chodzi o epokę industrialną, Marks się nie pomylił, i upowszechnianie produkcji maszynowej istotnie stanowiło w niej wiodącą siłę dziejową. Na pewno jednak nie możemy zgodzić się z tezą, jakoby ostatecznym rezultatem tego procesu miało być nadejście błogiego „milenium socjalistycznego", ponieważ wszystkie dostępne nam dane jasno wskazują, że nieuregulowana ekspansja elementu mechanicznego w produkcji w błyskawicznym tempie prowadzi do rozkładu całej struktury cywilizacyjnej, nie tworząc przy tym żadnych nowych jakości, które mogłyby zająć jej miejsce. Zgadzamy się zatem z Marksem co do tego, że niekontrolowany maszynizm to czynnik niszczący stare tradycje społeczne – ale już nie co tego, że to także czynnik twórczy, który z konieczności wyda z siebie nowy porządek kultury.

Ale jeśli tak jest w istocie, co zostaje z socjalistycznej teorii społecznej? Pamiętajmy, że ideę centralną socjalistycznej ewangelii stanowiło przekonanie, że niekontrolowany maszynizm okaże się ostatecznie siłą konstruktywną. A co, jeśli okaże się wyłącznie siłą destruktywną? Co stanie się w takim wypadku z podobną ewangelią? Socjalistyczny ideał życia prawdziwie wspólnego, prawdziwej wspólnoty ludzkiej, może się utrzymać. Ale socjalistyczna teoria rozwoju społecznego upada pod naporem faktów, i nie może przedstawiać już dla nas żadnej wartości. Pamiętajmy bowiem: powiedzenie, że ruch socjalistyczny atakuje raczej kapitał, niż maszynizm, nie jest żadną wymówką i na nic się nie zda, ponieważ obydwie te rzeczywistości są ze sobą ściśle związane i zmiana nastawienia do jednej

z nich z konieczności musi wiązać się ze zmianą nastawienia do drugiej. Jeśli maszynizm jest czynnikiem destruktywnym, kapitalizm również jest czynnikiem destruktywnym, w związku z czym nie może stanowić podstawy państwa socjalistycznego. Wciąż możemy uznawać kapitał, w tym sensie, w jakim reprezentuje on bogactwo i władzę polityczną, za naszego naczelnego wroga. Ale koncepcja jego natury musi ulec tak daleko idącej modyfikacji, że potrzebna nam będzie w działaniu kompletnie nowa aksjologia.

## Rozdział III – Maszynizm i podpodział pracy

Przekonaliśmy się, że socjalistyczna teoria ewolucji społecznej, oparta na przekonaniu o twórczym wpływie produkcji maszynowej, została na drodze empirycznej bezdyskusyjnie sfalsyfikowana, ponieważ impuls cywilizacyjny maszynizmu nie tylko że nie wydał z siebie, wbrew przewidywaniom Marksa, nowego porządku społecznego i nowych tradycji, to jeszcze okazał się w swej naturze czysto niszczycielski. W tych okolicznościach, ruch socjalistyczny powinien czym prędzej przemyśleć swoje stanowisko ideowe – bo po cóż głosić teorie ekonomiczne oparte na określonej koncepcji ewolucji społecznej w momencie, w którym wiadomo już ponad wszelką wątpliwość, że koncepcja ta jest zupełnie fałszywa?

Prawda, że socjaliści od pewnego czasu odnoszą się do pojęcia ewolucji społecznej raczej ostrożnie. Wciąż boją się jednak wykonać ostatni krok na drodze dedukcji, którą upadek ich doktryny centralnej naturalnie implikuje. Jeśli nie ma żadnego dowodu na to, że w sferze społecznej zachodzi stały postęp, jedyne co nam pozostaje to uznać, że ciągle gubimy drogę, i że momentami możemy mieć do czynienia nie tyle z ewolucją, co dewolucją. Jeśli zaś społeczeństwo naprawdę może zgubić drogę, to najistotniejszym krokiem, który musimy wykonać, jest zawrócić, i odnaleźć to miejsce, w którym ją zgubiliśmy. W życiu codziennym takie nastawienie to zupełna normalność, i wszyscy tak robimy – w sprawach wielkich i fundamentalnych wszakże, z jakiegoś powodu już nie. Kiedy ktoś powie nam, że idziemy w złym kierunku, zbywamy go zazwyczaj wyświechtanym sloganem, jakoby nie dało się „cofnąć wskazówek zegara” i brniemy dalej w gąszcz politycznej głupoty, mając mniej lub bardziej świadome

przekonanie, że zamęt społeczny wynikający z przeszłej niesprawiedliwości ekonomicznej jakimś cudem stanie się fundamentem, na którym przyszłe pokolenia zbudują „nowe milenium”. Niemniej, dowody świadczące, że industrializm to ślepa uliczka, z której musimy czym prędzej wyjść albo zginąć, z każdym dniem stają się bardziej jednoznaczne. Jakiekolwiek wymówki znaleźć by mogli dla swoich nietrafionych sądów Owen i Marks, socjaliści współcześni nie mają już zgoła żadnej, bo „industrialny nowotwór zaczął obumierać, i jego koniec jest bliski”, i „na tysiące sposobów, zza rozwiewających się powoli kłębów dymu, zaczyna wyzierać delikatny zarys starego świata”[34].

Gdy zdamy sobie sprawę z wagi tych wszystkich kwestii, zaczynamy również nareszcie rozumieć faktyczne znaczenie mediewizmu. Jego źródła nie stanowi bynajmniej prosta idealizacja przeszłości, jak mniemają to w swej ignorancji nasi krytycy, ale zdolność do szczerego, jednoznacznego stawienia czoła teraźniejszym problemom – bo jeśli umysł ludzki dojrzeje do stanu, w którym nie będzie mógł rozważać przyszłości industrializmu bez straszliwego niepokoju ducha, w naturalny sposób zaczyna szukać inspiracji w minionych epokach. W takiej perspektywie, mediewizm nie jawi się jako czczy romantyzm, ale jako ostatnie słowo utylitaryzmu, jak jeszcze wszyscy się przekonają, prędzej czy później. Jego wartość jako ideału przejawia się dokładnie w tym, że dostarcza on doskonałego punktu wyjścia – że z tej pozycji zaatakować można wszystkie głupstwa naszej obecnej cywilizacji. Mediewizm sprzeciwia się nowoczesnej teorii postępu, z jej ślepym uwielbieniem dla ekspansji przemysłu, wywyższając erę, która – przy

34 Aluzja prawdopodobnie to tekstów Inge’a.

wszystkich swoich wadach (których istnieniu nie można zaprzeczyć) – była w każdym wypadku wolna od wad współczesności, dostarczając w ten sposób trwałego i konkretnego odniesienia, wokół którego krystalizować mogą się myśli i działania człowieka. Świat współczesny pogardza średniowieczem nie dlatego, że jest realistyczny, ale przeciwnie – romantyczny i powierzchowny, ponieważ żywi się frazesami i gardzi rzeczywistością, ponieważ jedyne, co się dla niego liczy, to kilka słówek, jak postęp, emancypacja i wolność, które mogą znaczyć dosłownie wszystko, w zależności od interpretacji; ponieważ nienawidzi dogmatów i definicji, stanowiących nieodzowny warunek jasności myślenia; ponieważ mniema, że można zjeść ciastko i mieć ciastko, i nie zwraca uwagi na sprawy fundamentalne. Bo jeśli ktoś zwraca uwagę na sprawy fundamentalne, natychmiast musi zwrócić uwagę na średniowiecze; bo to w tej epoce właśnie trzeba szukać źródeł i podstaw świata współczesnego. Dlatego też pewna znajomość historii wieków średnich to rzecz konieczna do rozumienia współczesności w słusznej perspektywie, do rozróżniania idei pierwszo- i drugorzędnych. Kiedy zaś nauczymy się je w ten sposób rozróżniać, wtedy pojmiemy, że świat współczesny musi się cofnąć, co też uczyni, i to już bardzo niedługo. Nie może zachować swojej optymistycznej wiary w przyszłość, więc malutko jeszcze, a zacznie patrzeć w przeszłość. Kiedy zaś to się stanie, dzień ocalenia przybliży się, ponieważ nareszcie zyskamy spójną wizję świata, która pozwoli nam zintegrować różnorodne pola naszej aktywności.

Na ile ja to widzę przynajmniej, nie chodzi o to, czy iść naprzód, czy się cofnąć, ale czy nadal dryfować bezwolnie w stronę nieuniknionej katastrofy społecznej, czy świadomie przeanalizować własne dzieje, odnajdując

nareszcie trwały fundament dalszego działania. Wszelkiej maści moderniści, opracowujący najprzeróżniejsze propozycje uzdrowienia chorób toczących nasze społeczeństwo, nie dostrzegają, że społeczeństwo to znajduje się obecnie w stanie kompletnego rozchwiania i nie odzyska stabilności. Musi przechylić się albo naprzód, albo w tył. Skoro zaś zgadzamy się przynajmniej co do tego, że każdy krok wprzód niesie ze sobą wielkie niebezpieczeństwo, mądrość nakazuje zrobić krok do tyłu; to w tym wypadku jedyne racjonalne wyjście. Świat współczesny wszakże, waha się, i nie jest to bynajmniej zaskakujące, bo potencjalne skutki porażają ogromem, a płynąć z prądem jest przecież dużo, dużo łatwiej, niż pod prąd; tak też, o ile nie oczyścili dostatecznie swoich umysłów, ludzie się tej decyzji zwyczajnie boją. Niemniej, kiedyś ją podejmą, bo podjąć ją muszą; i jeśli nie zrobią tego z wyboru, to na pewno z bólu i cierpienia, bo nie istnieje żadna trzecia droga. Nie ma sensu reformować rzeczy drugorzędnych, ignorując kwestie podstawowe. To tylko zabawa w reformy. Jeśli zaś opinia publiczna nie interesuje się tym zagadnieniem, naszym zadaniem jest ją zainteresować, i to jak najszybciej, bo wkrótce może już być za późno.

W rzeczywistości jednak, opinia publiczna interesuje się tym zagadnieniem, i to całkiem wyraźnie – ale, niestety, nie interesują się nim kółka reformistyczne, żyjące w świecie ekonomicznych abstrakcji. Ruch socjalistyczny, jak widzieliśmy, pierwotnie stanowił próbę odpowiedzi na pytania rodzące się w związku z niekontrolowanym umaszynowieniem produkcji, i wróci do swych podstaw już za czas niedługi, ponieważ dziś, w świecie, w którym wszystkie rynki lokalne się bronią i nie da się ich już wyzyskiwać, każdy nowy wynalazek maszynowy musi pomnażać liczbę bezrobotnych. Ze względu na sam ten fakt, kwestia niniejsza musi wysunąć

się na plan pierwszy. Temat musi wypłynąć. Nie ma sensu zaczynać od opracowania jakiegokolwiek szczegółowego planu działania – najpierw ludzie muszą po prostu poznać prawdę. Na dziś, możemy domagać się tylko tego, by każdy wynalazek maszynowy, zanim wejdzie na rynek, stał się przedmiotem debaty publicznej, która ustali jego potencjalny wpływ na sytuację pracujących: warunki pracy, zatrudnienie, na sztukę i rzemiosło, i wszystkie inne czynniki społeczne i gospodarcze. Wprowadzenie jakiegoś nowego wynalazku do procesu produkcji powinno być dozwolone wyłącznie za zgodą odpowiedniej komisji. Jeśli spowoduje zwolnienia, beneficjenci jego powinni zostać obarczeni odpowiedzialnością za los tych, których zostawili bez środków do życia. Zresztą, domaganie się wprowadzenia regulacji w sferze produkcji maszynowej opiera się na dokładnie tym samym argumencie, co jakiekolwiek inne regulacje. Chodzi tylko o powstrzymanie działań szkodliwych społecznie, niezależnie czy wynikałyby one ze złej woli, czy z dobrych intencji i ignorancji.

Po wprowadzeniu takiego prawa, nasze zwycięstwo stałoby się pewne, bo dowody świadczące o tym, że niekontrolowany maszynizm przynosi wyłącznie zło, są po prostu miażdżące, co potwierdzą wszyscy, którzy poświęcili przynajmniej trochę czasu na zbadanie sprawy. Wyszłyby na jaw przeróżne, nieznane dotąd szerzej fakty, które skłoniłyby ogół do przemyślenia kwestii produkcji maszynowej i potrzeby odrodzenia wielkich tradycji naszej cywilizacji, które w bezmyślności swojej pozwoliliśmy zniszczyć. Gdyby tylko udało się zwrócić uwagę społeczną w tym właśnie kierunku, natychmiast zaowocowałoby to fermentem intelektualnym odważnie stawiającym czoła współczesnym realiom, bo wolnym już od

złudzeń mechanicznego hipnotyzmu, przez które obecnie dryfujemy beztrosko w kierunku własnej zguby.

Problem produkcji maszynowej ma dwa aspekty: pozytywny i negatywny. Aspektem negatywnym jest powstrzymanie dalszej destrukcji naszych tradycji cywilizacyjnych, pozytywnym zaś odtworzenie tych, które zostały do naszych czasów zniszczone. Kiedy wszakże zaczynamy myśleć o sprawie w taki sposób, widzimy, że choć maszynizm stanowił tutaj zdecydowanie najpotężniejszy czynnik destruktywny, ale na pewno nie jedyny, i na pewno nie jego skutki nie okazałyby się do tego stopnia niszczycielskie gdyby nie to, że pojawił się w społeczeństwie, którego tradycyjna struktura została już wprzódy podkopana przez podpodział pracy, prostą konsekwencję upadku systemu cechowego, który to upadek wydał naszą gospodarkę na łaskę i niełaskę kapitalistycznych wyzyskiwaczy.

Nasza krytyka maszynizmu nie kieruje się bowiem przeciwko maszynom jako takim, lecz tylko przeciw niekontrolowanemu stosowaniu ich w procesie produkcji oraz świadomemu ignorowaniu społecznych i gospodarczych konsekwencji tego fenomenu. W wypadku podpodziału pracy wszakże, fundamentu i przyczyny chaotycznego umaszynowienia, sytuacja jest inna, ponieważ zjawisko to wydaje się nam czymś samym w sobie całkowicie ohydnym i szkodliwym, w związku z czym należy bezwzględnie domagać się jego natychmiastowej likwidacji. Aby wyjaśnić, o co mi chodzi, muszę odwołać się teraz do rozróżnienia między podziałem pracy, rzeczą w pełni naturalną i normalną, a właśnie jej „pod-podziałem", który nie jest już ani naturalny, ani normalny.

W każdym cywilizowanym społeczeństwie, podział pracy stanowi kwestię konieczności, ponieważ skoro w oczywisty sposób żaden człowiek nie potrafi samemu zaspokoić wszystkich swoich potrzeb, całość pracy w danej społeczności należy podzielić między różne zawody. W pewnym stopniu, człowiek z konieczności musi polegać na innych. Z tej przyczyny, rozwój cywilizacyjny rozpoczął się dopiero wraz z upowszechnieniem obyczaju specjalizowania się w różnych zajęciach. W określonej wspólnocie, jeden człowiek zostawał garncarzem, drugi tkaczem, trzeci cieślą i tak dalej. W takim właśnie zakresie, podział pracy to rzecz w pełni usprawiedliwiona, nie tylko dlatego, że stanowi konieczność cywilizacyjną, ale przede wszystkim ponieważ potężnie ubogaca życie jednostek, dostarczając im nowych narzędzi autoekspresji. W wieku siedemnastym wszakże, pod wpływem niespotykanej dotąd żądzy zysku, rozpoczął się inny proces, bardziej skomplikowany. Pragnienie maksymalizacji produkcji przy jednoczesnej minimalizacji jej kosztów pchnęło społeczeństwo do podpodziału pracy na wiele pojedynczych, zatomizowanych procesów. Klasycznego przykładu podpodziału pracy dostarcza w *Bogactwie narodów* piejący nad tym zjawiskiem z zachwytu Adam Smith: do produkcji jednej pinezki potrzeba dwudziestu ludzi i tego, by każdy specjalizował się do końca życia wyłącznie w wykonywaniu jednej, jedynej czynności. Naukowe zarządzanie pracą, o którym w ostatnich latach tak wiele słyszymy, stanowi po prostu logiczne zwieńczenie tego sposobu myślenia i koronę systemu fabrycznego. Podpodział pracy szkodzi człowiekowi tylko pośrednio, ze względu na to, że niszczy tradycje rękodzieła. W wypadku naukowego zarządzania pracą wszakże, maski opadają, bo wiadomo przecież, jaki jest cel tej operacji: „zwiększenie produkcji przez wyeliminowanie z ruchów rąk,

palców i tułowia robotnika tych wszystkich elementów, które nie wnoszą nic do procesu wytwórczego”.

Podpodział pracy i naukowe zarządzanie pracą (czyli zasadniczo jego ostatnia faza rozwojowa) to naczelne przekleństwa cywilizacji industrialnej, ponieważ sprowadzając człowieka do funkcji automatonu, sprowadzają go do częściowo tylko ludzkiego sposobu bytowania; niszczą jego życie duchowe, moralne i psychiczne, dezintegrują jego osobowość, a doprowadzając do przesycenia rynku, w nieunikniony sposób wydają z siebie wyzysk i niepewność materialną. Prócz tego, skutkują one jeszcze postępującą atrofią jego naturalnych zdolności. Dr August Freeman, w książce, do której już się na tych stronach odwoływałem, zwraca uwagę na niezwykle niepokojące symptomy degeneracji brytyjskiego „podczłowieka”, jak nazywa on ofiary tego obrzydliwego systemu. „W porównaniu do czarnoskórej ludności afrykańskiej”, pisze Freeman, „brytyjski podczłowiek wykazuje kilka symptomów wyraźniej niższości. Często jest zwyczajnie tępy; często bezradny i nieumiejętny; nie ma, z reguły, żadnej biegłości czy wiedzy z zakresu rękodzielnictwa, podobnie jak żadnej innej wiedzy w ogóle. Murzyn afrykański, przeciwnie, zazwyczaj cechuje się energią i poczuciem humoru. Zazwyczaj posiada sporą znajomość lokalnej flory i fauny, i praktycznie zawsze zna najważniejsze gwiazdozbiory. Zna tradycyjny przekaz dotyczący spraw religii, mitów i folkloru, i ma pojęcie o muzyce. Jest zręczny i samowystarczalny; w większości wypadków potrafi zbudować dom, pokryć go dachem, zdobyć i konserwować jedzenie, rozpalić ogień bez użycia zapałek, prząść, częstokroć także tkać bawełnę i naprawiać proste narzędzia pracy. Fizycznie jest zdrowy, aktywny, krzepki, pełen sił

witalnych"*. W naszych fabrykach obuwia natomiast, nie znajdzie się nikogo, kto potrafiłby rzeczywiście uszyć parę butów, pracownicy fabryczni zaś, z reguły, są strasznie słabej konstytucji: wątli, skarlali, mający problemy z próchnicą, cierpiący na choroby płuc i przewodu pokarmowego. Takie oto są właśnie owoce naszego „postępu", na które przymykaliśmy wygodnie oko tak długo, jak długo mieliśmy z tego gotówkę.

System taki, rzecz jasna, nie może się utrzymać. By użyć tu wyrażenia Augusta Freemana: „jego naturalne funkcje wytworzyły toksyny, które go zatruwają". Bo podczas gdy z jednej strony spycha on społeczeństwo w stan chronicznej niezdolności, z drugiej – odbierając pracy wszelki powab i zmieniając ją w nieznośną harówkę – wydał z siebie ducha nienawiści klasowej, znajdującego wyraz w zbrojnej rewolucji. Co więcej, zużywa on nasze surowce naturalne w takim tempie, że – abstrahując już od wszelkich innych kwestii – z samego tego faktu musimy przyznać, że jego dni są policzone. Większość ludzi już przy pierwszym kontakcie z podpodziałem pracy i jej naukowym zarządzaniem czuje do tych instytucji instynktowny wstręt. Czują, że wszystko jest tutaj nie w porządku, choć nie potrafią jasno określić dlaczego. Nie potrafią znaleźć odpowiedzi na argumenty, których używa się na obronę obecnego *status quo*. I istotnie, takiej odpowiedzi po prostu nie ma – o ile, oczywiście, uznamy kwantytatywne standardy kapitalizmu za ostateczny probierz sytuacji gospodarczej; bo bez wątpienia ten system zwiększa ogólną wydajność produkcji. Aby przeciwstawić mu się w sposób skuteczny należy spojrzeć na niego z perspektywy człowieka, z perspektywy jakości raczej niż ilości, z perspektywy producenta, a nie

* August Freeman, *Upadek społeczny i regeneracja*.

konsumenta. Wyłącznie jeśli uznamy wyższość wartości ludzkich nad handlowymi uda nam się naprawdę zrozumieć, że system przemysłowy jest z natury swej nieludzki i okrutny, że zabija w ludziach osobowość i odbiera im szczęście, bo wpychając jednostkę w ciasne ramy pseudospecjalizacji tłumi w niej naturalne dla człowieka impulsy twórcze, a ponieważ każdy instynkt konstruktywny bez możliwości wyrazu staje się destruktywny, obecnie wszyscy ludzie, cierpiący pod jarzmem tej strasznej tyranii, podświadomie dążą do zniszczenia systemu, który ich zabija. Na ile obecne niepokoje społeczne związane są z odebraniem pracownikom przyjemności z wykonywanej pracy, trudno powiedzieć; niemniej, że między tymi dwoma czynnikami zachodzi bardzo głęboki związek, oraz że współcześni pracownicy rzeczywiście zazwyczaj kierują się w praktyce społecznej chęcią zniszczenia, to rzecz, której bardzo, bardzo trudno zaprzeczyć.

Ale nie tylko świat pracy ma dziś motywacje destruktywne. Przedziwne pragnienie anarchii przenika także wszystkie inne klasy społeczne. Wywiera wpływ na wszystkie dziedziny życia. Nadmierna specjalizacja to wielka klątwa naszych czasów, i pracownik intelektualny – w mniejszym może może stopniu, niż pracownik fizyczny, choć generalnie mówiąc jest to równie groźne w skutkach – również nie potrafi wydostać się z jej cienia. Bo dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej człowiek całe życie obsługujący jedną maszynę pod pewnymi względami wyrodnieje, tak też specjalista-inteligent, rozwijając tylko jeden aspekt swojej umysłowości i zaniedbując wszystkie inne, często popada w przesadę, i jego osądy stają się bardzo mało godne zaufania. W wiekach średnich, czynnikiem spajającym kulturę była idea jedności, ale już w renesansie zaszła w tej materii poważna zmiana, i za naczelny cel edukacji zaczęto uznawać nie jedność, a uniwersalność.

W konsekwencji – ponieważ żaden człowiek nie może posiąść wiedzy prawdziwie uniwersalnej – popularyzacji idei uniwersalności towarzyszył gwałtowny rozwój specjalizacji, i pole myśli podzielone zostało na wiele dziedzin eksperckich. W ich ramach zaś, zachodziły coraz dalsze podziały i podpodziały, proces postępował, aż w końcu koncepcja jednej, centralnej i spajającej kulturę idei została dla pracy intelektualnej kompletnie stracona. Mówi się przecież, że w przedwojennych Niemczech specjalizacja posunęła się tak daleko, iż praktycznie każdy pojedynczy człowiek stawał się w tej atmosferze monomanem swojej maleńkiej działki i nie miał zielonego pojęcia o czymkolwiek innym, co skutkowało gwałtownym spadkiem poziomu kultury ogólnej. Powstała tzw. „Kultur" – dokładnie ta, która dawała Niemcom tak wielkie poczucie wyższości nad innymi narodami oraz przyczyniła się również częściowo do wybuchu konfliktu. Pewien zakres wyspecjalizowania jest oczywiście niezbędny dla istnienia cywilizacji. Niemniej, jeśli człowiek ma uchronić się przed całkowitą dezintegracją moralną, duchową i intelektualną, gdzieś trzeba postawić granicę. Specjalizm intelektualny to po prostu druga strona podpodziału pracy, i te dwa czynniki pozostają w bezustannej interakcji, dynamizując się wzajemnie i wpędzając społeczeństwo w coraz większe rozchwianie. Między wstrząsami społecznymi, które zaczęły nad od niedawna trapić, a tym typowo współczesnym przespecjalizowaniem, zachodzi ścisły związek, przespecjalizowanie bowiem z jednej strony sprzyja reakcjom histerycznym, z drugiej zaś – rozkładowi tych tradycji intelektualnych i społecznych, które są w stanie wytworzyć wśród ludzi rzeczywistą wspólnotę dobrej woli i wzajemnego zrozumienia.

Powiedziałem, że specjalizacji trzeba nakreślić pewne granice. W świecie intelektualnym nie ma jasnych granic, więc jedyne, co pozostaje, to jak najżywsza afirmacja idei jedności kultury. Gospodarka wszakże, to już inna sprawa. W gospodarce, w produkcji, granice można i trzeba ustalać odgórnie, i twierdzę, że taką granicę mógłby wyznaczać poziom rozwoju osiągnięty w rękodzielnictwie przed zastąpieniem podziału pracy podpodziałem pracy. Pozwolić specjalizacji postępować dalej to, by użyć tutaj terminu z języka inżynierów, balansowanie na granicy ryzyka. Dalekowzroczny polityk może dostrzegać, że faktycznie, organizacja gospodarki na zasadzie podpodziału pracy zwiększy całkowity zasób bogactwa społecznego. Ale nigdy – jeśli rzeczywiście jest dalekowzroczny – nie zapomni, że jest także i druga strona medalu, i zwiększenie poziomu bogactwa przez wprowadzenie podpodziału pracy stanowi bezpośrednie zagrożenie dla równowagi społecznej, ponieważ w sensie socjalnym, psychologicznym i ekonomicznym jest niczym innym, jak właśnie balansowaniem na granicy ryzyka. To właśnie świadomość tego stanu rzeczy skłoniła Tudorów i Stuartów do przyjęcia w stosunku do rozwoju przemysłu nastawienia konserwatywnego – i to właśnie stanowiło powód, dla którego ich ideały i środki akcji politycznej nie znajdowały zrozumienia wśród ludzi interesu, nieuleczalnie ślepych na wszystko, co nie przynosi natychmiastowych korzyści. Niemniej, doświadczenie dowiodło, że nieufność ich była bardziej, niż usprawiedliwiona, bo przecież każdy dzień przynosi nowe dowody dobitnie świadczące, że droga, którą teraz postępujemy, prowadzi nas wprost do zguby. Stąd też wynika konieczny wniosek: że nowa stabilizacja społeczna stanie się możliwa wyłącznie w wypadku, w którym standard kwalitatywny zajmie na powrót miejsce kwantytatywnego. Innymi słowy, jeśli kiedykolwiek mamy dokonać rekonstrukcji społecznej opartej na zasadach dających nam przynajmniej

trochę bezpieczeństwa, naukowe zarządzanie pracą i jej podpodział należy bezwzględnie znieść, i wrócić do rzemiosła jako podstawy systemu produkcji, z maszynerią sprowadzoną wyłącznie do roli środka pomocniczego. Niekontrolowane umaszynowienie wytwórstwa jest przekleństwem – kontrolowane mogłoby stać się błogosławieństwem. Wszystkie nadużycia maszynizmu wynikają wyłącznie z tego, że jego rozwój generalnie przebiegał po ścieżkach wyznaczonych przez podpodział pracy.

Naczelna zasada, której hołdujemy, sprowadza się zatem do twierdzenia, że jeśli umaszynowienie produkcji ma nie być dla naszego społeczeństwa przekleństwem, nigdy nie wolno nam stracić z oczu faktu, że wartości ludzkie zawsze są na pierwszym miejscu. Za wszelką cenę należy zatem odrodzić tradycyjne, normalne relacje interpersonalne, stanowiące samo serce życia społecznego, a produkcja maszynowa powinna zostać ograniczona w taki sposób, aby nie wchodziła z nimi w konflikt. Gdyby tylko niniejsza zasada była konsekwentnie zachowywana, podpodział pracy nigdy by się nie pojawił, umaszynowienie produkcji zaś, nigdy się tak tragicznie nie wypaczyło. Ale, niestety, pewne jednostki zamiast przylgnąć do tej maksymy jako ostatecznej i nieodwoływalnej prawdy, skuszone perspektywą szybkiego zysku decydują się od niej odstąpić; większość natomiast, pozwala sobą zmanipulować i potulnie godzi się z podobnymi nadużyciami, byle tylko nikt nie przypiął jej łatki ignorantów i ciemnych ludzi, bezskutecznie próbujących położyć tamę niepowstrzymanej fali postępu. A jednak nawet dziś, gdy całe zło wynikające wprost z tej linii rozwoju stało się zbyt ogromne, by dało się je dalej ukrywać, gdy proroctwa tych wszystkich, którzy sprzeciwiali się maszynizmowi spełniły się co do joty, postępowo nastawieni wciąż nie chcą przyznać, że obecny system jest w całości i fundamentalnie

niesprawiedliwy, i jedyne, co potrafią zaproponować w kwestii wskrzeszenia zniweczonych przez maszynizm instynktów twórczych, to przenoszenie robotników z jednej taśmy na drugą. Jako metoda złagodzenia morderczej rutyny, na którą skazani są z konieczności robotnicy fabryczni, koncepcja niniejsza wydaje się wcale niegłupia, niemniej z całą pewnością nie dotyka ona ani trochę sedna problemu. Powiedzieć, że coś takiego „uwalnia" w człowieku instynkty twórcze to tak, jak gdyby utrzymywać, że więzień został „uwolniony" ponieważ przeniesiono go do innej celi. Nie jest bowiem prawdą, że – jak chcą zwolennicy tej reformy – „twórczość niekoniecznie stanowi kwestię wysiłku indywidualnego". W jaki sposób grupy ludzkie miałyby działać „złączone jednym natchnieniem i jedną spójną inicjatywą", no cóż – zwyczajnie nie umiem pojąć. Podobne twierdzenia pokazują tylko skrajną desperację tych, którzy mimo wszystko decydują się wierzyć w przyszłość systemu industrialnego*.

Prawda jest, oczywiście, taka, że wszelki wysiłek twórczy jest w ostatecznym rozrachunku sprawą czysto osobistą. Forma twórcza rodzi się zawsze w umyśle pojedynczego człowieka, choć przy urzeczywistnianiu jej, faktycznie, można korzystać z pomocy innych. Tak też ta książka, na przykład, to efekt współpracy wielu osób. Ja ją napisałem, zecer poskładał i wydrukował, introligator zszył i oprawił. A zatem współpracujemy, prawda, niemniej współpracujemy na zasadzie hierarchicznej, nie jako demokracja. Nawet gdyby przedstawione tutaj poglądy stanowiły ledwie wyraz przekonań zbiorowych jakiegoś komitetu, to przecież komitet jako taki nie może niczego napisać. Jedyne, co może zrobić, to wybrać kogoś na autora. Podobnie

---

* Patrz: *Instynkt twórczy w przemyśle,* Helen Marot, E.P. Dutton i spółka, Nowy Jork.

w budownictwie. To architekt odpowiada za całość projektu; co nie oznacza, że nie może korzystać z sugestii zewnętrznych. Niezależnie od tego wszakże, efekt końcowy to zawsze dzieło jednego człowieka. W wiekach średnich, zgodnie z powszechnym obyczajem, każdy uczestniczący w budowie cech odpowiadał za pewne szczegóły wykończenia i pewne elementy ornamentyki – niemniej projekt ogólny zawsze był dziełem jednostki. Mówi się, że budownictwo średniowiecza było demokratyczne – i istotnie, to prawda, ale tylko w tym sensie, że każdy pracownik cieszył się co do szczegółów swojej pracy swobodą tak ogromną, że współcześnie jest ona czymś zwyczajnie nie do pomyślenia, i miał rzeczywistą możliwość awansu na pozycję mistrza budownictwa, którego funkcja przypominała poniekąd współczesną funkcję architekta. A jednak, było ono także hierarchiczne, i to na wskroś hierarchiczne. Żaden budynek nie stanowił dzieła komitetu, wszystkie były dziełem jednostek – jednostek, które wiedziały, jak dobrze wykorzystać twórczy potencjał swoich podwładnych. Tak harmonijna współpraca była wtedy możliwa, ponieważ wszyscy mieli udział we wspólnej tradycji. Dziś – jest niemożliwa; ponieważ tego typu wspólne tradycje po prostu nie istnieją.

I właśnie do tego średniowiecznego systemu społecznego trzeba nam dziś koniecznie powrócić. Nie ma w nim niczego, co zakazywałoby pewnego stopnia umaszynowienia produkcji, szczególnie jeśli mowa o umaszynowieniu cięższej i prostszej pracy, leżącej u podstaw każdej gospodarki, niemniej wyklucza zupełnie podpodział pracy, ponieważ zjawisko to podcina instynkt twórczy u samych jego korzeni, w związku z czym należy natychmiast położyć mu tamę. W kwestii praktycznej, jeśli mówimy o zniesieniu podpodziału pracy, nie ma żadnego problemu –

natomiast jeśli chodzi o ograniczenie produkcji maszynowej wielu ludzi nie wie, jak można by ustalić tutaj jakieś stałe granice. I oczywiście, występują tutaj poważne trudności, o ile nie wyjaśnimy sobie jasno dlaczego w ogóle powinna ona zostać ograniczona. Gdybyśmy wszakże naprawdę wierzyli, że instynkt twórczy stanowi część ludzkiej natury, dysponowalibyśmy prostą zasadą, z której zawsze moglibyśmy skorzystać. Kwestia zakazania produkcji maszynowej czy tutaj, czy gdzie indziej, nie stanowiłaby już żadnego problemu. Każdy człowiek, obdarzony minimum wrażliwości estetycznej i mający choćby szczątkową wiedzę o rzemiośle, intuicyjnie wiedziałby, gdzie należy postawić granicę, i ogół również mógłby się o tym łatwo przekonać, gdyby tylko chciał. Wszelkie problemy są tutaj naprawdę czysto urojone, ponieważ gdyby większość społeczna dała się przekonać ledwie co do tego, że regulacja produkcji maszynowej to rzecz konieczna, a przynajmniej pożądana, dalej polegałaby przecież na osądzie ludzi z doświadczeniem w sprawach rękodzieła, podobnie jak czyni to we wszystkich innych dziedzinach wymagających wiedzy specjalistycznej.

Gdyby tylko społeczeństwo zdecydowało się przestrzegać nakreślonych tutaj przeze mnie zasad, całościowa liczba wykorzystywanych w produkcji maszyn natychmiast uległaby znaczącej redukcji. Nie potrzebowalibyśmy nawet jednej dziesiątej tego, co mamy obecnie. W pierwszych latach industrializmu szybki postęp umaszynowienia produkcji istotnie przynosił korzyści materialne, ale od bardzo długiego już czasu proces ten nie zwiększa niczego poza kompetytywnym marnotrawstwem. Wytwarza się więcej wyrobów wełnianych i bawełnianych, ale wzrostowi ilościowemu nieodmiennie towarzyszy spadek jakościowy, niezbędny dla utrzymania równowagi popytu i podaży. I choć koszta produkcji istotnie spadły, to koszta

sprzedaży istotnie się zwiększyły, ze względu na stale rosnące wydatki związane z akwizycją, marketingiem, reklamami, i upowszechnieniem się dystrybucji krzyżowej. Dalej, wynikające z nadmiernego wykorzystywania maszyn w procesie produkcji rozmnożenie się sztucznych potrzeb życiowych uczyniło koszty utrzymania większymi i bardziej nieznośnymi niż kiedykolwiek wcześniej. Wydajemy coraz więcej, na przykład na podróże kolejowe, autobusowe, na pocztę, czynsze, podatki itp., a te opłaty tylko rosną. Prócz tego, koszty utrzymania zwiększają się także ze względu na rosnącą dysproporcję materialną między miastem a wsią. Tak też wszystko, co zarabiamy, zwyczajnie się marnuje, i choć ceny rzeczywiście spadają, to czynniki odpowiedzialne za stały wzrost kosztów życiowych są w ruchu i nic z tym nie można zrobić.

Ale powie ktoś: być może i tak to wygląda, ale i tak próba uregulowania maszynizmu czy zniesienia podziału pracy skazana jest na porażkę. Robotnicy czasów czartyzmu nienawidzili systemu fabrycznego, który obchodził się z nimi z tak wielkim okrucieństwem, w związku z czym z pewnością wsparli by każdy ruch, domagający się zakreślenia produkcji maszynowej jakichś racjonalnych granic. Dziś wszakże, jest inaczej. Współczesny robotnik nie ma już tej siły ducha. Nie zna rzemiosła, dlatego też przyjmuje system, w którym mu się urodzić, jako część naturalnego porządku świata. Zżył się z nim tak mocno, że stracił zdolność do buntu. Na to odpowiadam, że choć istotnie trudno negować zasadność podobnego sceptycyzmu, to pytanie nie brzmi w jaki sposób ktokolwiek mógłby obalić industrializm, ale w jaki sposób nasi kapitaliści i masy ich bezwolnych wyrobników mogą jeszcze ocalić go przed zniszczeniem. Problem zwiększa się z każdym dniem. Teraz, gdy rozrost rynków został zahamowany, każdy

nowy wynalazek zwiększa liczbę bezrobotnych, i kryzys ten staje się tak poważny, jak w czasach czartyzmu – dlatego też tak jak w czasach czartyzmu, tak i dzisiaj ludzie zaczną w końcu nad tym myśleć. Już mówi się przecież o zjawisku wypierania pracy ludzkiej przez pracę maszynową. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy, słyszałem o tym częściej, niż przez całe życie. Poczekajmy trochę, a to, co obecnie stanowi kłopot wyłącznie tych, którzy mają z tego powodu osobiste trudności, znajdzie się na ustach wszystkich. Gazety jeszcze tego nie załapały, niemniej być może niedaleki jest dzień, w którym taki *Spectator* na przykład zacznie patrzeć na to tak, jak w latach czterdziestych, i przedrukuje jeden ze swoich ówczesnych artykułów, choćby ten z nagłówkiem „Więcej fabryk – więcej nędzarzy"? Tak czy inaczej, czasy czartystów wróciły, z jedną może różnicą. Bo jako iż ani rozwój kolei, ani rozwój rynków zagranicznych nie mogą już otworzyć nam dróg ucieczki, i nie mamy już żadnych innych opcji i żadnych wymówek, problem industrializmu pozostanie nierozwiązany dopóki nie stawimy czoła temu, co w nim najistotniejsze – zagadnieniu relacji człowieka z maszyną.

## Rozdział IV – Maszynizm i teoria ekonomiczna

Obecnie istniejący system społeczny ma bardzo niewielu prawdziwych zwolenników. Bronią go zazwyczaj ludzie konserwatywni i pozbawieni wyobraźni, zawsze gotowi bić się za status quo – z tego prostego powodu, że nie potrafią sobie wymyślić niczego innego. Wszyscy rozsądni ludzie wszakże, widzą, że system ten jest zwyczajnie nie do przyjęcia. Owi rozsądni dzielą się jednak zasadniczo na dwie grupy, zupełnie odrębne, i o zupełnie przeciwnych poglądach. Socjaliści domagają się zniesienia wszelkich form własności prywatnej poza własnością ściśle osobistą, dystrybucjoniści zaś, jak sama nazwa wskazuje, domagają się tylko redystrybucji tej własności – a za ideał mają naród drobnych gospodarzy.

Na pierwszy rzut oka, te dwie szkoły myślenia wydają się całkowicie antagonistyczne. Niemniej, w obydwóch najważniejszy czynnik stanowi – w sensie fundamentalnym – ich stosunek do maszynizmu. Socjalizm wziął się, jak widzieliśmy, z faktu, że od roku 1806 umaszynowienie produkcji stawało się przyczyną coraz większego bezrobocia. Owen rozumiał, że dla zachowania stabilności społecznej dynamizacji produkcji towarzyszyć musi proporcjonalna dynamizacja konsumpcji. Jasne było, że system płacowy – system dystrybucji siły nabywczej za pośrednictwem zapłaty za wykonaną pracę – zaczął się załamywać. Co zatem miało stać się w takich warunkach z klasą robotniczą? Owen doszedł do wniosku, że przy zachowaniu indywidualistycznej konkurencji jako podstawy życia społecznego, robotnicy muszą po prostu wyginąć. Stąd też wziął się jego projekt naczelny, zastąpienie organizacji kompetytywnej komunalną względnie kooperatywną, co miało wiązać się z zupełnym zniesieniem własności

prywatnej. Widzimy zatem, że postulat zniesienia własności prywatnej miał stanowić po prostu metodę zwalczania zła niesionego przez niekontrolowany maszynizm. Prawda, idea ta jest znacznie, znacznie starsza, i źródeł jej trzeba szukać u średniowiecznych komunistów, utrzymujących, że prywatność posiadania jest sprzeczna z nauką Kościoła. Niemniej, niniejsza koncepcja nie grała społecznie właściwie żadnej roli, dopóki produkcja maszynowa nie zaczęła totalnie zagrażać staremu porządkowi, i choć do dziś straciliśmy z oczu najważniejszą przyczynę socjalistycznego sposobu myślenia, to nie może być żadnych wątpliwości, że to właśnie ogólne poczucie zagrożenia, wynikające z powszechnego umaszynowienia gospodarki, stało się głównym powodem tak dużej popularności komunizmu.

Zniesienie instytucji tak głęboko wrośniętej w tkankę społeczną jak własność prywatna wszakże, to niełatwe zadanie. Od pierwszego konkretnego sformułowania tej idei minął już cały wiek, i – pomimo iż szeroko się w nią wierzy, a liczni filozofowie nie ustają w opracowywaniu planów transferu własności prywatnej do sektora publicznego – jesteśmy od jej realizacji tak daleko, jak zawsze. Tymczasem, w duszach coraz większej ilości ludzi rodzi się podejrzenie, że to opcja nie tylko niemożliwa, ale wręcz niewskazana. Socjaliści cechowi zadali tej doktrynie potężny cios atakując projekt biurokratyzacji życia społecznego – z którym socjalizm pośrednio się wiąże – dystrybucjoniści zaś, rzucili jej wyzwanie bezpośrednio na polu ideowym. Utrzymywali, że źródłem zła społecznego nie jest instytucja własności jako taka, ale tylko fakt, że obecnie nie wiąże się ona z jakąkolwiek odpowiedzialnością – ponieważ większość właściwie nic nie ma; że własność gwarantuje człowiekowi niezależność; i że stanowi konieczne

narzędzie aktywności obywatelskiej. Nie należy jej zatem znosić, ponieważ to uczyniłoby ze wszystkich niewolników państwa. Teoria ta, popularyzowana przede wszystkim przez panów Belloca i Chestertona, znalazła wielu zwolenników, niemniej trudność z oparciem na niej jakiejkolwiek akcji praktycznej okazała się równie duża, jak w wypadku teorii nacjonalizacji kapitału, bo jasne jest, że bez upadku systemu industrialnego i ograniczenia produkcji maszynowej nie przedstawia ona dla nas w obecnych warunkach żadnej wartości. Problem przemysłowego kapitalizmu jest zwyczajnie zbyt poważny.

Pan Tawney*, na przykład, próbuje znaleźć tutaj *via media*. W jego opinii, uczestnicy tych teoretycznych sporów zazwyczaj mówili o dwóch różnych rzeczach. Socjalista zajmuje się przede wszystkim przemysłowym kapitałem teraźniejszości, dystrybucjonista zaś – społecznością rolniczą, która ewentualnie kiedyś się pojawi. Podejmuje zatem próbę pojednania tych przeciwstawnych koncepcji, przeprowadzając staranną analizę różnych form własności, która to własność – jak mówi – stanowi możliwie najbardziej wieloznaczną spośród wszystkich kategorii, jakimi dysponujemy. Rozróżnia on zatem dwa jej zasadnicze rodzaje: tę, która wiąże się z pełnieniem pewnej funkcji, i tę, która pozostaje całkowicie niezależna od kwestii użycia,

---

* Patrz: *Społeczeństwo nienasycone,* R.H. Tawney. [R.H. Tawney (1880-1962) – angielski historyk gospodarki, socjalista chrześcijański, profesor Uniwersytetu Londyńskiego. Krytyk kapitalizmu i autor licznych prac wyjaśniających jego genezę i sposób funkcjonowania. Jego najsłynniejsze dzieło, *Religia i wzrost kapitalizmu* (1926), wywarło na świat chrześcijański ogromny wpływ (powoływał się na nie np. Jacques Maritain w *Humanizmie integralnym*). Wyj. tłumacza.]

i proponując zachowanie instytucji własności w tym zakresie, w jakim jest – że tak powiem – „funkcjonalna", jednocześnie domaga się zniesienia wszelkich tych jej odmian, w wypadku których coś takiego nie zachodzi, w efekcie wracając do średniowiecznej zasady proporcjonalności praw i obowiązków. Czy też, by ująć to nieco inaczej, chodzi po prostu o zastosowanie zasad dystrybucjonistycznych w takiej mierze, w jakiej da się je zastosować. Tam wszakże, gdzie nie da się ich zastosować – tzn. w przemyśle – pan Tawney postuluje przekazanie kontroli i własności w ręce oficjalnych organizacji pracowniczych, czyli – cechów. Choć dzięki swym analizom rzucił on na ten problem wiele światła, jego pogląd wydaje mi się słaby przynajmniej pod tym względem, że suponuje trwałość systemu industrialnego – bo choć pan Tawney istotnie industrializm krytykuje, to nie patrzy z odpowiedniej perspektywy, i nie dostrzega, że sedno problemu niekontrolowanej produkcji maszynowej stanowi nie co innego, jak tylko jego systemowa podstawa, czyli podpodział pracy. Przeciwnie, utrzymuje, że całe zło bierze się tutaj wyłącznie ze stanu świadomości – szczególnego podejścia do przemysłu, widzącego w rozwoju tej dziedziny gospodarki cel sam w sobie, a nie tylko środek do celu. Takie wyjaśnienie wszakże jest ponad wszelką wątpliwość błędne, ponieważ ten stan świadomości nie mógłby był upowszechnić się w naszym społeczeństwie na tak szeroką skalę, gdyby nie takie a nie inne rozwiązania w kwestii środków produkcji. I istotnie, nie będzie się go dało wyrugować z myślenia społecznego dopóty, dopóki podpodział pracy i niekontrolowany maszynizm nie zostaną ostatecznie utrącone, bo przy dominacji takiego systemu produkcji wszelkie inne czynniki w gospodarce zawsze spychane będą na kompletny margines. Atakować industrializm jako stan świadomości społecznej, ale nie jako system produkcyjny, wydaje mi się czymś tak jałowym i nielogicznym, jak

atak na militaryzm skupiający się wyłącznie na mentalności dżingoistów, a pomijający kompletnie kwestię dostępu do broni. Być może i prawda to, że niebezpieczeństwo militaryzmu nie bierze się w sensie ścisłym z nieograniczonego dostępu do broni, tylko z mentalności kasty wojskowej, niemniej każdy chyba zgodzi się, że zdolności destrukcyjne rzeczonej kasty są wprost proporcjonalne do liczby armat, jakimi ona dysponuje.

Jeśli zmienimy linię analizy i od kwestii własnościowych przejdziemy do kwestii monetarnych, które wywołują obecnie tak wielkie poruszenie, okaże się, że tutaj również fundamentalną przyczyną, dla której temat ten jest tak niejasny, stanowi uznanie niekontrolowanego maszynizmu za konieczny element ustroju gospodarczego; bo bez tego założenia, dyskusja o konflikcie interesów nigdy nie mogłaby osiągnąć tak ogromnych rozmiarów, jakie ma dzisiaj, i zeszłaby ostatecznie na problemy moralności i organizacji. Prawda o walucie jest zaś niewiarygodnie prosta. Chodzi tylko o to, że pieniądze używane jako *środek wymiany* służą dobru społecznemu wyłącznie, jeśli stanowią także *wspólną miarę wartości*, czyli – innymi słowy – jeśli używa się ich w ścisłym i jasno określonym związku z wartościami realnymi, które powinny oddawać. Wszystkie rzekome „problemy z pieniądzem", częstokroć przywodzące ludzi do wiary w swego rodzaju ekonomiczne czarnoksięstwo, biorą się właśnie z faktu, że finansiści nie traktują pieniędzy jako wspólnej miary wartości. Przeciwnie, interesują ich one wyłącznie jako narzędzie zysku dla samego zysku, i tutaj zaczynają się wszystkie kłopoty. Wieki średnie świetnie rozpoznawały wagę tej prostej kwestii moralnej i wyciągały z niej słuszne wnioski, dzisiaj wszakże ograniczenie roli pieniądza wyłącznie do tego godziwego aspektu to rzecz niemożliwa, ponieważ kompletnie sprzeczna z ideą ekspansji przemysłowej. Większość ludzi

uznaje za pewnik, że ekspansja taka to w pełni naturalne, normalne zjawisko, potencjalnie nieskończone, choć w rzeczywistości wygląda to zupełnie inaczej – i nie jest ono ani naturalne, ani normalne, wynika wyłącznie z niekontrolowanego umaszynowienia produkcji, i teraz właśnie, na naszych oczach, zaczyna się kończyć. W konsekwencji, prosta prawda, że pieniędzy powinno się używać wyłącznie jako wspólnej miary wartości, wydaje im się czymś zupełnie bez znaczenia, nawet jeśli, jako socjaliści, sami nie mają jakichkolwiek ambicji finansowych. Problem w tym, że człowiek współczesny, odcięty kompletnie tak od religii, jak sztuki, potrafi myśleć wyłącznie w kategoriach ilości. Idea postępu przedstawia mu się jako kwestia czysto ilościowa, w związku z czym odrzuca on wszelkie teorie zakładające odrzucenie standardu kwantytatywnego, choć przecież – gdyby tylko potrafił to dostrzec! – teorie te są wartościowe dokładnie *dlatego*, że to zakładają, bo wyłącznie zastąpienie standardu kwantytatywnego kwalitatywnym może wyzwolić społeczeństwo z tyranii warunków bieżących, która je obecnie pęta. Nie ma najmniejszych wątpliwości – myślenie gospodarcze przestawi się na tory kwalitatywne wyłącznie gdy standard kwantytatywny ograniczony zostanie do właściwych proporcji.

Po odrzuceniu prostej prawdy spraw realnych, każdy temat w nieunikniony sposób stoczy się na poziom walki sprzecznych tez, i tak też kwestia monetarna, po odrzuceniu poglądu, że pieniędzy powinno się używać wyłącznie jako wspólnej miary wartości, oscyluje dziś pomiędzy dwiema skrajnościami: wiarą w cudowną moc standardu złota lub waluty papierowej. Generalnie rzecz ujmując rozkłada się to tak, że cały wielki biznes popiera złoto, natomiast reformatorzy nieodmiennie popierają papier. Współczesne teorie broniące „wolnej bankowości" bardzo przypominają pomysły Tomasza

Atwooda[35], reformisty monetarnego, który mierzył się dokładnie z tym samym problemem i proponował dokładnie takie same rozwiązania. Zgadzają się, że standard złota to rzecz bardzo szkodliwa i domagają się jego zniesienia. Zatrudnienie i produkcja bogactwa są wszakże możliwe wyłącznie przy istnieniu pewnego pozostającego w powszechnym obiegu medium. Wynika stąd, że rozwojowi handlu powinien towarzyszyć proporcjonalny wzrost ilości pieniądza w obiegu, w innym wypadku bowiem, pieniądz ten przestaje spełniać właściwe sobie zadania i wszelki boom gospodarczy spotyka szybki i niesympatyczny koniec. Niemniej, ekspansja taka pozostaje niemożliwa, dopóki zasadniczą formę pieniądza stanowi złoto, ponieważ podaż złota z natury rzeczy jest ograniczona, i waluta oparta na tym standardzie nigdy nie będzie mogła nadążyć za ekspansją gospodarki. Dlatego też reformiści żądają zniesienia wszelkich ograniczeń w emisji pieniądza papierowego, bo pieniądz papierowy może multiplikować się praktycznie w nieskończoność. Odpowiedź zwolenników rozwiązania tradycyjnego brzmi, że owszem, wszelkie ograniczenia emisji pieniądza są umowne i można je znieść, niemniej bez nich waluta szybko traci jakikolwiek kontakt z wartością realną, którą powinna reprezentować; gigantyzm emisji skutkuje inflacją, która – w takich okolicznościach – zaczyna galopować, aż wartość banknotów spada do poziomu wartości

---

35 Tomasz Atwood (1783-1856) – angielski bankier, ekonomista, polityk, działacz społeczny, zwolennik nadania praw politycznych klasom pracującym, założyciel organizacji walczącej o ten szczytny cel – Unii Politycznej Birmingham. Zajmował się także kampanią na rzecz „łatwego kredytu”, koncepcji ogólnie biorąc bardzo popularnej wśród reformatorów tamtego czasu (by wymienić tutaj tylko siódmego prezydenta USA, Andrzeja Jacksona).

papieru, na którym są wydrukowane, jak stało się to w Rosji, w Polsce, i w innych krajach kontynentu. I kolejno, gdyby nie było ograniczeń w kwestiach kredytowych, nie mielibyśmy żadnej gwarancji, że ilość wyprodukowanych dóbr w jakikolwiek sposób odpowiadałaby poziomowi popytu, innymi słowy: nieograniczony dostęp do kredytu otworzyłby możliwość nieograniczonej produkcji całkowicie zbędnych towarów.

Jeśli wszakże zwolennicy standardu złota faktycznie mogą z sukcesami odpierać zarzuty radykałów bankowych, w ostatecznym rozrachunku udaje im się to wyłącznie dzięki argumentom, które z równym powodzeniem mogłyby służyć drugiej stronie. Bo jeśli pewne sztuczne regulacje w kwestii waluty i kredytu to rzecz niezbędna do – z jednej strony – utrzymania faktycznego związku pieniądza z wartościami realnymi, z drugiej – proporcjonalności produkcji do popytu – logicznie wynika stąd, że gospodarka nigdy nie uzyska pełnej stabilności, dopóki jej naczelną siłą motywną będzie spekulacja. Wyeliminowanie spekulacji z życia gospodarczego zaś, stanie się możliwe wyłącznie przy ograniczeniu funkcji pieniądza do jedynie słusznego wymiaru wspólnej miary wartości, a jeśli by to się udało – co stanie się z ekspansją przemysłową?

Bez wątpienia, próba połączenia problemu monetarnego z problemem niekontrolowanego maszynizmu wielu moim czytelnikom wyda się niczym więcej, niż festiwalem pobożnych życzeń. A jednak, nie jestem aż takim heretykiem, jak mogłoby się wydawać, bo tak się składa, że sam redaktor

naczelny *The Times**, odpowiadając na artykuły pana Kitsona[36] dotyczące bezrobocia, w których autor ten rozwija idee „wolnej bankowości", zwyczajnie musiał dojść ostatecznie do takiego samego stanowiska: „Rozwiązanie problemu bezrobocia nie leży w zmianie systemu emisji pieniądza, ale w *regulacji uzupełniających się segmentów produkcji*". Tego typu deklaracja ze strony reprezentanta najściślejszej ortodoksji ekonomicznej znaczy bardzo wiele, bo jeśli nie znaczy ona ni mniej nie więcej, że produkcję maszynową trzeba ustawowo ograniczyć, a spekulacji zakazać, to mogę tylko zapytać: co właściwie oznacza?

Widzimy zatem, że w swej obecnej formie „problem pieniądza" to błędne koło, z którego nie ma ucieczki – chyba że radykalnie zmienimy perspektywę. Tak długo, jak długo reformatorzy monetarni będą przyjmować specyficzne warunki systemu industrialnego jako absolutnie pewny punkt wyjścia, z konieczności wikłać się będą w opisaną wyżej walkę przeciwieństw, w sferze praktycznej zaś, co najwyżej opracują jakąś nową metodę podtrzymania obecnego systemu gospodarki; na pewno bowiem nie stworzą niczego nowego; bo każdy nowy system gospodarczy będzie musiał opierać się nie tylko na zasadach sprawiedliwości i uczciwości, ale także gwarancji, że maszynizm zostanie ograniczony, a podpodział pracy zniknie, i gdyby takie kroki rzeczywiście udało się podjąć, nic poza pospolitym zepsuciem

---

* *Dodatek gospodarczy The Times,* 16 kwietnia 1921 roku. Artykuł znalazł się także w antologii *Bezrobocie: propozycje rozwiązania problemu*, autorstwa Arthura Kitsona (Cecyla Palmera).

36 Artur Kitson (1859-1937) – angielski wynalazca i teoretyk ekonomii, potentat przemysłowy. W 1925 roku zbankrutował.

moralnym nie powstrzymywałoby nas przed powrotem do średniowiecznego przekonania, że pieniądze powinny stanowić nie tylko środek wymiany, ale także wspólną miarę wartości, i że jedynym skutecznym sposobem zabezpieczenia tego stanu rzeczy jest powszechna regulacja cen, ponieważ tak długo, jak długo ceny zależą od swobodnych targów między jednostkami, kupcy i pośrednicy, jako specjaliści w dziedzinie mechanizmów rynkowych, będą mogli – tak jak dotąd – spokojnie wyzyskiwać resztę społeczeństwa, spekulując na wartości towarów.

Jak wszakże można utrzymać stałe ceny? Konwencjonalni krytycy zwykli zbywać ten pomysł jako niemożliwy do realizacji, utrzymując, że w wielu momentach historii instytucja stałej ceny wracała do polityki europejskiej w charakterze środka zaradczego przeciw spekulacjom, i za każdym razem eksperymenty te kończyły się kompletnym fiskiem. Nie ma specjalnej potrzeby debatować nad każdym poszczególnym przypadkiem – wystarczy zauważyć, że we wszystkich z nich (a historia dostarcza ich naprawdę sporo) chodziło nie o metodyczny plan, a o panikę legislacyjną. Próba zamrożenia cen podjęta podczas Rewolucji Francuskiej unaocznia to bardzo dobrze. Nie udało się, ponieważ nie istniała wtedy we Francji żadna organizacja, zdolna egzekwować ustalone prawo. Wszyscy tacy krytycy wszakże zdają się nie pamiętać, że w średniowiecznym systemie cechowym regulacja cen sprawdzała się świetnie przez kilka wieków. Istotnie – cechy zaczęły pełnić funkcje ekonomicznie w pierwszym rzędzie dokładnie w tym celu: w celu obrony społeczeństwa przed spekulacją cenową. Stało się to w wieku jedenastym, niemniej sama instytucja cechu istniała już sporo wcześniej. Wszystkie grupy ludzkie związane wspólnotą interesu, organizowały się w gildie. Istniały gildie społeczne i religijne, zapewniające samopomoc,

obronę, wsparcie prawne, gildie rybaków i myśliwych, budowniczych i drogowców, itd. Tego typu cechy w znacznym stopniu przypominały różnego rodzaju dobrowolne stowarzyszenia, które istnieją i dziś, pełniąc mnóstwo różnych funkcji. W wieku jedenastym wszakże, gdy inwazje barbarzyńców, które w wieku dziewiątym i dziesiątym pogrążyły Europę w chaosie, zostały powstrzymane, w stojących wodach kontynentu zaczął się nowy ruch. Nastąpił nowy rozwój handlu, powstały targi, przy nich zaś, zaczęły pojawiać się nowe miasta. Szybko okazało się, że ten skok gospodarczy nie ma samych zalet, i celem stawienia czoła nowym niebezpieczeństwom społecznym, Kościół zaczął domagać się przestrzegania dwóch podstawowych zasad: zasady sprawiedliwej ceny oraz bezwzględnego uznania niegodziwości lichwy, egzekwując posłuszeństwo wiernych z ambony, w konfesjonałach, oraz w sądach diecezjalnych. Wykazał przy tym tak nieprawdopodobną skuteczność, że szybko obydwie zasady przedostały się także do legislacji świeckiej, czy to parlamentu, czy cechu, czy też magistratu.

Ustawowe próby zabezpieczenia instytucji ceny sprawiedliwej kończyły się różnym powodzeniem w zależności od wypadku, i jest to nader pouczające, ponad wszelką wątpliwość wykazuje bowiem bezwzględną wyższość cechu jako narzędzia akcji ekonomicznej. Parlament nie mógł zrobić właściwie niczego poza uchwalaniem przeróżnych praw zakazujących spekulacji w jej różnych formach: zawyżania cen, zaniżania cen (np. sprzedaży bez marży), skupu spekulacyjnego, czy fałszerstwa, i tego typu prawodawstwo, natury czysto negatywnej, okazało się także całkowicie nieskuteczne. Cechy, przeciwnie, podjęły działania natury pozytywnej. Wdrażały zasadę ceny sprawiedliwej – po prostu ją zamrażając. I to właśnie wokół tej naczelnej idei

narodził się doskonały system życia wspólnego średniowiecznych miast. Tak też aby mogły spokojnie pełnić właściwe sobie funkcje ekonomiczne, gildie potrzebowały uprzywilejowanej pozycji – całkowitego monopolu w danym segmencie gospodarki miasta, w którym istniały; bo tylko mając autentyczną władzę nad swoimi członkami, mogły cechy egzekwować rzeczywistą dyscyplinę. Wszelka spekulacja i wszelkie inne tego typu nadużycia były surowo tępione: za pierwsze wykroczenie płaciło się grzywnę; najwyższy wymiar kary zaś, stanowiło wydalenie z cechu, oznaczające ni mniej ni więcej tylko utratę jakiejkolwiek możliwości wykonywania swojego zawodu w rodzinnym mieście.

Niemniej, instytucje stałej i sprawiedliwej ceny nie utrzymają się wyłącznie na skutek działań moralnych. Jeśli ceny mają pozostawać niezmienne w każdej gałęzi gospodarki, da się to zrobić wyłącznie przy założeniu, że wszystkie produkty sprostają pewnemu standardowi jakości. A ponieważ standard jakości zaś, to rzecz, której nie da się zdefiniować prawnie, konieczne jest tutaj, aby pełnia władzy spoczywała w rękach mistrzów rzemiosła, których konsensus nieodmiennie stanowi ostateczną instancję smaku. Aby zaś zapewnić stały dopływ mistrzów, należy bezwzględnie uczyć, regulować funkcjonowanie warsztatu, ustalić godziny pracy i dopuszczalne rozmiary produkcji, i tak dalej; bo tylko jeśli myśli się o takich rzeczach, można „zapewnić praktyce stałość, tradycji zaś ciągłość, bez których regulacje cechowe, uczciwość handlu i odpowiedni poziom rzemiosła nigdy nie osiągną odpowiedniej stałości, by mogły być przekazywane z pokolenia na pokolenie”, i stwarza się warunki odpowiednie do pojawienia się właśnie *mistrzów* danego rzemiosła. Widzimy zatem, że wszelkie regulacje cechowe – podobnie zresztą jak wszelka hierarchia

cechowa – mają swoje źródło w podstawowym zamierzeniu, jakim jest utrzymanie cen na sprawiedliwym poziomie.

Zapyta ktoś wszakże: skoro średniowieczne cechy były tak wspaniałe, dlaczego zniknęły? Przyczynę bezpośrednią stanowił fakt, że nie były one – że tak powiem – „koekstensywne" ze społeczeństwem. Cechy istniały przede wszystkim w miastach, nigdy wszakże nie zadomowiły się na terenach wiejskich. To właśnie stanowiło słaby punkt ekonomicznego pancerza wieków średnich; bo oczywiste jest, że jeśli stałe ceny mają istnieć gdziekolwiek, to muszą istnieć wszędzie, czy to w mieście, czy na wsi. Że cechy nie powstawały na prowincji, da się łatwo wytłumaczyć tym, że w wieku jedenastym i dwunastym, czyli w czasie, w którym zaczęły pojawiać się pierwsze cechy miejskie, społeczność wiejska zorganizowana była na zasadzie feudalnej, i pieniądze dopiero wchodziły do ogólnego użycia, więc problem nie był aż tak palący. Niemniej, przyczyny ostatecznej szukać należy w obojętności Kościoła, który – według wszelkich znaków – nie rozumiał, że cena sprawiedliwa musi być również ceną stałą, i nie doceniał roli systemu cechowego w utrzymaniu stabilności ekonomicznej. Mniemał, jak mniema dziś wielu religijnych ludzi, że odnowa społeczna może dokonać się wyłącznie za pośrednictwem instrumentarium moralnego, nie rozumiejąc, że wyższe standardy moralności gospodarczej będzie się dało utrzymać wyłącznie dzięki organizacjom potrafiącym położyć tamę standardom niższym. Dlatego też w wieku trzynastym, gdy pojęcie ceny sprawiedliwej znalazło się pod ostrzałem prawników, utrzymujących, że przyrodzonym prawem każdego człowieka jest wytargować dla siebie jak najwięcej pieniędzy, co wynikało zresztą z Kodeksu Justyniana, w dobie odrodzenia prawa rzymskiego uznawanego za nieomylny autorytet, sankcja moralna, na

której w ostatecznym rozrachunku opierała się instytucja ceny sprawiedliwej, została fundamentalnie zakwestionowana. Straciła jakikolwiek wpływ na społeczności wiejskie, i regulacje cechowe zaczęto uważać za niepotrzebne ograniczenia wolności jednostki. Tak też wieś otworzyła drzwi kapitalizmowi i spekulacji, ze względu na co otrzymanie stałych cen w miastach stawało się dla gildii coraz trudniejsze, aż ostatecznie, w wieku szesnastym, cały system uległ kompletnemu załamaniu wobec chaosu ekonomicznego jaki wyniknął z kasaty zakonów oraz gigantycznego importu złota z Ameryki Południowej, skutkującego gwałtownym wzrostem cen na całym kontynencie. W tamtym momencie, kapitalizm odniósł absolutne zwycięstwo – i do dziś pozostał niepokonany.

## Rozdział V – Cechy średniowieczne, cechy narodowe

Jeśli stanie się dla nas jasne, że cechy średniowieczne powołano w pierwszym rzędzie po to, aby broniły sprawiedliwości i uczciwości gospodarczej, i że porażka, jaką ostatecznie poniosły, wynikała zasadniczo z tego, że były one w średniowiecznym społeczeństwie poniekąd wyjątkiem od reguły, zrozumiemy, że jednym z warunków pokonania kapitalistycznej hydry jest stworzenie takich cechów, które nie będą w społeczeństwie wyjątkiem od reguły. Za każdy razem wszakże, gdy sugerujemy tę linię postępowania, dowiadujemy się, że powrót do jakiejkolwiek starszej metody organizacji społeczeństwa jest niemożliwy, ponieważ system cechowy nie poradzi sobie z warunkami współczesnego przemysłu, jego potężnej maszynerii i skomplikowanej struktury, w związku z czym też nasi zacni krytycy namawiają nas do porzucenia pomysłu odbudowy cechów w ich formie średniowiecznej, i poświęceniu się w zamian tworzeniu tzw. „cechów narodowych", rzekomo lepiej odpowiadających współczesnemu światu.

Trzeba przyznać, że rada ta wydaje się na pierwszy rzut oka bardzo dobra, i większość ludzi musi odnosić takie wrażenie, jakoby tylko osobista perwersja mogła stać na przeszkodzie przed jej bezwarunkowym przyjęciem. Niemniej, nie tak się sprawy mają, ponieważ koncepcje cechu średniowiecznego i narodowego są, wbrew temu, co się powszechnie mniema, nie przeciwstawne, ale komplementarne; niedawny sukces socjalizmu cechowego zaś, w żaden sposób nie kłóci się z odrodzeniem cechów typu średniowiecznego, ani nie tworzy dla niego nieprzychylnej atmosfery, co stosowna analiza istoty tego stanowiska niechybnie wykaże. Chodzi o dwie zupełnie różne rzeczy. W wypadku cechów narodowych –

o wielki przemysł, i faktycznie, lepiej byłoby nazywać je „cechami industrialnymi”, niż „narodowymi”, bo to średnio udany termin, niewiele mówiący o swoim przedmiocie. Zwolennicy restauracji cechów średniowiecznych natomiast, przeciwnie, interesują się przede wszystkim rzemiosłem, drobnym wytwórstwem i rolnictwem, i w równym stopniu troszczą się o odbudowę zamierzchłej integralności tych gałęzi gospodarki, co o objęcie ich korporacyjną kontrolą. W tej perspektywie, waga, jaką przypisuje się tak jednej jaki i drugiej propozycji urzeczywistnienia ideału korporacjonistycznego zależy wyłącznie od naszych opinii o przyszłości industrializmu. Jeśli zatem wierzy się, jak czynili to pierwsi socjaliści cechowi, w czasie, gdy ten ruch powstawał, że przyszłość należy wyłącznie do produkcji wielkoskalowej, wobec rozwoju której rzemiosło ulegnie stopniowo całkowitemu zanikowi, korporacjonizm mediewistyczny z konieczności będzie wydawał się anachronizmem. Jeśli jednak przeciwnie, rozpoznajemy – jak od samego początku czynili to mediewiści, i jak socjaliści cechowi czynią od bardzo niedawna – że industrializm to rzecz z natury swojej nienormalna, i że od początku kiełkują w nim ziarna burzy, która go zmiecie, i że nawet dzisiaj balansuje na krawędzi zniszczenia, sprawa zaczyna jawić się w zupełnie innym świetle. Korporacjonista mediewistyczny nie będzie już wydawał się ciekawostką z zamierzchłej przeszłości, ale jako futurysta, w najlepszym tego słowa znaczeniu, czyli w znaczeniu człowieka, który nie chce budować na piasku. Ten ogólny pogląd na naturę systemu przemysłowego nie kłóci się wcale z uczciwym rozpoznaniem faktu, że niektóre jego elementy być może trzeba będzie zachować, przy czym o ile nie uznamy, że cechy narodowe w ogóle się nam w przyszłości nie przydadzą, przyznać musimy, że w każdym normalnym społeczeństwie ich rola z konieczności będzie mocno ograniczona.

Istnieje jeszcze wszakże inna droga. Możemy bowiem patrzeć na cechy średniowieczne albo z perspektywy organizacji rzemiosła – albo zasad moralnych i ekonomicznych, których miały bronić. Jeśli będziemy patrzeć na nie tylko z pierwszego punktu widzenia, ich malowniczość może wydać się nam nawet interesująca, ale całość okaże się skądinąd trudna w aplikacji praktycznej. Jeśli wszakże zdecydujemy się na punkt drugi, na punkt widzenia dotyczący zasad moralnych i ekonomicznych, zrozumiemy, że to ponadczasowe modele wszystkich prawdziwie społecznych instytucji, reprezentujące wartości absolutnie uniwersalne, niezwiązane z jakimkolwiek szczegółowym urządzeniem organizacyjnym. I z tego punktu widzenia, w dylemacie „cechy średniowieczne-cechy narodowe" nie chodzi o wyznaczenie linii demarkacyjnej, określenia zakresu i relacji różnych stref wpływów, ani – wreszcie – o rozstrzygnięcie sporu jaki z konieczności zachodzi między ideą organizacji scentralizowanej i sfederalizowanej, a małej i jak najbardziej lokalnej, ale o wybór pomiędzy dwiema różnymi koncepcjami cechu i jego właściwych celów. Tak też istotę socjalizmu cechowego stanowi organizacja produkcji przemysłowej na zasadzie samorządu pracowniczego, bez najmniejszej domieszki interesów prywatnych; podczas gdy cech średniowieczny, to przede wszystkim swego rodzaju sąd, utrzymujący dyscyplinę pośród pracowników określonej branży. Pamiętajmy bowiem: zadaniem cechu średniowiecznego była nie organizacja, ale kontrola gospodarcza. Nie chodziło o zastąpienie wytwórstwa prywatnego jakąkolwiek formą wytwórstwa kooperatywnego. Przeciwnie, średniowiecze powszechnie akceptowało zasadę prywatnej własności środków produkcji, i chciało jedynie, aby istniały konkretne instytucje regulujące różne sposoby ich użytkowania, na podobnej zasadzie,

na jakiej i dzisiaj stowarzyszenia zawodowe są w stanie egzekwować wśród swoich członków pewną dyscyplinę, z tą różnicą, że cechy średniowieczne nie tylko dbały o zachowanie wysokiego poziomu etyki pracy, ale także – w swojej złotej erze – względnej równości ekonomicznej tych, którzy do nich należeli, zajmując się zatem dokładnie tym samym, czym zajmują się obecnie związki zawodowe. Pilnowały, by wszyscy pracujący w danej branży stosowali się do regulacji cechowych, ustalających poziom cen i płac, określających system terminowania oraz wprowadzających standard jakości wytwórstwa, zapobiegających pojawieniu się podróbek i pospolitej tandety, i dotykających właściwie wszystkich ważniejszych aspektów funkcjonowania zawodu oraz osobistego dobrobytu zrzeszonych rzemieślników.

Co stoi na przeszkodzie zastosowaniu tych zasad w obecnych warunkach? Choć okoliczności gospodarki współczesnej różnią się znacząco od okoliczności gospodarki wieków średnich, to aplikacja taka nie wiąże się z żadną – absolutnie żadną – trudnością natury technicznej, bo chodzi, w ostatecznym rozrachunku, o wprowadzenie do życia ekonomicznego podstawowych zasad moralnych. Jedyna różnica między cechami *stricte* średniowiecznymi, a tymi, które mogłyby powstać dzisiaj, a które mają dokładnie identyczne cele, jest taka, że podczas gdy pierwsze sprawowały władzę nad pracodawcami i pracownikami małych warsztatów, stanowiących drobną własność mistrzów rzemiosła, drugie musiałyby zrzeszać pracowników i pracodawców dużych i małych fabryk oraz warsztatów, stanowiących własność jednostek, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością oraz spółki pracownicze. By kontrola ich była naprawdę skuteczna, trzeba by odejść od zasad średniowiecznych w takim stopniu,

który pozwalałby na przekazanie władzy w ręce wszystkich członków po równo – tak pracodawców jak pracowników – bo nie mogłaby już ona pozostawać, wzorem średniowiecznym, wyłącznie w rękach mistrzów. Jako iż typowy pracodawca współczesny to już nie mistrz swego fachu, dumny i zazdrosny o jego honor, ale finansista, dla którego istnieją wyłącznie zyski i straty, i który – z tego względu właśnie – nie potrafiłby dobrze wywiązywać się z obowiązków nadzorcy. Z rozumowania tego płynie konieczny wniosek, że jeśli chcemy wdrażać w gospodarce jakiekolwiek standardy uczciwości i przejrzystości, ustalić ceny, uregulować kwestię produkcji maszynowej i wszystkie inne, istotne z punktu widzenia naszego życia ekonomicznego, moc decyzyjna powinna należeć do grupy zawodowej wziętej jako całość – bo tylko ci, którzy cierpią ze względu na przeróżne nadużycia, na pewno nie będą zwlekać z podjęciem działań zaradczych.

By tym lepiej zrozumieć, że wszelkie trudności z odrodzeniem ustroju cechowego mają naturę moralną raczej, niż techniczną, należy bezwzględnie zwrócić uwagę na losy Komitetu Przemysłu Budowlanego*, szerzej znanej

---

* Tzw. „Komitety Whitleya" zorganizowane zostały dokładnie w oparciu o model Komitetu Przemysłu Budowlanego, z tą różnicą, że podczas gdy KPB ochoczo zgodziła się na współpracę ze związkami zawodowymi, Komitety Whitleya zakazały ich istnienia. Stąd też sprzeciw Partii Pracy wobec tych instytucji. [Komitety Whitleya – tzw. „komitety" czy „komisje przemysłowe", powoływane od 1919 roku w Wielkiej Brytanii, celem mediowania między pracownikami a pracodawcami. Ich popularna nazwa wzięła się od ich pierwszego prezesa tudzież założyciela i animatora, Jana Henryka Whitleya (1866-1935), bardzo interesującej postaci, tzw. „georgisty", czyli wyznawcy poglądu, że owoce produkcji rolnej powinny stanowić własność wspólną całego społeczeństwa, inne

pod nazwą „Parlamentu Zawodów Budowlanych”, bo z tego doświadczenia można wyciągnąć absolutnie bezcenne wnioski. Ciało to, składające się z reprezentantów wszystkich federacji zawodowych branży budowlanej, a także wszystkich związków zawodowych Anglii i Szkocji, i którego obrady śledzą pilnie zastępy studentów ekonomii z całego świata, wzięła się z różnych prób rozwiązania licznych problemów trapiących branżę budowlaną przez usunięcie atmosfery niechęci i nieufności, panującej wtedy w relacjach pracowników i pracodawców. Pracodawcy sprzeciwiali się wszelkim propozycjom podwyżki, chyba że towarzyszyłby jej proporcjonalny wzrost produkcji, na co z kolei nie chcieli zgodzić się delegaci pracowniczy. Dalsze negocjacje wykazały, że za ograniczenie produkcji odpowiadają cztery główne czynniki. (a) Strach przed bezrobociem; (b) otwarta niechęć wielu robotników do pomnażania prywatnych majątków innych ludzi; (c) ewidentny u robotników brak zainteresowania gospodarką, wynikający z braku jakiejkolwiek w kontroli nad własną pracą; (d) nieprofesjonalność – tak kierownicza, jak wykonawcza.

Te właśnie trudności okazały się stanowić sedno problemu, i – odważnie stawiając czoła tej sytuacji takiej, jaką była – komisja mieszana, złożona z przedstawicieli tak pracodawców, jak pracowników, postanowiła znaleźć

rodzaje produkcji zaś – zachować charakter prywatny. KPB, choć omawiany przez Pentyego bardzo szczegółowo, nie zapisał się w historii Wielkiej Brytanii zbyt wyrazistymi literami – powołany w 1916 roku celem organizacji branży budowlanej i rozwiązania trapiących ją problemów, z początku budził ogromny entuzjazm, by potem przepaść bez echa (czemu, Penty poniekąd wyjaśnia w dalszych akapitach). – Wyj. tłumacza.]

środki i sposoby poradzenia sobie z nią na drodze promocji tak zwanego „ducha współpracy". Rezultatem okazała się propozycja zorganizowania przemysłu budowlanego na zasadzie analogicznej do służb publicznych. Po czterech latach pracy, Komisja Finansowo-Organizacyjna Komitetu otrzymała na konferencji w Londynie (11-12 listopada 1921 roku) stosowne raporty – większościowy i mniejszościowy. Pierwszy, który najbardziej nas tutaj interesuje, zamknął propozycję rozwiązań w trzech punktach. Po pierwsze zatem, proponował regulację popytu, zapewnienie pracownikom pewności zatrudnienia, wprowadzenie zasiłków dla bezrobotnych, płatnych urlopów oraz programu emerytalnego, oraz prowadzenie – choćby w minimalnej możliwej proporcji – stałej księgi rachunkowej. Komitet rekomendował natychmiastowe włączenie tego punktu do umów bilateralnych między organizacjami pracodawców i pracowników, bez względu na ewentualny rezultat rozważenia pierwszorzędnej kwestii kontroli nad produkcją przemysłową, która stanowi samo serce problemu gospodarczego, i której dotyczyły następne dwa punkty raportu.

Co do kontroli indywidualnej, raport proponował (w punkcie drugim), by tak pracownicy jak i pracodawcy zgodnie poddali się kontroli trzeciej organizacji, która, z jednej strony, pozwoliłaby zachować w przemyśle prywatność posiadania i zarządu, z drugiej – całkowicie wyeliminować z niego element spekulacyjny. Środkiem do osiągnięcia tych ambitnych celów miałoby być zagwarantowanie właścicielom, managerom i administracji wynagrodzeń proporcjonalnych do ich umiejętności i zdolności, z jednoczesnym zagwarantowaniem „standardowych" odsetek od dzierżawy kapitału (nie mniejszych, niż pewna średnia zysków z akcji osiągana w innych dziedzinach przemysłu), a także: zapewnieniem

pracownikom stałej pensji na poziomie, który gwarantowałby im rzeczywisty i zadowalający komfort życia. Ostatni punkt raportu większości natomiast, zawierał propozycję, którą otwarcie określano mianem ideału. Chodziło o stworzenie Narodowej Gildii Budowlanej, silnej, zorganizowanej instytucji sprawującej nad branżą pełnię demokratycznej kontroli, opartej na zasobach kadrowych Narodowej Federacji Pracowników Budowlanych[37] oraz innych uznanych organizacji zawodu, czy to administracyjnych, technicznych, handlowych czy pracowniczych – w znacznej mierze cechów budowlanych[38].

Raport mniejszościowy, reprezentujący (o dziwo) pogląd większości pracodawców, sprzeciwiał się wyżej opisanym propozycjom z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że – jak powiedziano – system ten nie został nigdy wcześniej empirycznie sprawdzony, w związku z czym autorzy raportu deklarowali się po stronie systemu obecnego, istniejącego we wszystkich krajach od wszystkich wieków, a zatem i w pełni normalnego dla człowieka; po drugie zaś, ponieważ proponowane rozwiązania suponowałby zmianę zasadniczego celu produkcji, co z kolei uznano za niemożliwe, ponieważ – jak argumentowano – wyłącznie miłość zysku jest w stanie dostarczyć przedsięwzięciom gospodarczym odpowiednich bodźców, a więc przy eliminacji tego motywu, życie ekonomiczne uległoby powszechnej degeneracji.

37 Ang. *National Federation of Buidling Trades Operatives* – federacja związków zawodowych budowlańców Anglii i Szkocji, zawiązana w 1914 roku.

38 Zakładanych od 1914 roku, nie średniowiecznych.

Sprzeciw ten nie może być dla nas żadnym zaskoczeniem. Idee podobnie rewolucyjnej natury mogą stać się rzeczywiście praktyczne dopiero po upływie pewnego czasu, po długiej i wytrwałej akcji propagandowej oraz kiedy stały się już własnością wspólną ludu i powszechna znajomość ich zaczyna rodzić zgodę. Stąd też właśnie rezolucja wydana po wspomnianej wyżej konferencji zrzucała odpowiedzialność za kluczowe decyzje na instytucje polityczne kraju, a Komisja do spraw Zarządzania i Wydatków zobowiązana została do opracowania ekspertyz na temat mniej kontrowersyjnych kwestii. Krótko mówiąc, problem poszedł pod dywan, i pozostanie tam prawdopodobnie jeszcze bardzo długi czas, bo nie ma wątpliwości, że sprzeciw ma tutaj charakter fundamentalny. Pierwszy raz sformułowano go podczas debaty na temat sprawozdania okresowego z działalności Komitetu (lipiec 1919), której miałem przyjemność się przysłuchiwać – i która, istotnie, okazała się nader pouczająca. Bo nie była to wcale debata pracowników z pracodawcami, ale debata między zwolennikami dwóch koncepcji gospodarki – gospodarki nakierowanej na służbę społeczną i gospodarki nakierowanej na zysk; z pracownikami i mikroskopijną mniejszością pracodawców z jednej, a przytłaczającą większością pracodawców z drugiej strony. Pracodawcy utrzymywali, że jedyną skuteczną motywacją do odpowiedzialnego prowadzenia interesów jest chęć zysku, i że zaspokojenie potrzeb wszystkich klas społecznych będzie możliwe wyłącznie przy zachowaniu bez najmniejszej alteracji obecnego, kompetytywnego systemu naszej gospodarki. Pracownicy (i grupka pracodawców-heretyków) z kolei, argumentowali, że prawdziwą pobudkę do dobrej pracy stanowi radość służby bliźnim, a nie zysk – impuls twórczy, a nie posesywny. Gdy dyskusja zeszła na te tory, kwestie rozwiązań szczegółowych przestały odgrywać w niej jakąkolwiek rolę. Na pierwszy plan

wysunęły się kwestie moralne, z Ruskinem i religią chrześcijańską w charakterze najważniejszych autorytetów. Do tego momentu nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, jak wielkie znaczenie ma głos Ruskina w świecie współczesnym. Wszyscy, tak pracodawcy jak pracownicy, zdawali się mieć wielką znajomość jego zapatrywań, i obie strony uznawały go, według wszelkich znaków, za najwyższą instancję, choć w jaki sposób strona pracodawcza, widząca w żądzy zysku jedyny efektywny bodziec gospodarczy, zdołała pogodzić swoje poglądy z jego poglądami (o chrześcijaństwie nie wspominając), to tajemnica, której nigdy nie uda mi się przeniknąć.

Jakie znaczenie ma to wszystko dla kwestii wyboru między narodowym a średniowiecznym modelem korporacji zawodowych? Po prostu: że gdy pracownicy i pracodawcy zaczęli zastanawiać się nad praktycznymi środkami organizacji wielkiego przemysłu w taki sposób, by służył dobru wspólnemu, nieskalani aprioryczną teorią walki klas, instynktownie skłonili się do rozwiązań średniowiecznych jako do linii najmniejszego oporu, bo – z wyjątkiem propozycji ustanowienia Narodowej Gildii Budowlanej, wzorowanej na mniejszych gildiach budowlanych tamtego czasu – opisany wyżej raport jest mediewistyczny do szpiku kości, w tym sensie, że wszystkiego jego punkty jawnie zakładały zachowanie własności prywatnej w produkcji, dopominając się wszakże o istnienie takiej organizacji, która mogłaby uregulować ową produkcję tak, by wyeliminować z niej całkowicie element spekulacyjny. Jest to tym bardziej niezwykłe, że inspirację stanowiła tutaj przede wszystkim propaganda socjalizmu cechowego, nie mediewizmu, na co wskazuje fakt, że w raporcie większościowym to projekt

korporacjonizmu narodowego, a nie neo-średniowiecznego, uznano za rozwiązanie idealne*.

W moim odczuciu, szkoda; nie tylko dlatego, że przecież cechy średniowieczne wydały z siebie wspaniałą architekturę gotyku, ale także dlatego, że otwarte zdeklarowanie się po stronie mediewizmu zapewniłoby rzeczonym reformatorom spójność stanowiska, jako iż pierwszy oraz drugi punkt raportu, zarekomendowane do natychmiastowego wdrożenia, z perspektywy mediewistycznej można by uznać za bardzo udane, z perspektywy socjalizmu cechowego wszakże już niekoniecznie, ze względu na co efekt końcowy może wydać się niektórym nieco rozczarowujący. Spójnego stanowiska zdecydowanie łatwiej bronić. I pracodawcy nie mogliby już zarzucić Komitetowi, że próbuje uciekać się do rozwiązań całkowicie obcych doświadczeniom ludzkości. Wielkie dokonania architektury średniowiecznej stanowiłyby tutaj bezdyskusyjny dowód w sprawie, a przecież – jak można by argumentować – stanowią one

---

* Nie mam pewności, czy tyczy się to także pana Tomasza Fostera, przewodniczącego Komisji do spraw Zarządzania i Wydatków, ponieważ ów zacny autor w pamflecie *Człowiek i jego pan,* mającego sporo do czynienia z organizacją Parlamentu Zawodów Budowlanych, pokusił się był o porównanie obecnego chaosu, w którym pogrążona jest jego branża, z systemem wypracowanym w wiekach średnich, otwarcie sugerując, że gospodarkę należy dziś zreorganizować na podobnych, kooperatywnych, zasadach. Czyni ledwie jedno zastrzeżenie, mianowicie: że „metody starych gildii budowlanych nie mogą być zastosowane w obecnych warunkach bezkrytycznie”, zaraz wszakże dodając: „co nie oznacza, że ogólna zasada kooperacji gospodarczej to coś, co można łatwo zbyć”.

bezpośredni korelat ustroju cechowego, na takiej samej zasadzie, na jakiej chaotyczne budownictwo współczesności to bezpośredni korelat ekonomicznego chaosu, wywołanego przez nowoczesny indywidualizm.

Jest jeszcze jedna nauka, którą wyciągnąć możemy z doświadczeń Parlamentu Zawodów Budowlanych. Taka mianowicie, że za kwestiami technicznymi kryją się zawsze problemy moralne – i to ich, w ostatecznym rozrachunku, dotyczą zawsze spory polityczne. Ekonomia może dostarczać ledwie pewnej sposobności do podziałów, niemniej ostatecznie lina demarkacyjna ma nieodmiennie naturę etyczną, bo – jak widzieliśmy – sama kwestia możliwości praktycznego wdrożenia propozycji wysuwanych przez Parlament Zawodów Budowlanych sprowadzała się ostatecznie do zagadnienia moralnego: czy cokolwiek poza chęcią zysku może stać się skuteczną zasadą dobrej gospodarki. I tutaj również warto zauważyć, że przyjęcie w charakterze ideału średniowiecznego, a nie narodowego, modelu cechów znacznie wzmocniłoby argumenty strony reformistycznej – ponieważ dyskusja zaczęłaby dotyczyć nie opinii, ale faktów.

Wymiar moralny ma zatem znaczenie fundamentalne. Nie tylko określa ostateczną linię podziału między tymi, którzy domagają się utrzymania obecnego, kompetytywnego systemu społecznego, a tymi, którzy domagają się jego korporatywnej czy komunalnej rekonstrukcji, ale także – między różnymi środowiskami w łonie ruchu reformistycznego. Projekt zaproponowany przez Parlament Zawodów Budowlanych przybrał kształt taki, jaki przybrał, ponieważ założono, że niezbędne do jego realizacji minimum dobrej woli znajdzie się w angielskim społeczeństwie bez żadnego problemu. Gdy nadzieje te okazały się płonne, i większość pracodawców

zdecydowanie sprzeciwiła się sformułowanym propozycjom, sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Manchesterska filia Federacji Pracowników wykorzystała okazję stwarzaną przez problem niedoboru mieszkań, i zaproponowała radzie miejskiej (luty 1920) budowę dwóch tysięcy nowych budynków mieszkalnych. Akcja ta dała początek instytucji cechu budowlanego, które to cechy zaczęły powstawać dynamicznie w różnych częściach kraju, których liczba w chwili obecnej (grudzień 1921) przewyższa setkę, i którymi musimy zająć się w następnej kolejności.

Te nowe instytucje, trzeba zaznaczyć, nie czerpią z ideałów średniowiecza, tylko socjalizmu cechowego, co jest poniekąd naturalne, ponieważ ze względu na odmowę współpracy ze strony pracodawców, z konieczności musiały one oprzeć się na lokalnych zasobach kadrowych Federacji Pracowników Budowlanych raczej, niż na wszystkich ludziach branży. Odpowiadając w ten sposób na pracodawcze *votum separatum z* konwencji (że wyłącznie chęć zysku może dostarczyć gospodarcze odpowiednich energii motywnych), cechy budowlane bardziej niż przekonująco dowiodły czegoś więcej, niż tylko sensu swego istnienia – bo dowiodły one także, iż organizacja zapewniająca pracownikom partycypację w kontroli produkcji znacznie sprzyja wydajności gospodarczej – wzmacniając więzy lojalności i wynagradzając dobrą wolę zainteresowanych. Nie ma jednak żadnych przesłanek pozwalających liczyć na to, że cechy budowlane odniosą na polu ogólnej „korporatyzacji" budownictwa większe sukcesy, niż Parlament Zawodów Budowlanych, ponieważ pozycja ich jest obecnie ekstremalnie chwiejna. Powstały celem realizacji projektów mieszkaniowych różnych samorządów kraju, i możliwe, że gdy projekty owe zostaną domknięte, cechy znikną – bo nie można zaprzeczyć, że jako takie znajdują się w znacznym

stopniu na łasce i niełasce bieżących okoliczności. A także, co wymowne, na łasce i niełasce polityki mieszkaniowej rządu, i w najbliższej przyszłości zmieść je z powierzchni ziemi choćby kampania przeciwko „marnotrawstwu środków” w gospodarce, gdy tymczasem, ponieważ nasze finanse i przemysł w każdej dziedzinie biją głową w mur – i to mur, którego nie uda się skruszyć dopóty, dopóki najważniejsze przyczyny tej sytuacji nie zostaną jasno określone i należycie przeanalizowane – perspektywa znalezienia dostatecznej ilości zleceń prywatnych, która pozwoliłaby im dalej istnieć, wydaje się co najmniej wątpliwa.

Skoro zatem potencjał „korporatyzujący” gildii budowlanych stoi pod wielkim znakiem zapytania nawet w jednej ledwie dziedzinie branży budowlanej, to tym bardziej w kontekście całej naszej gospodarki, szczególnie że nie każdy jej segment ma równie odpowiednią dla tego eksperymentu strukturę. Ustanowienie cechów budowlanych było możliwe dzięki specyficznym uwarunkowaniom budownictwa. Po pierwsze zatem, niedoborom mieszkaniowym, które posłużyły za wybitnie sprzyjającą okoliczność. W każdym mieście istniały przecież odpowiednie komitety pracownicze, więc praca mogła się znaleźć bez problemu, podczas gdy tak ważny w innych dziedzinach kapitał stały w branży budowlanej odgrywa rolę raczej drugorzędną, przynajmniej w porównaniu z kosztami generowanymi przez każdą z usług, materiały i robociznę, które pochłaniają większość budżetu. Ze względu na te okoliczności, pracownicy budowlani mogli stosunkowo łatwo zrozumieć i zaakceptować zasadę samorządności, z oczywistych względów jednak przykładu tego nie da się rozciągnąć na inne sektory gospodarcze, w których bez kapitału stałego zwyczajnie nie można się obejść i w których rynek nie daje się zlokalizować. Podobnie wyglądało to

w wypadku usiłowań kolektywistów, bo w tym wypadku również tak wychwalane przez nich miejskie sieci wodociągowe i gazowe nie stały, i nie mogły się stać, punktem wyjścia do nacjonalizacji całego przemysłu.

Niemniej, wpływ cechów budowlanych nie będzie pospolitą efemerydą. Ponieważ nawet jeśli istotnie, w wypadku innych dziedzin wielkoprzemysłowych ich przykład okazał się bezużyteczny, w wypadku drobnej działalności gospodarczej najwyraźniej nie, bo w całym kraju gildie wyrastają obecnie jak grzyby po deszczu. Istnieje już cech dostawców, krawców i rolników; według najnowszych wiadomości zaś, cechy mleczarzy, kowali, sadowników, pakowaczy oraz producentów samochodów komercyjnych znajdują się obecnie na ostatniej prostej do sformalizowania swojej egzystencji. Czy którakolwiek z tych korporacji zdoła utrzymać się przez dłuższy czas, można wątpić, bo warunki nie są dziś, mówiąc ogólnie, przesadnie sprzyjające. Jeśli przedsięwzięcia te zakończą się fiaskiem, jak naprawdę może się stać, można spokojnie przewidywać, że fiasko owo zaowocuje sporym rozczarowaniem u wszystkich tych, którzy dziś mają tak wielką nadzieję na lepsze jutro, i na pewno przeciwnicy korporacjonizmu wyzyskają to nieszczęście na swoje potrzeby. Mediewiści muszą wszakże spróbować poddać te próby właściwej ocenie. Niepowodzenia nie zmienią nic w ich nastawieniu, bo dla nich socjalizm cechowy zawsze wydawał się nieco podejrzaną inicjatywą. Według ich poglądów, od początku niezmiennych, nasz obecny system przemysłowy nie jest ani trwały, ani stabilny, w związku z czym jego reorganizacja na zasadzie cechowej nie może się udać. Tak więc choć sukces wymienionych wyżej inicjatyw bez wątpienia stanowiłby wielki krok do celu, nie ma w tej sprawie żadnych gwarancji, ponieważ u podstaw problemu ekonomicznego tkwi problem

relacji człowieka z maszyną, i fakt, że potencjalni reformatorzy nie chcą się z nim zmierzyć zostawia nas na pastwę sił, nad którymi nie mamy żadnej kontroli.

Jakakolwiek jednak okaże się przyszłość tych cechów, ich powstanie okazało się bardziej, niż usprawiedliwione, ponieważ wyjaśniło ono dla nas wiele ważnych spraw, dostarczając jednocześnie nieocenionych danych, które z pewnością przygotują grunt pod bardziej inteligentną debatę. Nawet jeśli wszakże uda im się przetrwać obecny kryzys, błędem byłoby spodziewać się, że ich rozwój stanie się zalążkiem większego systemu narodowych korporacji. Ponieważ na drodze do ustanowienia takiego systemu stoi jedna, niemożliwa do pokonania przeszkoda – fakt, że wszystkie tego typu inicjatywy ostatecznie toną w oceanie komitetów. Aby móc zabezpieczyć się przed tą zarazą, podobne samorządne stowarzyszenia muszą być małe i ściśle lokalne. Tak też ich rozmiary ich pojedynczych filii należy ograniczać tak bardzo, jak to tylko możliwe (oczywiście w zależności od funkcji, które mają pełnić). Jeśli zaś w dziedzinach takich, jak finanse, czy transakcje wielkoskalowe, lepiej sprawdzą się filie rozmiarowo większe, powinny one posiadać strukturę federacyjną, i zadania wspólne takiej federacji winny ograniczać się wyłącznie do tych, których faktycznie nie potrafiłoby wykonać żadne mniejsze ciało. System społeczny zaś, powinien pozostawać od tych większych instytucji maksymalnie niezależny. Cechy narodowe powstaną w oparciu o model średniowieczny, w oparciu o rozwiązania, których zapowiedź stanowi raport większościowy Parlamentu Zawodów Budowlanych; odpowiadając za regulację produkcji raczej, niż jej organizację, korporacje te miałyby niezmiernie wąski zakres obowiązków. I system ten na pewno nie wymagałby powoływania mnóstwa różnych komitetów. Wobec

zwierzchności tego typu gildii, gildii opartych na modelu średniowiecznym, cechy budowlane i podobne im inicjatywy znalazłyby miejsce dla siebie, i mogły wreszcie spokojnie współistnieć z sektorem prywatnym.

## Rozdział VI – Cechy a industrializm

W niedawnym artykule z *Labour Monthly*[*] pan W. Mellor[39] skrytykował socjalizm cechowy mówiąc, że jego twórcy „zaczęli od kompromisu i nie mogą skończyć się kompromitować". To ważna krytyka; teoria cechów narodowych faktycznie była kompromisem. Kompromisem między mediewizmem a industrializmem, i ruch ten istotnie nie potrafi przestać się kompromitować, ponieważ od samego początku próbuje pogodzić to, co niemożliwe jest do pogodzenia.

Prawdziwości tego twierdzenia dowieść można śledząc losy Ligi Narodowo-Cechowej, która przejęła w socjalizmie cechowym rolę wiodącą, od momentu, w którym powstała. Liga Narodowo-Cechowa, choć posiłkująca się pewnym wyborem rozwiązań średniowiecznych, była instytucją w zasadzie czysto współczesną, przynajmniej w tym sensie, że nie kwestionowała nigdy trwałości oraz stabilności systemu industrialnego. Niemniej, będąc efektem kompromisu, ruch ten znajdował się w stanie ustawicznego rozchwiania, zdany na łaskę i niełaskę okoliczności bieżących. Jego członkowie zatem, musieli zdecydować: czy iść w stronę pełnego mediewizmu, czy pełnego modernizmu. Nikt nie potrafił jednak rozstrzygnąć tej kwestii, w związku

---

* W. Mellor, „Krytyka socjalizmu cechowego", *Labour Monthly,* listopad 1921 roku.

39 William Mellor (1888-1942) – angielski dziennikarz polityczny, działacz, lewicowiec. Zaczynał jako socjalista cechowy, by potem przejść na stronę komunistów; był współzałożycielem Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii, z której wszakże bardzo szybko wystąpił, rozczarowany bolszewizmem. Postać w swoim czasie wpływowa.

z czym – ostatecznie – Liga zaczęła dryfować w dwóch przeciwnych kierunkach naraz. W teorii stała się bliższa średniowieczu, w praktyce – rewolucji i głównych nurtów moderny. Niech mi będzie wolno wyjaśnić, co mam na myśli.

W wersji pierwotnej, socjalizm cechowy opowiadał się za istnieniem niewielkiej liczby scentralizowanych gildii, ściśle związanych z państwem. Dziś, instytucji cechu narodowego nie pojmuje się już jako jednej, scentralizowanej organizacji, ale jako federację cechów lokalnych, podczas gdy idea zwierzchności państwowej odeszła w cień tak dalece, że nie da się jej już znaleźć w dokumentach programowych Ligi. Tak też, u początków, deklarowano cele takie jak na przykład:

„Zniesienie systemu płacowego oraz ustanowienie samorządu gospodarczego w postaci systemu cechów narodowych, działających w ścisłej współpracy z państwem".

Obecnie, cele deklarowane brzmią jak następuje:

„Zniesienie systemu płacowego oraz ustanowienie samorządu gospodarczego robotników w postaci demokratycznego systemu cechów narodowych, działających w ścisłej współpracy z innymi organizacjami społecznymi".

Jak wyjaśnił to uczestnikom konferencji z 1921 (na której zresztą wprowadzono powyższą zmianę) pan Cole[40], nowa formuła deklaracji zarekomendowana została jako rozwiązanie pozwalające tym, których zapatrywania na rolę państwa w przyszłym społeczeństwie różniły się od naczelnego stanowiska Ligi jednak w niej pozostać i pracować z innymi dla osiągnięcia wspólnych celów, bardziej bieżącej natury. Ci, którzy uważali, że państwo jako takie należy poddać likwidacji, a także ci, według których powinno ono utracić obecną funkcję wszechmogącego Lewiatana, pozbawione zostać nielegalnych prerogatyw i zredukowane do pozycji zaledwie jednej spośród wielu sił politycznych, mogli interpretować ją dokładnie według własnych gustów. W zwierzchność państwową najwyraźniej nie wierzył już nikt.

Te zmiany mają wielką wagę. Najistotniejsza zmiana dokonała się jednak w kwestii ogólnego nastawienia przejawianego przez Ligę w stosunku do industrializmu, który – od samego początku uważany za system stabilny i niezniszczalny – według wszelkich znaków znajduje się dzisiaj na krawędzi katastrofy. Jeśli wspomnimy, że powody dla których Liga odrzuciła ostatecznie średniowieczny model cechu i zastąpiła go modelem narodowym, wynikały w prostej linii z tego, w jaki sposób zapatrywano się na tę kwestię; i że zwolennicy gildii wieków średnich zawsze powtarzali, ze industrializm skazany jest na rozpad i zniszczenie, socjaliści cechowi zaś –

---

40 Gerard Douglas Howard Cole (1889-1959) – założyciel Ligi Narodowo-Cechowej, ekonomista, profesor na Oksfordzie; socjalista, ale w brytyjskim tego słowa znaczeniu (a nawet „socjalista libertariański"). Wielki promotor gospodarki kooperatywnej.

nieodmiennie sprzeciwiali się temu stanowisku, może najść nas refleksja, że z socjalizmu cechowego zostało w Lidze bardzo, ale to bardzo niewiele, i fakt, że wszelkie modyfikacje pierwotnego stanowiska ściągają ten ruch coraz wyraźniej w kierunku średniowiecznych zasad organizacji społecznej, to wymowne świadectwo ich prawdy i uniwersalności.

Choć, jak pokazałem, transformacja intelektualna dokonująca się w łonie Ligi wykazywała tendencję mediewistyczną, to jednak, niestety, nie w sposób świadomy, ale pod presją okoliczności zewnętrznych. Przyszedł wszakże wkrótce czas, gdy wpływ na nią zaczął wywierać zespół zupełnie odmiennych czynników, i tutaj właśnie ujawniła się największa słabość tego ruchu, bo szybko okazało się, że nie ma on w swojej doktrynie elementów dostatecznie fundamentalnych, by móc nawigować bezpiecznie między Scyllą a Charybdą polityki współczesnej. Do roku 1919 nastrój niezadowolenia z polityki powszechnej kontroli państwowej, stanowiącej dotychczas oś myśli politycznej Ligi, stał się zupełnie jawny. Niezadowoleniu temu towarzyszył jeszcze na nieszczęście rozwój propagandy komunistycznej, która pchnęła co żywiej usposobionych do porzucenia wiary w możliwość przeprowadzenia reformy środkami konstytucyjnymi, i zastąpienia jej nową ewangelią pięści. W związku z tymi wydarzeniami, tendencja mediewistyczna została nagle całkowicie zdławiona, i Liga zamieniła się w dom podzielony przeciw sobie, w którym to stanie pozostaje aż do dzisiaj, ponieważ ani rewolucjoniści, ani mediewiści nie mają w niej wystarczająco mocnej pozycji, by przechylić szalę na swoją korzyść, centrum zaś zbyt długo wahało się przed podjęciem wiążących decyzji, nie rozumiejąc, że między tymi dwoma stanowiskami nie ma miejsca na kompromis. Od tamtego czasu, znaczenie Ligi systematycznie maleje, choć

– głównie ze względu na sukces cechów budowlanych – sama idea cechowa osiąga w kraju szczyty popularności, i zapotrzebowanie na literaturę przedmiotu oraz dobrych interpretatorów jest większe, niż kiedykolwiek wcześniej[41].

Swego rodzaju ukrytą acz zawsze obecną przyczyną niepowodzeń ruchu socjalistyczno-cechowego jest to, że w kwestii systemu industrialnego nigdy nie potrafił dojść do ładu z samym sobą. Gdy, u początków swojego funkcjonowania, wierzył że industrializm to zjawisko trwałe i stabilne, mógł się jeszcze względnie skutecznie bronić. Kiedy wszakże doszedł do wniosku, że industrializm jest na krawędzi załamania, jego ogólne stanowisko polityczne straciło wszelki fundament, bo po co próbować stworzyć korporacje kontrolujące współczesny system gospodarczy, jeśli system ten w każdej chwili może wyparować? Oczywiście, kryzys ten dało się zażegnać wyłącznie w jeden sposób – poszerzając zakres działalności, odważnie przyznając, że restauracja cechów to ledwie jeden z wielu problemów, z którymi należy się zmierzyć, zanim kwestia społeczna zostanie nareszcie szczęśliwie rozwiązana. Niestety, o tym znacznie bardziej ogólnym zagadnieniu ruch socjalistyczno-cechowy nie ma absolutnie nic do powiedzenia. Przeciwnie – całkowicie wpisuje się w szerszą socjalistyczną tradycję myślenia, według której jedyne kwestie warte uwagi to organizacja i własność środków produkcji. Ponieważ Liga, gdy mówi o konieczności „zmiany systemu”, ma na myśli ledwie wymianę ludzi „na górze” systemu. Dlatego też, w ostatecznym rozrachunku, interesuje ją wyłącznie sposób

41 Nie chcę być złośliwy, ale wydaje mi się, że – jak to mawiają nasi bracia zza oceanu: „This is ego talking”...

zdobycia i utrzymania władzy. Niemniej, oczywistością jest, że zdobycie władzy a używanie jej dla dobra wspólnego to dwie zupełnie różne rzeczy, i z jakich względów mielibyśmy przypuszczać, że Partia Pracy i Partia Komunistyczna potrafiłyby ją sprawować niezależnie od zachcianek i kaprysów żywiołu ekonomicznego, dyktującego warunki współczesnym kapitalistom? Osobiście, nie widzę żadnego powodu, bo ani socjaliści, ani komuniści, ani labourzyści nie rozpoznają wagi problemu relacji człowieka z maszyną, leżącego u podstaw naszego obecnego kryzysu. A ponieważ nie potrafią tego zrobić, nie ma wątpliwości, że tak samo nie umieliby znaleźć tutaj środków zaradczych. W warunkach stwarzanych przez ekonomiczne bagno, w którym toniemy, radziłyby sobie równie beznadziejnie jak obecny rząd, z tą różnicą, że przynajmniej spróbowałyby obchodzić się z robotnikami nieco bardziej sprawiedliwie i z nieco większą hojnością.

Jeśli porównamy socjalizm współczesności z socjalizmem ruchu czartystowskiego, dostrzeżemy niechybnie, że choć obecnie socjalizm myśli w sposób niepomiernie bardziej praktyczny, to jednak nie potrafi uchwycić tak wielu istotnych składników społecznego niepokoju, jak we wczesnym wieku XIX. Aby wyjaśnić, co mam na myśli, proponuję przyjrzeć się różnicy w pojmowaniu kwestii zniesienia systemu płacowego w czasach czartystowskich i obecnie – bo tutaj właśnie znajdujemy pewną nić ciągłości. Według współczesnej definicji Ligi Narodowo-Cechowej, system płacowy to stan rzeczy, w którym pracę kupuje się i sprzedaje jak każdy inny towar na rynku, jego „zniesienie” oznacza zaś po prostu odebranie pracy charakteru towaru. Chodzi więc zasadniczo o regulację, stabilizację i umoralnienie relacji wynagrodzeniowych, oraz o opiekę społeczną na czas bezrobocia. Socjaliści czartyzmu wszakże, domagając się zniesienia systemu

płacowego, mówili zupełnie dosłownie. Rozumieli bowiem, że system dystrybucji siły nabywczej za pośrednictwem zapłaty za wykonaną pracę nie da się pogodzić z niekontrolowanym maszynizmem. Rozumieli, że jeśli produkcja maszynowa zredukuje stosowanie pracy ludzkiej do minimum (co przecież musiało się stać), siłę nabywczą trzeba będzie dystrybuować w inny sposób. Bo system płacowy w warunkach produkcji zautomatyzowanej zwyczajnie musi się załamać. Dlatego też postulowali, aby siła nabywcza nie zależała już od wynagrodzeń, i żądanie zniesienia własności prywatnej ziemi i kapitału stanowiło dla nich ledwie środek do celu, jakim była konstrukcja takiego ładu społecznego, w którym podobny stan rzeczy byłby możliwy do urzeczywistnienia. Jedno logicznie wynikało z drugiego.

Niemniej socjaliści współcześni (także cechowi) nie wykazują się równie wysokim zrozumieniem sytuacji, jak ich czartystowscy protoplaści. Rozumują bez związku z jakąkolwiek ideą centralną. Przeciwnie – ich idee są luźne, rozproszone, bez spoiwa, które mogłoby połączyć je w organiczną całość. W *Raporcie o polityce fabiańskiej*[42] zniesienie systemu płacowego odrzuca się jako postulat niemożliwy do urzeczywistnienia – i jeśli rozumieć go tak, jak czartyści, jest to zupełna prawda. To czysta utopia. Najwyraźniej jednak nikt w Towarzystwie Fabiańskim nie zdaje sobie sprawy z faktu, że łączył on się ściśle z kwestią produkcji maszynowej, z której wynikał także drugi postulat czartystów (równie utopijny), czyli zniesienie własności prywatnej ziemi, kapitału oraz środków produkcji i wymiany dóbr, którą to koncepcję fabianie jednak zachowali (w cudownej niemal nieświadomości jej pierwotnej genezy), w rezultacie opierając swoją propagandę w całości na

42 1896 rok.

środku czysto pomocniczym, w kompletnej abstrakcji od tego, co zapewniało mu w przeszłości przynajmniej względną wartość logiczną. Socjaliści cechowi wykazywali się tutaj taką samą ignorancją jak fabianie, dlatego też odkurzywszy ten stary slogan, zaczęli interpretować go w sensie regulacji, stabilizacji i umoralnienia relacji wynagrodzeniowych, bez najmniejszej świadomości faktu, że bez regulacji produkcji maszynowej taki projekt jest kompletnie poroniony. Lecz jeśli prawda odbije się od drzwi frontowych, zawsze – prędzej czy później – wróci wejściem dla służby, i tak też nierozwiązywalność problemu płacowego w obecnych warunkach gospodarczych zaczęto wiązać z kwestią kredytową, co znalazło (dzięki doktrynie Douglasa i ruchu skupionego wokół *New Age*[43]) wyraz w haśle „dywidenda dla wszystkich", z dywidendą pojmowaną jako substytut klasycznego wynagrodzenia.

Idea ta jest dość wiarygodna, by zdobyć uznanie bardzo wielu ludzi, pod warunkiem, że nie rozumieją oni wszystkich jej konsekwencji. Podobne osoby sprzeciwiają się instytucji płacy z kilku powodów. Po pierwsze, ponieważ wydaje się ona implikować niemal niewolniczy status tych, którzy ją otrzymują; po drugie, ponieważ w systemie płacowym artyści, poeci, uczeni i wszyscy inni, którzy nie pracują dla osiągnięcia natychmiastowych zysków ekonomicznych, zostają na lodzie; po trzecie zaś (i ostatnie), dystrybucja siły nabywczej za pośrednictwem zapłaty za wykonaną pracę rozmywa w wielu umysłach fundamentalną świadomość zbiorowej

---

43 *The New Age* – pismo społeczno-gospodarcze, założone w roku przez Alfreda Ryszarda Orage'a (1873-1934).

odpowiedzialności społeczeństwa za dobrobyt wszystkich składających się na nie jednostek.

Jeśli wszakże przyglądamy się tym obiekcjom z bliska, każda z nich okazuje się oparta na błędzie myślowym. To prawda, że obecnie instytucja płacy często implikuje niewolniczy status tego, który ją otrzymuje, ale nie ze względu na wewnętrzne wady samego systemu, ale dlatego, że w warunkach współczesności większość ludzi wykonujących jakąś pożyteczną pracę po prostu *de facto ma* status niewolnika. W średniowiecznym ustroju cechowym, czeladnik i uczeń otrzymywali za swoją robotę coś, co bardzo zasadnie można by nazwać płacą; niemniej, układ ten nie kojarzy nam się przecież z tak dobrze znanymi dziś wadami systemu płacowego – a to z tego względu, że cechy szczelnie zabezpieczały jego funkcjonowanie przed brutalnością i odczłowieczeniem, tak często spotykanym we współczesnej praktyce. Praca nie była towarem, rzeczą, której cenę ustalała konkurencja rynkowa, ale czymś zupełnie innym – dlatego też płacono za nią według stałych stawek ustalanych przez korporację, do której należeli zarówno czeladnicy jak i mistrzowie. Co więcej, czeladnik pracował za wynagrodzenie tylko w pierwszej fazie swego życia zawodowego. Zasadnie mógł wypatrywać dnia, w którym założy – i to zupełnie naturalnie – swój własny warsztat, bo ze względu na limity maksymalnej ilości uczniów mogących terminować u jednego mistrza, możliwości rozwoju stały otworem dla wszystkich, którzy pragnęliby z nich skorzystać. System płacowy nie czynił wtedy zatem tego zła, które czyni obecnie. Przeciwnie, całe to zło – zło kojarzone dzisiaj nieodmiennie z systemem płacowym jako takim – pojawiło się w związku z wytworzeniem się gigantycznych organizacji gospodarczych, bezpośrednich owoców podpodziału pracy

i nieograniczonego maszynizmu; ponieważ w podobnych okolicznościach, humanizujące życie relacje interpersonalne zaczynają zanikać, i miejsce ich zajmuje kalkulacja merkantylna, wyzuta ze wszelkich sentymentów czy względów osobistych. To właśnie te okoliczności czynią współczesny system płacowy sprawą tak dojmująco brutalną, niemniej gdyby wykorzystywanie maszyn w produkcji udało się ograniczyć, a podpodział pracy znieść (jak się tego domagamy), ten niepokojący element moralny, sprawiający, że instytucja płacy konotuje dzisiaj bezwzględność i niewolnictwo, natychmiast by zniknął.

Cechy średniowieczne uznawały zapłatę za wykonaną pracę za rzecz społecznie normalną, ale nie przeszkadzało im to wcale nieść wsparcia chorym i doświadczonym przez los, czy też traktować wyjątkowych przypadków w sposób wyjątkowy. Ale ponieważ w warunkach systemu przemysłowego wszystkie normalne relacje międzyludzkie potwornie się zdegenerowały, obecnie wyjątek zawsze dąży do tego, by stać się regułą. Ponieważ obecnie pracę nieprzynoszącą natychmiastowego zysku uznaje się za niegodną zapłaty, wielu potępia normalną zasadę sprawiedliwego wynagrodzenia, byle tylko zrobić miejsce dla przypadków wyjątkowych. Ale to zupełnie irracjonalne – bo nie ma przecież żadnego powodu, dla którego system wynagrodzeń miałby być jednolity. W przeszłości zgodnie uznawano, że pewne zajęcia zależą od mecenatu, i powinno się to uznać także i dziś. Ale co do mecenatu panują obecnie takie same uprzedzenia, jak i co do płac, ponieważ mecenat – jak wszystkie ludzkie i dobre rzeczy – może stać się przedmiotem nadużyć. Kościół i cech pełniły w średniowieczu rolę mecenasów nauki i sztuki – i gdyby te instytucje odrodzić, zaczęłyby ją pełnić także i współcześnie. To regres pierwszej z nich, i upadek drugiej,

wpędziły naukę i sztukę w tak wielkie tarapaty, ale myślenie, że ludzie kiedykolwiek zdecydują się żyć tak, jakby podobne wyjątki stanowiły regułę, jest kompletnie poronione. Bo jeśli większość nie interesuje się owymi wyjątkami na tyle, by objąć je mecenatem, nie ma najmniejszych szans, że zgodzi się odwrócić system gospodarczy do góry nogami byle tylko znaleźć na nie pieniądze.

I instynkt ludu by się tutaj nie mylił – bo jeśli w przyszłości wynagrodzenie miałoby nie zależeć już od wykonanej pracy, jedyne, co zostaje, to praca przymusowa, bo w jaki inny sposób można by zabezpieczyć społeczeństwo od strony gospodarczej? I przepraszam, ale po prostu nie jestem w stanie wyobrazić sobie, w jaki sposób podobne warunki miałyby sprzyjać wysiłkom artysty czy poety. Kościół czy cech można przekonać, aby zdecydował się uczynić dla nich wyjątek, traktować ich inaczej, ale w systemie pracy przymusowej, trzeba to uczciwie powiedzieć, zwyczajnie nie ma dla nich miejsca.

Następnie, należy rozważyć, w jaki sposób propozycje typu „dywidenda dla wszystkich" dałoby się urzeczywistnić w praktyce. Reformatorzy mogą snuć wspaniałe wizje cudownego systemu gospodarczego, w którym całe zło naszego czasu straciłoby rację bytu, a każda jednostka zyskała absolutną wolność, w praktyce wszakże, popularyzacja podobnych idei przyczyniłaby się wyłącznie do skokowego wzrostu troski o utrzymanie *obecnego* systemu gospodarczego, ze wszystkimi nadużyciami. Nie da się zlikwidować

„czarnych hrabstw”[44] i czerpać z nich pieniędzy na wypłatę dywidend; jedno wyklucza drugie.

Ale czy w propozycji „dywidend dla wszystkich” jest jakakolwiek iskra praktyczności? Oczywiste wydaje się, że projekt ten znajduje uzasadnienie wyłącznie przy założeniu, że system obecny ma w sobie pewne pierwiastki trwałości i stabilności. Gdyby problem leżał tylko w systemie płacowym, postulat dystrybucji siły nabywczej za pośrednictwem dywidend raczej niż pensji mógłby uchodzić za przynajmniej sensowny. Prawda jest jednak taka, że obecnemu kryzysowi systemu płacowego towarzyszy kryzys każdej istniejącej współcześnie instytucji społecznej. Polityka, religia, sztuka, przemysł, rodzina, i wszystkie zdrowe tradycje kultury już teraz znajdują się w stanie głębokiego rozkładu. Widać wyraźnie, że wszystkie te problemy się łączą – dlatego też w oczywisty sposób nie da się rozwiązać ani jednego z nich nie rozwiązując pierwej naczelnego problemu produkcji maszynowej, który stanowi początek i przyczynę wszystkich ich razem wziętych. Innymi słowy, i gwoli zwięzłości, trzeba powiedzieć tyle, że „kredyt narodowy” stanowi realną możliwość wyłącznie przy założeniu, że nasz obecny system finansowy i gospodarczy da się utrzymać.

W tym punkcie dochodzimy natomiast do idei centralnej projektu Douglasa i środowiska New Age, w związku z czym trzeba nam się nią teraz zająć. Pan Douglas dostrzega, jak większość ludzi myślących, że paraliż ogarniający

---

44 Dosłownie *Black Country*, obszar w Anglii środkowej, ogromnie uprzemysłowiony (głównie jeśli chodzi o przemysł węglowy i stalowy), i faktycznie podobno niemal czarny od sadzy.

naszą gospodarkę to nie zwykła depresja handlowa, która za jakiś czas minie – jak wszystkie inne – pod wpływem normalnej interakcji popytu i podaży. Przeciwnie: pan Douglas dobrze wie, że obecna sytuacja to logiczny skutek długiej i konsekwentnej polityki „maksimum produkcji", opartej na kredycie. Nasz system kredytowy, utrzymuje pan Douglas, narusza równowagę podaży i popytu z tego względu, że pożyczek udziela się wyłącznie na zwiększanie produkcji – ale już nie konsumpcji. Że pan Douglas faktycznie dotknął najbardziej bezpośrednich przyczyn obecnego stanu rzeczy (to znaczy – tych, które nie mają związku z wojną i idiotyzmami traktatu pokojowego) nie można, w mojej opinii, zaprzeczyć. Nie ma wątpliwości, że rozrzutność w udzielaniu kredytów (swoiste „kto ma, temu będzie dodane"), tak charakterystyczna dla naszego systemu bankowego, to bezpośrednia przyczyna obecnej stagnacji finansowej – bo na dłuższą metę nie da się utrzymać tak dynamicznego wzrostu produkcji bez proporcjonalnego wzrostu konsumpcji nie zaburzając przy tym równowagi podaży i popytu. Lecz choć na pewno wszyscy możemy zgodzić się co do tego, że rozrzutność kredytowa to najbardziej bezpośrednia przyczyna naszego kryzysu, nie jest to jego przyczyna zasadnicza, o czym się jeszcze przekonamy. Tymczasem wszakże, pan Douglas proponuje przywrócenie równowagi podaży i popytu metodą planowej sprzedaży angielskich towarów po cenach poniżej kosztów produkcji: przy czym relacja ceny ostatecznej do ceny realnej powinna być proporcjonalnie taka sama, jak relacja łącznej społecznej wartości konsumpcji do łącznej społecznej wartości podaży kredytowej, straty poniesione przez producentów powinien zaś wyrównywać rząd, płacąc im w emitowanych specjalnie w tym celu bonach, za których emisję odpowiadać miałby – jak dziś – Narodowy Fundusz Kredytowy.

Otóż, pierwsze i najbardziej oczywiste zastrzeżenie do tego projektu brzmi, że takiej skali emisja pieniądza spowodowałaby w sposób konieczny galopującą inflację. Douglasiści wszakże zaprzeczają, utrzymując, że ustalenie stałego poziomu cen – inny element ich planu – stanowiłoby tutaj wystarczająco skuteczny środek zaradczy. Gdy zaś my ripostujemy na to, że w takim wypadku ceny należałoby mrozić naraz we wszystkich sektorach gospodarki (w przeciwnym wypadku, na przykład gdyby system ten implementować stopniowo, ceny nieuregulowane natychmiast zaczęłyby rosnąć, dążąc do przywrócenia równowagi), co jest niewykonalne, odpowiadają, że właśnie sam ten wzrost przyśpieszyłby implementację programu w nieuregulowanych gałęziach produkcji. Niestety, to bardzo słaby argument. Wszystkie teorie ekonomiczne oparte na koncepcji „oświeconego egoizmu" obiecywały i obiecują dokładnie to samo. Jeśli przyjmiemy wolny handel, mówiono nam kiedyś, inne kraje również będą musiały go przyjąć – teorię nieskrępowanego indywidualizmu uzasadniano zaś w ten sposób, że choć ludzie mogą na takim systemie tracić jako producenci, jako konsumenci jednak zyskają ze względu na powszechny spadek cen. Niemniej, dziwnym trafem wszelkie proroctwa formułowane z pozycji „oświeconego egoizmu" przynoszą ostatecznie skutki odwrotne od zamierzonych. I ta teoria nie stanowiłaby tutaj wyjątku – bo w dziś, w epoce rynku międzynarodowego obszarem gospodarczym, w kategoriach którego należy myśleć, jest nie kraj, a świat. I jeśli spojrzeć z tej perspektywy, teoria pana Douglasa okazuje się kompletnie niemożliwa do urzeczywistnienia. Ci, którzy w nią wierzą, wierzą w nią wyłącznie dlatego, że lubią żyć w pięknym świecie abstrakcji, kompletnie oderwanym od realiów. Jedynym lekarstwem na podobne złudzenia jest przetłumaczyć ekonomiczne abstrakcje na język konkretów, i myśleć o gospodarce wyłącznie w kategoriach realnego bogactwa – chleba,

ubrań, budynków, okrętów, paliwa, mebli i tak dalej. Jeśli zbada się je w taki sposób, pojęcia ekonomiczne okażą się kategoriami bardzo niejednoznacznymi, i pomijającymi pewne kluczowe rozróżnienia. Tak też na przykład wrzuca się do jednego worka dosłownie wszystko, od jedzenia po broń, od tego, co podtrzymuje życie po to, co służy do zabijania, jednocześnie wmawiając nam, że równowagę produkcyjną można łatwo przywrócić, jeśli tylko zacznie się sprzedawać poniżej kosztów produkcji. A co jeśli znajdzie się taki towar, którego ludzie po prostu *nie* będą chcieli kupować, niezależnie od ceny – broń, na przykład? W jaki sposób obniżanie cen miałoby tu w czymkolwiek pomóc? Cały pomysł jest absurdalny; to czcza iluzja, owoc fatalnego nawyku rozważania spraw finansowych w oderwaniu od spraw realnych. To *reductio ad absurdum* naszego systemu finansowego.

Powiedziałem, że kryzys kredytowy można – oprócz gospodarczych konsekwencji wojny i pokoju – uważać za bezpośrednią przyczynę obecnego stanu rzeczy, ale że to nie jego przyczyna zasadnicza. W ramach uzasadnienia mojej tezy chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że ów stan rzeczy, o którym mówimy, został już przewidziany przez Karola Marksa. Można o nim przeczytać w *Manifeście komunistycznym* (1847). A jednak, choć Marks bez wątpienia przewidział nasza katastrofę, nie napisał ani słowa o kredycie i spekulacjach finansowych (co mało zaskakujące, bo problem ten to w znacznej mierze skutek ustawy o spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością z 1862). Przeciwnie, uważał, że to logiczny owoc praktyki stałego reinwestowania zysków w produkcję (teoria nadwartości). Otóż, jeśli Marks był w stanie przewidzieć nasz kryzys siedemdziesiąt pięć lat temu, na długo przed pojawieniem się kwestii kredytowej, czy to nie wystarczający dowód na to, że mamy tu do czynienia z czymś znacznie bardziej

fundamentalnym? Więcej – czy problem kredytowy nie jest tutaj ledwie następstwem, symptomem choroby raczej niż przyczyną, i czy w związku z tym celem znalezienia skutecznego lekarstwa nie musimy iść dalej, i drążyć głębiej, niż pan Douglas?

Lecz choć Marks przewidywał, że praktyka nieustannego inwestowania i reinwestowania nadwartości w produkcję na dłuższą metę skończy się gospodarczym paraliżem, nie uważał jej wcale za zasadniczą przyczynę tego paraliżu, rozumiejąc, że problem finansowy to ledwie skutek bardziej podstawowego problemu relacji człowieka z maszyną. Marks widział, że kapitaliści wcale nie są panami swojego losu – bo los ów zależał zupełnie od łaski i niełaski ich narzędzi produkcyjnych. To postęp techniczny ciągnął kapitalizm po drodze jego rozwoju, a była to droga prowadząca ostatecznie do samozagłady. Tutaj zgadzam się z Marksem w zupełności. Dalej wszakże, nasze drogi się rozchodzą, bo on również coś przeoczył. To mianowicie, że opisywany przezeń proces autodestrukcji nie bije tylko w kapitalizm, ale w całą strukturę społeczną, i że w dłuższej perspektywie niekontrolowany rozwój produkcji maszynowej i kapitalistycznych praktyk gospodarczych wydać musi z siebie cywilizację o takim stopniu skomplikowania, że nikt nie będzie w stanie ogarnąć umysłem wszystkich zachodzących w niej związków. Z tego powodu zaś, z powodu tego, że cywilizacja współczesna stawia przed nami wymagania, którym ani ludzki talent, ani nerwy, nie potrafią i nigdy nie będą potrafiły sprostać, świat nasz z wolna – i koniecznie – zaczyna popadać w anarchię. Sam ten fakt, abstrahując już od innych rzeczy, powinien przekonać nas, że nie ma innego rozwiązania naszych problemów niż powrót do prostszego życia w prostszych warunkach, które

pozwoliłyby nam ograniczyć złożoność relacji społecznych do poziomu przyjaznego ludzkiemu rozumowi.

Jeśli spojrzy się na problem z tego punktu widzenia, nasza cywilizacja przestaje jawić się jako solidny fundament, na którym można zbudować coś nowego, i okazuje się ślepą uliczką, z której albo się wycofamy, albo zginiemy. Ale jak moglibyśmy tego dokonać? Oto właśnie zagadka sfinksa, którą przychodzi nam rozwiązać – i nie jest to bynajmniej łatwe zadanie. Być może niewykonalne dla jednostki. Co do tego wszakże przynajmniej, możemy być pewni; że każda zmiana ogólnej tendencji naszego rozwoju musi zostać poprzedzona zmianą, która dokona się w sercach i umysłach ludu. Że taka zmiana właśnie się dokonuje, to rzecz – w moim przekonaniu – zupełnie niewątpliwa. Nie dokonała się jednak jeszcze w takim stopniu, aby mogła wywierać wpływ na praktykę społeczną. Umysł przeciętnego człowieka rozczarował się kompletnie ideą postępu, niemniej wciąż pozostaje w znacznej mierze pod urokiem maszynizmu, i dopóki uroku tego nie uda się zdjąć, nie będzie mogło być mowy o jakiejkolwiek wolnej debacie i wolnym działaniu. Pierwszym krokiem, jaki musimy wykonać, jest przełamanie mocy tego uroku systematyczną propagandą. Jeśli uda nam się to zrobić, zaczniemy widzieć wszystko znacznie bardziej klarownie, bo powszechne uznanie idei zawsze – jeśli jest w owej idei choć trochę prawdy – ostatecznie owocuje stworzeniem warunków odpowiednich do jej praktycznego i politycznego urzeczywistnienia.

Prawdą filozoficzną jest, że każda synteza musi okazać się niekompletna, bo każda pomija coś, co staje się potem punktem wyjścia dla nowej syntezy. Gdybyśmy spróbowali przetłumaczyć tę tezę na język filozofii społecznej,

powiedzielibyśmy, że armia bezrobotnych to element rzeczywistości pominięty w syntezie industrialistycznej – dlatego też wszelkie wysiłki opracowania planu rekonstrukcji społecznej muszą zaczynać właśnie w tym punkcie. Marks zdawał sobie z tego sprawę, stąd też jego projekt użycia tej armii jako narzędzia obalenia kapitalizmu w toku rewolucji proletariatu. Ale jeśli wie się, jak my o tym wiemy, że system przemysłowy znajduje się w stanie postępującej dezintegracji, kwestia zaczyna oscylować nie wokół tego w jaki sposób można by pokonać i obalić system kapitalistyczny, ale w jaki sposób zbudować na jego ruinach nową cywilizację, w związku z czym będziemy zajmować się bezrobotnymi jako jednostkami raczej, niż masą. Uznając, zgodnie z prawdą, że industrializm skazany jest na zagładę, powinniśmy poświęcić wszystkie siły na przekwalifikowanie ich na rolników i rzemieślników. Nie sprawi nam to więcej trudności – o ile podejmiemy się tej pracy na skalę publiczną – niż przekwalifikowanie masy cywili na żołnierzy, co udało się przecież w czasie wojny. To wyłącznie kwestia woli i determinacji. Dotąd wszelkie próby rozwiązania problemu bezrobocia stanowiły kwintesencję jałowości, ale działo się tak tylko z tego względu, że wszystkie projekty w tym zakresie stanowiły wyłącznie próby zyskania na czasie, dopóki handel na powrót przyśpieszy. Taki cel to dosłownie *żadna* inspiracja. Bezrobotni sami mają pełną świadomość bezsensowności pracy, którą wykonują, i w tym sensie praca owa to największy czynnik demoralizujący, jaki można sobie wyobrazić. Gdybyśmy jednak zdecydowali się wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy, uznali, że stan obecny nie może się utrzymać, i zaczęli szkolić ludzi w dziedzinie rzemiosła bądź rolnictwa, tak, by znaleźli oni dla siebie miejsce w nowym porządku społecznym, zaczęliby dostrzegać w swoich wysiłkach jakąś wartość – i to

zrobiłoby nareszcie prawdziwą różnicę, bo człowiek potrafi wkładać w coś serce wyłącznie, jeśli ma realny cel, i realną motywację.

Przyjąwszy podobną metodę, nowe społeczeństwo dałoby się zacząć budować poniekąd „w ramach” starego – tak, że gdy nasza cywilizacja przemysłowa zaczęłaby sypać się w gruzy, nowa stopniowo zajmowałaby jej miejsce. Nie powinno być z tym żadnych trudności, gdybyśmy tylko szczerze uznali podstawową zasadę bezwzględnej ochrony społeczeństwa na każdym stopniu transformacji. To nowe społeczeństwo opierałoby się – jak wszystkie stabilne społeczeństwa świata – na fundamencie rolnictwa, i aby odrodzenie to dokonało się tak dynamicznie, jak tego oczekujemy, konieczna będzie ochrona naszej gospodarki rolnej przed konkurencją zagraniczną, a także zamrożenie cen i zarobków. Musiałaby poza tym nastąpił gruntowna reforma systemu podziału ziemi, która zresztą – jak można zakładać – w miarę postępów kryzysu stanie się kwestią zdrowego rozsądku. Gdy zaś fundament ten zostanie już położony, będziemy mogli wznieść na nim nową gospodarkę – gospodarkę bez podpodziału pracy, zabezpieczoną prawnie przed anarchią maszynizmu. Ta nowa gospodarka musiałaby zostać z początku objęta ścisłą ochroną przed konkurencją ze strony tych gałęzi przemysłu, w których reforma jeszcze by się nie dokonała, którą to ochronę można by jej zapewnić choćby opodatkowując wielkie maszyny i stosowanie podpodziału pracy. Po pewnym czasie, gdyby to nowe społeczeństwo zaczęło się rozwijać i samorzutnie dążyć do urzeczywistnienia swojego potencjału, ochrona taka stałaby się zbędna, ponieważ oszczędności generowane przez likwidację dystrybucji krzyżowej i związanych z nią kosztów pośrednich z nadwyżką wyrównałyby straty spowodowane wzrostem kosztów produkcji. Ceny i wynagrodzenia powinny oczywiście pozostawać na poziomie stałym,

a każda gałąź gospodarki zostać objęta kontrolą cechową – wszystko celem zapobiegnięcia odrodzeniu kapitalizmu, które w warunkach absolutnej swobody handlu z całą pewnością by nastąpiło. Rekonstrukcja taka, gdyby tylko ją rozumiano, nie sprawiłaby nam naprawdę żadnych trudności. Zasad, w które wierzymy, nie da się zaszczepić współczesnemu społeczeństwu osobno i po kolei. Gdyby wszakże przedstawiać je zbiorczo, i jako część szerszego i jasnego planu działania, i to od wczesnych stadiów formacji społecznej – nie ma przyczyny, dla której miałyby pozostać niezrozumiałe. Jako jednostki, nigdy nie będziemy w stanie powrócić do prostszych warunków życia – ale możemy zrobić to razem, i nie ma najmniejszego powodu, aby myśleć inaczej.

Jednocześnie, w owym nieuniknionym przecież „zwrocie agrarnym" naszej polityki gospodarczej grają rolę także czynniki zewnętrzne. Konkluzja o końcu gospodarczej dominacji przemysłu narzuca się coraz mocniej, i coraz większej ilości umysłów. Popularna w ubiegłym stuleciu teoria jakoby przeznaczeniem Anglii było stać się „warsztatem całego świata" oddawała ledwie pewien konkretny i w znacznej mierze przypadkowy stan społeczny, a nie naturę rzeczy. Ten szkodliwy mit ekonomiczny wziął się po prostu z tego, że to nasz kraj jako pierwszy postawił stopę na drodze kapitalistycznego rozwoju, tak jak się go współcześnie pojmuje. Sprzyjały temu okoliczności przyrodnicze: wielkie bogactwa mineralne, doskonałe położenie geograficzne, czyniące z nas naturalne centrum handlu i interesów, a także zabezpieczające przed inwazją. Faktem centralnym wszakże, ogromnym tak bardzo, że w porównaniu wszystkie inne wydają się doprawdy ledwie zbiorem drobnostek, było to, że to my właśnie jako pierwsi zaczęliśmy stosować w produkcji energię parową i wielkie maszyny. I to

właśnie ten fakt sprawił, że nasze towary dotarły aż na krańce znanego nam świata, to właśnie ten fakt wpędził inne kraje w tak ogromne długi, i to on spowodował potworny rozrost naszej marynarki, czyniąc nas handlarzami i bankowcami ziemi.

Jasne wszakże, że ten monopol nie mógł trwać wiecznie. Faktycznie, mogliśmy utrzymać go wyłącznie pod warunkiem utrzymania monopolu na produkcję maszynową, bo – wykluczając wpływ czynników losowych – zawsze taniej jest wytwarzać dobra tam, gdzie jest na nie popyt i gdzie pozyskuje się odpowiednie surowce, niż w dalekich krajach, dlatego też jeden po drugim zaczęły kolejne narody włączać maszynizm w swój system gospodarczy, i monopol nasz zachwiał się w posadach. Przed wojną ledwo radziliśmy sobie z trudnościami. Lancashire traciło rynki bawełniane ze względu na konkurencję amerykańską, indyjską, japońską, a nawet brazylijską. Australia zaczęła wytwarzać własne wyroby z wełny, na innych rynkach zaś, wszelkich odmian i rodzajów, coraz bardziej spychali nas na margines Niemcy, Japończycy i Amerykanie. Wojna, zmieniając światowy układ sił, dopełniła dzieła. Rozerwała na strzępy nasz handel, finanse i przemysł. Pozbawieni dostaw z Wielkiej Brytanii, nasi dotychczasowi klienci w znacznej liczbie musieli zacząć wytwarzać przeróżne wyroby na własną rękę, i ponieważ nowe fabryki buduje się niemal zaraz obok źródeł surowca, jasne jest, że wkrótce wszystkie te rynki wymkną się nam z rąk. Nie możemy już łudzić się nadzieją, że bez końca będziemy eksportować tyle samo do Australii, Kanady, Ameryki Południowej czy gdzie indziej, wobec oczywistej tendencji innych państw do „unaradawiania” własnych gospodarek. Jednocześnie, by móc sfinansować działania wojenne, musieliśmy zbyć większość naszych inwestycji zagranicznych. Tak też,

z jakiej perspektywy by na to spoglądać, kraj będzie miał teraz sporo mniej pieniędzy, niż przed wojną, i przemysł nie zdoła już zapewniać nam tylu miejsc pracy, ile zapewniał dotychczas. Nie mogąc sprzedawać produktów przemysłowych narodom rolniczym, w krótkim czasie wyczerpiemy środki na zakup żywności (którą musimy przecież importować), i zacznie nam grozić po prostu klęska głodu – o czym świadczą wymownie coraz bardziej niekorzystne bilanse wymiany handlowej z innymi państwami.

Tak przedstawia się właśnie najbardziej palący problem praktyczny naszych czasów. Jeśli ktokolwiek potrzebowałby dowodu na to, że uzależnienie się od zagranicznych dostaw żywności i budowa przemysłu opartego w całości na zagranicznych dostawach surowca to czysta głupota, historia Anglii powinna wystarczyć. Płynęliśmy z prądem, i daliśmy się zanieść w ślepy zaułek – tak też nasza sytuacja będzie wyglądać coraz gorzej i gorzej, dopóki nie odbudujemy własnego rolnictwa, ponieważ z racji tego, że kraje, od których dotąd importowaliśmy produkty żywnościowe, zaczynają tworzyć własne bazy przemysłu, poziom naszego eksportu będzie się zmniejszał, i jedyne wyjście z sytuacji stanowi możliwie najszerzej zakrojona produkcja żywności na własną rękę, a do tego potrzebne jest bez wątpienia wielkie odrodzenie agrarne.

Czy ziemia naszych wysp potrafi wydać z siebie dość owoców, aby wyżywić wszystkich swych mieszkańców, to kwestia dyskusyjna. Jeśli wszakże nie potrafi, wtedy – biorąc pod uwagę postępujący spadek dynamiki handlu zagranicznego, ze względu na który już w niedługim czasie nie będziemy sprzedawać takich ilości dóbr, które umożliwiałyby nam utrzymanie importu na odpowiednim poziomie – pozostaje wyłącznie zorganizowana emigracja,

bo najdziwniejsze nawet sztuki z mechanizmami dystrybucji żywności nie wyczarują tej żywności więcej, niż jesteśmy w stanie wytworzyć i importować*.

Tak też sam kierunek rozwoju historii zmusza nas do powrotu do średniowiecznej zasady możliwie jak największej samowystarczalności wszystkich krajów. Choć w tej chwili utrata rynków zagranicznych to poważne zagrożenie, którego znaczenia nie da się wyolbrzymić, i które mąci nam jasność myśli, to uważam, że w dłuższej perspektywie proces ten okaże się błogosławieństwem, bo dopóki gospodarka nasza opierała się na imporcie, przeprowadzenie poważniejszej zmiany było niemożliwe, jako iż wszystkie najważniejsze czynniki pozostawały poza naszą kontrolą. Zmiana polityki celnej, wojna, odkrycie nowych złóż jakiegoś surowca czy inne tego typu wydarzenia, choćby miały one miejsce na drugim końcu świata, groziły bezrobociem milionów ludzi, i tak też stery naszej polityki pozostawały wyłącznie w rękach kapitalistów, jedynych ludzi zdolnych odkrywać coraz to nowe rynki zbytu dla nadwyżek naszej produkcji. Zerwanie z tą straszną tradycją stanowiło dotąd naczelny problem na drodze do prawdziwej reformy, bo próby uporządkowania procesów ekonomicznych oplatających całą kulę ziemską z konieczności skazane są na porażkę. Niemniej przeszkoda niewzruszona dotąd wobec usiłowań rozumu, upada pod naporem okoliczności zewnętrznych, i oto otwiera się przed nami realna możliwość rozwiązania problemu społecznego, i wszystko zależy wyłącznie od tego, czy znajdziemy w sobie dość woli i energii, aby zacząć działać. Bo jeśli uda nam się odrodzić rolnictwo, i ludzie znów zaczną pracować na swej

---

* Patrz: analiza tego problemu w mojej pracy *Cechy, handel i rolnictwo*.

własnej ziemi, położymy solidny fundament, na którym da się budować – i nie pozostanie już nic innego, jak tworzyć, powoli ale do skutku, nowy system społeczny, który będzie nareszcie trwały i stabilny.

Jeśli zatem przyjmiemy za naszą pierwszą maksymę to, że fundament każdej normalnej cywilizacji stanowi samowystarczalność, druga bez wątpienia będzie brzmieć, jak następuje: że normalna cywilizacja nie może żyć z kapitału, ale organizować swoją produkcję w taki sposób, aby się w znacznej mierze periodycznie odradzać. W czasach przed-maszynowych eksploatacja surowców nieodnawialnych nie stanowiła zagrożenia dla potomności, i złoża bogactw mineralnych pozostawały niemal nietknięte. Metody przemysłowe drenują surowce naturalne w zatrważającym tempie. Maszyna potrafi pochłonąć nieograniczone ilości paliwa i minerałów, których zasoby przecież nie są nieskończone. Najłatwiej dostępne źródła surowców zaczynają wysychać,  i tak konieczność znalezienia nowych złóż stanowiła jedną z naczelnych przyczyn wybuchu wojny. Te rozważania, wespół z niezbitymi faktami spadku jakości produkcji, degeneracji biegłości technicznej, atrofii indywidualnej osobowości oraz chaosu społeczno-ekonomicznego, w sposób konieczny wiodą nas do konkluzji, że reakcja musi prędzej czy później nastąpić, bo niemożliwe jest dla cywilizacji postępować zbyt długo po tej drodze „rozwoju". Reakcja taka, stanowiąca odrodzenie przed-maszynowych standardów myśli i pracy, usunie ostatnią i najważniejszą przeszkodę, jaka uniemożliwia nam rozwiązanie naszych obecnych problemów.

## Rozdział VII – Demokracja i organizacja społeczna

Największą przeszkodą, jaka stoi obecnie na drodze reorganizacji społeczeństwa na zasadach korporatywnych i demokratycznych to wyraźna tendencja współczesnej akcji zbiorowej do grzęźnięcia w bagnie politykierstwa i komitetów. Nieważne, o jakiej akcji konkretnie mówimy; czy kulturalnej czy politycznej, oficjalnej czy nieoficjalnej, demokratycznej czy innej, ten sam fatalny los czeka obecnie wszystkich, którzy usiłują dokonać czegoś wspólnymi siłami, i niemal każdy zdaje sobie obecnie sprawę z tego, że to zło istnieje i że nas dotyka.

Jeśli zastanowić się głębiej nad tym zjawiskiem, narzucają się dwa alternatywne wnioski. Pierwszy: że demokracja to utopijny ideał; drugi: że mamy błędne pojęcie demokracji. Uważam, że słuszny jest wniosek drugi. W średniowieczu społeczeństwo funkcjonowało bardziej demokratycznie, niż kiedykolwiek od momentu powstania cywilizacji. Do trzynastego wieku, panowały niepodzielne rządy prawa. Król podlegał mu tak, jak wszyscy inni, ponieważ „monarcha nie stanowił prawa z własnego autorytetu, ale potrzebował zgody i rady elit, a poniekąd także całego narodu”[*]. Był to zatem ustrój demokratyczny, ale nie w tym sensie, jaki nadaje się temu słowu dzisiaj, bo demokratyczność ta wynikała ze zgody powszechnej, a nie z wybieralności urzędów. Poczynania władzy sądziło się po owocach, a nie mechanizmach. Tak więc demokratyczny ideał średniowiecza zdefiniować można nie tyle jako „władzę ludu” (czyli po prostu władzę większości), którą

---

* *Średniowieczna teoria polityczna zachodu,* R.W. i A.J. Carlyle, tom I, s. 238.

świat współczesny tak namiętnie uwielbia, ale raczej jako „władzę *dla* ludu", czyli coś zupełnie innego. Przesadne nabożeństwo do ludowładztwa zawsze staje się źródłem poważnych kłopotów, ponieważ, abstrahując już od kwestii czy jakikolwiek rząd może działać mądrze w podobnych warunkach, nikt nie chyba nie zaprzeczy, że zasadę niniejszą stosować można wyłącznie w bardzo ograniczonym zakresie; i że gdy tylko ludzie zaczynają traktować władzę większości jak niemalże świętość, z miejsca trawią tak wiele czasu na dyskusje o procedurach i innych sprawach kompletnie drugorzędnych, że nie starczy im już go na omówienie spraw pierwszorzędnych, tak że władza większości ostatecznie sama usuwa sobie grunt spod nóg. Dzieje się to zaś w takim mechanizmie. Strata czasu, powodowana przez nieznające końca obrady jakiegoś komitetu i wynikająca z trzymania się utopijnego całkiem ideału, skutkuje pączkowaniem przeróżnej maści podkomisji, mających rzekomo zajmować się szczegółami zagadnienia; a jednocześnie, proporcjonalny rozrost sfery praktycznej komplikuje sprawy do tego stopnia, że przeciętny komisarz gubi się zupełnie w złożoności problemów, i ostatecznie pełną znajomość tego, o co chodzi, mają tylko ci, którzy zajmują się nimi od początku, czyli urzędnicy państwa. Po osiągnięciu tego punktu, cała władza faktycznie zaczyna należeć do nich. Większość dylematów rozstrzygają czysto wewnętrznie, między sobą, i różne komitety istnieją już właściwie tylko po to, żeby „przyklepywać" ich decyzje. Demokratyczna forma zostaje zachowana, ale rzeczywistość toczy się swoim torem. I taki koniec czeka obecnie wszystkie instytucje demokratyczne bez wyjątku. Instytucje te, owszem, działają, ale nie tak, jak byśmy sobie tego w głębi serc życzyli; co, rzecz jasna, w naturalny sposób rodzi reakcję, nieodmiennie polegającą na płomiennej reafirmacji zasad demokratycznych – i pojawiający się w każdym nowym pokoleniu buntownicy głoszą, że nasza

polityka kuleje, ponieważ mamy za mało demokracji, podczas gdy w istocie mamy jej naraz za mało i za dużo – za dużo, bo dusi nas nadmiar demokratycznych mechanizmów władzy, za mało zaś, bo nie dostaje nam prawdziwie demokratycznego ducha.

Warto przy okazji zauważyć, że proces radykalizacji ideału demokratycznego zawsze wiąże się jakoś z porażkami i niedomaganiami naszych polityków; bo jeśli dobrze tę sprawę rozumieć, każdy prawdziwy bunt przeciw rządowi nie stanowi buntu przeciw rządowi – ale raczej bunt przeciw rządowi, który nie rządzi. Rząd nie rządzi zaś wtedy, gdy traci wszelkie poczucie kierunku; i wszystkie problemy, jakie zaczynają nękać obecnie byt państwowy kraju biorą się stąd, że nasi politycy nigdy nie uświadomili sobie fundamentalnej nieprzystawalności demokracji i industrializmu, i stracili z oczu problem relacji człowieka z maszyną. W konsekwencji, miast uczynić centralną kwestię maszynizmu podstawowym punktem odniesienia dla planów reformy społecznej, całkowicie ją pomijają, i dzisiaj – gdy system przemysłowy wali się w gruzy na naszych oczach – patrzą zdębiali nie mogąc zrozumieć co się dzieje, i marnują cały czas i energię na ratowanie okrętu, który już zaczął tonąć, i to pomimo tego, że upadek industrializmu usunie ostatnią przeszkodę uniemożliwiającą zorganizowanie społeczeństwa na prawdziwie demokratycznych i korporatywnych zasadach.

Powiedziałem, że industrializm kłóci się z demokracją. W mojej opinii, nieumiejętność dostrzeżenia tego faktu stanowi bezpośrednią przyczynę zafałszowania ideału demokratycznego, jakie ma miejsce w naszych czasach, ponieważ industrializm – oddzielając posiadanie od osobistej

odpowiedzialności – dodatkowo komplikuje problem. Kontrast ten znakomicie pokazać można na podstawie zestawienia demokracji średniowiecznego miasta i współczesnych prób realizacji ideałów demokratycznych. W mieście średniowiecznym, demokracja stanowiła w porównaniu rzeczywistość bardzo nieskomplikowaną; bo środki produkcji były takie, i funkcjonowały społecznie w taki sposób, że bynajmniej nie przeszkadzały w organizowaniu społeczeństwa na odpowiednich zasadach. Bo gdy jedyne środki produkcji stanowią narzędzia rzemieślnika, właściwe określenie relacji problemów materialnych i ludzkich staje się bardzo łatwe. Problem organizacji gospodarczej był problemem *stricte* moralnym. Chodziło o stworzenie takich instytucji, które wymusiłyby na jednostkach przestrzeganie zasad etycznych w działalności gospodarczej, zapobiegały nadużyciom władzy, i obligowały wszystkich do produkowania towarów wysokiej jakości i sprzedawania ich po sprawiedliwych cenach, oraz szlachetnego obchodzenia się z pracownikami i wypłacania im za ich wysiłki godziwego wynagrodzenia; i które, z drugiej strony, wspomagałyby przedstawicieli danego zawodu w chwilach choroby czy innych nieszczęść. Od czasu pojawienia się systemu industrialnego wszakże, wszystko się zmieniło. Problem moralny skomplikował się dodatkowo ze względu na problem własności środków produkcji; bo jeśli chce się osiągnąć stan zbliżony choćby w jakiś sposób do powszechnej równości gospodarczej, własność środków produkcji musi być w pewnym sensie (i w pewnym zakresie) wspólna, to zaś wyklucza się z zasadą prywatnego zarządzania produkcją. Dlatego też odkąd tylko pojawił się w Europie system przemysłowy, wszelkie próby demokratyzacji gospodarki kończą się ostatecznie w warsztacie spółdzielczym; i cechy budowlane to tutaj naprawdę wielki postęp. Niemniej, jak już zwróciłem uwagę, zasad, na

których opierają się cechy budowlane, nie da się zastosować w innych gałęziach przemysłu. I tak problem w jaki sposób zapewnić pracownikom udział w zyskach generowanych przez wielki przemysł pozostaje. Tego typu organizacja na pewnym polu wykazuje niezaprzeczalną wartość, i w przyszłości może ocaleć na przykład w wypadku drobnych komitetów pracowniczych, uczestniczących w zarządzie tymi sektorami produkcji, w którym koniczne okaże się zachowanie pewnych elementów industrialnych. Naczelny powód wszakże, dla którego uważam, że projekt ten jest niezdatny do uniwersalnej aplikacji, stanowi to, że jego funkcjonowanie wymaga pracy zbyt wielkiej liczby komitetów, komisji i podkomisji, które nigdy nie zastąpią prywatnego zarządu nad produkcją, który mnie zresztą wydaje się najbardziej normalnym i naturalnym typem zarządu gospodarczego w ogóle. Stąd też bierze się właśnie wewnętrzna sprzeczność systemu industrialnego – a także realna perspektywa rozwiązania związanych z nią trudności.

Niemniej, nieprzystawalność demokracji i industrializmu to nie jedyny nasz obecny kłopot; bo w pewnym sensie, sama nowoczesna koncepcja demokracji jest skażona. Dziedziczymy ją po Rewolucji Francuskiej, która z kolei odziedziczyła ją po Rousseau, Rousseau zaś – trzeba wiedzieć – nie był demokratą w takim sensie, w jakim rozumiemy to słowo dzisiaj; dla niego demokracja stanowiła ledwie środek do celu, nie cel, celem bowiem były rządy mądrych. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jego demokratyzm wynikał wyłącznie z wiary w to, że demokracja najlepiej przysłuży się temu celowi. W *Umowie społecznej* czytamy: „Najlepszym i najbardziej naturalnym stanem rzeczy są rządy mądrych, bo można mieć pewność, że mądrzy rządzić będą dla dobra wielu, a nie tylko dla własnego interesu”. Co

więcej, dokładnie ze względu na to, że instytucje monarchiczne nie gwarantują skutecznej realizacji tej podstawowej zasady, Rousseau odnosił się do nich nieprzychylnie, pisze bowiem: „Fundamentalnym i nieuniknionym defektem rządów monarchicznych, i przyczyną ich zasadniczej niższości wobec ustroju republikańskiego, jest to, że w republice głos opinii publicznej troszczy się by wysokie stanowiska osiągali wyłącznie ludzie najlepsi i najbardziej oświeceni; podczas gdy w monarchiach zazwyczaj wybijają się drobne cwaniaczki, łajdacy, intryganci, zdobywający wysokie pozycje na dworach dzięki pospolitemu łotrostwu, które wszakże zaraz po objęciu przez nich danego urzędu kompromituje ich w oczach społeczeństwa. Lud znacznie rzadziej myli się w swych wyborach, niż książę; i prawdziwie utalentowany i wartościowy człowiek na ważnym urzędzie jest w monarchiach zjawiskiem równie rzadkim, co głupiec pełniący funkcję głowy państwa republikańskiego. Dlatego też, ilekroć jakimś fortunnym zbiegiem okoliczności stery rządów w monarchii, z konieczności niemal doszczętnie zepsutej przez podobnie szlachetne i kompetentne persony, przejmie urodzony przywódca, jego droga do władzy to zachwycające widowisko, a jego panowanie to nowa epoka w dziejach państwa”.

Czytając te słowa w świetle doświadczeń wieku rządów demokratycznych, nie da się pozbyć wrażenia, że przebija przez tę prostą wiarę zwyczajna naiwność, bo przecież właściwie wszystkie problemy współczesnego świata biorą się z tego, że najlepsi i najmądrzejsi nie łatwiej zdobywają sobie należną im pozycję w demokracji, niż w jakimkolwiek innym systemie rządów. Przeciwnie – w warunkach demokratycznych na szczyt wybijają się zazwyczaj najsprytniejsi, a nie najmądrzejsi, a – niestety – mądrzy z rzadka bywają sprytni, a sprytni z rzadka mądrzy. Fakt ten tłumaczyć można na

wiele sposobów. Najoczywistsze wyjaśnienie stanowi jednak rzecz jasna prosta obserwacja, że sukces polityczny zależy dzisiaj niemal wyłącznie od umiejętności publicznego przemawiania, a przecież biegłość ta nie implikuje wcale koniecznie ani wielkiej mądrości, ani osobistej uczciwości. Oczywiście, dobry mówca może być również człowiekiem mądrym i uczciwym, natomiast nie ma tutaj koniecznego związku.

Ta wada demokracji, jej wada naczelna, daje zresztą o sobie znać w każdym miejscu i w każdym czasie, niemniej obecnie rozrosła się ona do rozmiarów wprost potwornych – ze względu na spowodowaną przez maszynizm niekontrolowaną ekspansję miast. W swej świetnej książce *Nieprzewidziane tendencje demokracji*, pan E.L. Godkin[45] jasno wykazuje, że degeneracja amerykańskiego ideału demokratycznego wiąże się ściśle z rozwojem wielkich centrów miejskich i wzrostem liczby elektoratu. We wczesnych dniach Republiki Amerykańskiej, gdy głosujących było bardzo niewielu, ludzie wybitnych zdolności i siły charakteru najpierw zdobywali sobie pozycję i sławę w lokalnych społecznościach, a potem dopiero – właśnie ze względu na tę pozycję i sławę – wybierano ich do kongresu. Lecz wobec szybkiego wzrostu tempa emigracji, podobnie głębokie relacje interpersonalne zaczęły w społeczeństwie amerykańskim zanikać, i wtedy zaczęły się problemy. Umiejętność przemawiania, raczej niż charakter, stała

---

45 Edin Wawrzyniec (!) Godkin (1831-1902) – irlandzkiego pochodzenia dziennikarz amerykański, wielki bojownik o czystość i transparencję życia politycznego, zwolennik prostej gospodarki, wolności obywatelskiej, wróg imperializmu i industrializmu, socjalizmu i (żeby było śmieszniej) „równouprawnienia kobiet". Radykał, jak nas wielu; zapomniany, jak wszyscy moi mistrzowie.

się najważniejszym atutem każdego potencjalnego polityka, bo tylko dobrzy mówcy potrafili przebić się do większej liczby wyborców. Z tą zmianą zaś, zaczęła się degeneracja typu urzędnika publicznego, potem zaś – hegemonia wielkiej machiny politycznej, automatycznie „wytwarzającej" większość dla tych kandydatów, którzy zdecydowali się ją współtworzyć. W konsekwencji, życiem publicznym zawładnęła korupcja i spekulacja, i wszystkie wartości, na których opiera się ideał demokratyczny, legły w gruzach.

Sam Rousseau zdawał sobie w pełni sprawę z tych niebezpieczeństw, bo, choć czasem wypowiada on się tak, jak gdyby demokracja nie mógł zbłądzić, kiedy indziej otwarcie przyznaje, że w życiu bywa inaczej, a fakt, że sprzyjał jawnie małym państwom i drobnej własności, prawdopodobnie wskazuje na to, że wiedział, jak groźny może być politycznie zbyt dynamiczny przyrost kapitału i zbyt daleko idący rozwój struktur państwowych. Prawdę mówiąc, Rousseau rozważał swoje stanowisko z tak wielu perspektyw, że ostatecznie trudno oskarżyć go o cokolwiek, jak tylko o to, że pokładał zbyt wielką ufność w zbawienny wpływ zmiany samej maszynerii politycznej; choć i w tym wypadku można zacytować takie fragmenty, które zdają się temu przeczyć. Oczywiście, pewna maszyneria polityczna musi istnieć; i jej modyfikacja istotnie może zaradzić tym lub innym problemom. Niemniej, to zawsze problemy drugorzędne. Bo żadna maszyneria polityczna nie może ostatecznie *zapewnić* realizacji podstawowego postulatu Rousseau, aby przekazywać rządy w ręce mądrych; z tego prostego powodu, że nieodzownym warunkiem takiego stanu rzeczy jest, by liczni i nieliczni uczestniczyli we wspólnej tradycji, bo wobec braku wspólnej tradycji społeczeństwo po prostu nie pozna się na prawdziwie mądrych, nie mając z nimi żadnej łączności emocjonalnej i intelektualnej. Ale to właśnie tej

wspólnej tradycji, niegdyś spajającej różne typy ludzkie i klasy społeczne w jedną całość, brakuje tak dojmująco współczesnemu światu. W średniowieczu król i chłop, kapłan i rzemieślnik związani byli węzłem wspólnej tradycji religijnej, która – niezależnie jak bardzo mogliby się spierać – silniejsza była, niż wszelkie między nimi różnice. Od czasów renesansu wszakże, tradycja ta stopniowo zanika. Dzieje się to z wielu przyczyn, natury prawnej, estetycznej, naukowej i literackiej, które wspólnymi siłami długi czas już pracują nad tym, by oddzielić logicznej i intelektualnej stronę bytu człowieka od jego instynktów i emocji, i zapewnić jej zupełnie osobne *locus standi, w* związku czym w pewnym momencie przepaść dzieląca wykształconych i niewykształconych stała się szersza i głębsza, niż kiedykolwiek wcześniej w historii. W konsekwencji, ludzie mądrzy są dla ludu kompletnie niezrozumiali, tak też dryfują w otchłań izolacji, bo niełatwo im znaleźć punkty spotkania. W tym świetle, problem odnowienia demokracji wydaje się zależeć wyłącznie od naszej zdolności do odnowienia kultury, w której wszyscy będą mogli uczestniczyć. Bo „ludzie nie jednoczą się po prostu ze sobą nawzajem; ludzie jednoczą się w imię wspólnych spraw, wspólnych wartości, w dążeniu ku wspólnym celom”*.

---

* *Władza, wolność i funkcja społeczna*, Ramiro de Maetzu. Ramiro de Maetzu (1875-1936) – hiszpański dziennikarz, pisarz, myśliciel polityczny; w młodości socjalista, w wieku męskim konserwatysta katolicki. Zamordowany przez żołnierzy republikańskich zaraz na początku wojny. Publikował dużo po angielsku. Jego ostatnie słowa brzmiały podobno: „Nie wiecie, czemu mnie zabijacie, ale ja wiem, po co ginę: by wasze dzieci były lepsze niż wy”.

Gdy rozumiemy te wszystkie rzeczy, zaczynamy dostrzegać, że cały błąd humanizmu – od renesansu do współczesności – polega na tym, że zapominając o pierwszeństwie wartości ludzkich i duchowych, humaniści zaczęli promować nie jedność, a niezgodę społeczną. Afirmacja pierwszeństwa wartości duchowych i kulturalnych to powrót do centralnej prawdy chrześcijaństwa. Odpowiadając prawnikowi, pytającemu Go o największe przykazanie w prawie, Jezus rzekł: „Będziesz miłował Pana, Boga swego całym swym sercem, całą swą duszą, całym swoim umysłem i ze wszystkich sił swoich; a bliźniego swego jak siebie samego". W ten sposób potwierdził priorytet wartości duchowych, i potwierdził go dokładnie dlatego, że bez tej zasady człowiek nie potrafi prowadzić życia rzeczywiście wspólnego, czy wspólnotowego. Niech będzie mi wolno zacytować w tym kontekście słowa Ramiro de Maetzu: „Przykazanie", mówi on, „nakazujące mi miłować bliźniego jak siebie samego, nie określa, *jak* powinienem go miłować – bo nie mówi *jak* powinienem miłować samego siebie. Są momenty szczęśliwe, gdy kocham siebie ze względu na prawdę, sprawiedliwość oraz tragiczne i zachwycające piękno ofiary. Są inne, gdy kocham siebie ze względu na pochlebstwa, choć te mogą być fałszywe; władzę, choć mogę być uzurpatorem; i przyjemności, choć psuć mogą zarówno moje ciało, jak i ducha. I jeśli kocham bliźniego swego jak siebie samego, dlaczego bliźniego również nie miałbym kochać również ze względu na fałszywe pochlebstwa, samozwańczą władzę i obrzydliwe przyjemności? I to nie tylko zabawa wyobraźni. Pijak-altruista chce, aby wszyscy wokół również byli pijani; lubieżnik zaś, to też zazwyczaj altruista, w tym sensie, że pragnie, by jak największa liczba ludzi miała udział w jego zepsuciu...

Miłość bliźniego nie stanowi zatem automatycznie autentycznej wartości, o ile nie opiera się o pierwsze, największe przykazanie: przykazanie miłości Boga. Człowiek niereligijny może na to odpowiedzieć, że nie rozumie co to znaczy ‘miłość Boga’… Uznajemy wszakże, że miłość wartości kultury to miłość Boskości, a więc miłość Boga.

Ale do tego pierwszego i największego przykazania dodał Jezus kolejne: ‘miłuj bliźniego jak siebie samego’, i było to konieczne: ponieważ ten, kto zaczął już kochać Boga w jego istocie, czy osobowo, może czuć pewną pokusę odnoszenia się do siebie i innych z pogardą. Ktoś, kto kocha dobro samo, łatwo wpada w grzech braku miłości do człowieka; bo człowiek jest grzeszny; i miłośnik prawdy czuje bardziej litość niż miłość do biednego ludzkiego rozumu, którego ograniczenia tak dobrze zna i które przysparzają mu tyle bólu. I każdy, kto kocha ową moc potrzebną do zachowywania i pomnażania prawdy i dobra, często ulega pokusie rozpaczy nad słabością swoją i innych ludzi. A jednak, trzeba nam kochać człowieka, bo miłość człowieka to rzecz konieczna dla pielęgnacji prawdy. Mamy nadzieję, że ze wszystkimi swymi ograniczeniami, człowiek ma do spełnienia w świecie pewną rolę; inaczej jego istnienie nie miałoby żadnego sensu. Ktoś, kto kocha Boga, musi kochać także siebie i bliźnich swoich; bo on właśnie ma największą świadomość wad i błędów ludzkości… Jeśli prawdziwie ludzkie społeczeństwo rodzi się ze wspólnego uczestnictwa w określonych wartościach kultury, samo staje się wartością, a by mogło ono dobrze funkcjonować konieczna okazuje się *przyjaźń* tych, którzy je tworzą”*.

---

* *New Age,* luty 1917.

Teraz być może zaczynamy rozumieć, na czym polega słabość współczesnej demokracji. Opiera się ona na miłości bliźniego, a pomija zupełnie kwestię miłości Boga czy wartości kultury; albo przynajmniej, jeśli taki sąd to przesada, nadaje tym wartościom znaczenie drugorzędne. Miłość bliźniego ma pierwszeństwo przed miłością Boga. W konsekwencji, choć demokracja chce czynić samo dobro, nieodmiennie próbuje czynić je w zły sposób, i zawsze kończy się to rozczarowaniem, prowadzącym do niekończącego się chaosu. Praktyka życia jasno wskazuje, że jeśli staramy się kochać bliźniego bardziej niż Boga, zazwyczaj zaczynamy naszego bliźniego nienawidzić, bo brak w naszym działaniu czynnika unifikującego. Co więcej, podobne odwrócenie porządku naturalnego niszczy wszelką możliwość współpracy między ludem a jego przywódcami, bo mądrzy zawsze dają pierwszeństwo wartościom duchowym, co odróżnia ich od większości, dla której duch to sprawa drugorzędna. I ponieważ wartości duchowe uznaje się za drugorzędne, akcja demokratyczna zawsze praktycznie skupia się na sprawach rzeczywiście drugorzędnych, ignorując pierwszorzędne; a jeśli ludzie ignorują sprawy pierwszorzędne i koncentrują się na drugorzędnych, działanie ich staje się przesadnie złożone, i kończy się – jak widzieliśmy – zbiorową konfuzją komisji i komitetów.

Ale, trzeba dodać, dlaczego przedsięwzięcia edukacyjne, które przynajmniej z założenia powinny skupiać się na promocji wartości kulturalnych, również się tak fatalnie biurokratyzują? Odpowiedź brzmi: bo one również funkcjonują według odwróconej skali wartości; tutaj również duch i kultura nie zajmują pierwszego miejsca. Przeciwnie, chodzi w nich przede wszystkim nie o poznanie prawdy, ale o edukację mas, czyli – po prostu – o miłość bliźniego. Zaznacza się to szczególnie w tym, że współcześni

pedagodzy nie przepadają za dogmatami, nieświadomi faktu, ze każda prawda duchowa w ostatecznym rozrachunku opiera się na jakimś dogmacie, i że wszyscy wielcy nauczyciele ludzkości byli dogmatykami. I tak też w płomiennym dążeniu do podniesienia ogólnego poziomu edukacji, wywyższając instytucję, zabili wolność nauczyciela, zasadniczego i w zasadzie jedynego źródła wiedzy. Jak doszczętna byłą ta destrukcja można łatwo stwierdzić jeśli porówna się współczesne warunki edukacji z tymi, które istniały w wieku dwunastym, bo jak zauważa dr Poole: „nauczyciel rządził szkołą, nie szkoła nauczycielem. Magister uczył tam, gdzie mieszkał; i proporcjonalnie do jego sławy, gromadziła się przy nim określona grupa studentów… Zachodziły tu związki osobiste, które tylko śmierć magistra mogła zniweczyć. Sukcesja nauczycieli należała do rzadkości”*.

Widzimy zatem, że epoka wielkich nauczycieli nie była epoką komitetów; i czy nie jest to konieczne? Bo proporcjonalnie do tego, w jakim stopniu nasi współcześni pedagodzy przedkładają edukację powszechną (miłość bliźniego) nad miłość wartości kultury, tracą z oczu ów czynnik jednoczący, który jako jedyny może zapewnić edukacji znaczenie i sens.

---

* *Zarys historii myśli i edukacji średniowiecznej,* Reginald Lane Poole, s. 95. [Reginald Lane Poole (1857-1939) – historyk angielski, wykładowca dyplomacji na Uniwersytecie Oksfordu. Autor dwunastotomowej *Politycznej historii Anglii*, specjalista dziejów wieku dwunastego. – wyj. tłumacza]

## Rozdział VIII – Powrót do przeszłości

Jedną z nieuniknionych konsekwencji uznania priorytetu wartości duchowych jest stawianie przeszłości ponad teraźniejszość, bo wielkie tradycje kultury z konieczności wywodzą się z czasów minionych. Dlatego też wszystkie wielkie inicjatywy ludzkości – dobre i złe – zaczynały się od badań historycznych. Wszystkie ważne ruchy średniowiecza brały się z pragnienia odzyskania sztuki i kultury pogańskiego antyku. Działalność scholastyków i prawników wieku trzynastego to znakomity przykład tej prawidłowości. Architektura gotycka w założeniach stanowiła próbę odtworzenia architektury rzymskiej, ruiny której pokrywały całą Europę. Renesans podjął po prostu tę samą tradycję. Była to epoka niezmiernie szkodliwa – ale nie dlatego, że spoglądała w przeszłość, tylko ze względu na to, czego w niej szukała. Średniowieczni scholastycy szukali zapomnianych prawd, które mogłyby podnieść ludzkość intelektualnie i przynieść jej światło. Ludzie renesansu wszakże, mieli inną motywację. W ich pragnieniu zachowania kultury antycznej wyraźnie przejawiały się pierwiastki pychy i egotyzmu. W swej pasji poznawczej kierowali się nie pragnieniem dobra wspólnoty, ale zwykłym indywidualizmem. Nie chodziło o ubogacenie społeczeństwa, ale tylko o rozwój jednostki. Interesowało ich nie tyle to, co starożytni myśleli, ale to, jak mówili – ich język i styl. Był to ruch czysto powierzchowny, dlatego też zdegenerował się w pospolity snobizm. Ale jałowość tego konkretnego „odrodzenia" nie dowodzi jeszcze, że wszystkie odrodzenia muszą być jałowe. Przeciwnie: jeśli chcemy zobaczyć życie we właściwej perspektywie, *musimy* patrzeć w przeszłość, bo w miarę rozwoju cywilizacji sprawy najprostsze i fundamentalne bardzo często znikają pod

warstwą nowych struktur i problemów, przez co z czasem się o nich zapomina, i tylko rzetelna analiza dziejów może je na powrót odsłonić.

Na szczęście, współcześnie prawda tej maksymy – że przyszłość da się odnaleźć wyłącznie w przeszłości – została niezbicie dowiedziona, konkretnie przez sukces irlandzkiego ruchu Sinn Fein[46]. Dla przeciętnego Anglika, Sinn Fein to pospolici buntownicy, dokładnie tacy sami, jak fenianie roku 1867[47]. Wystarczy wszakże tylko pobieżnie zapoznać się z działalnością tego środowiska, aby wiedzieć że to coś znacznie, ale znacznie więcej, niż rebelianckie bojówki, bo gdyby było inaczej, Sinn Fein prawdopodobnie również zdegenerowałaby się ostatecznie w tajną organizację terrorystyczną skazaną na kolejną irlandzką porażkę. A jednak, Irlandia nie przegrała – po prostu ze względu na to, że współczesne Sinn Fein zdołało wreszcie dotknąć głębi ludzkiej natury, i prócz działalności politycznej i rewolucyjnej prowadziło również działalność szerszą, budującą wspólnotę. Fundamenty położyła tutaj Liga Gaelicka[48], założona w 1893, bardzo intelektualistyczna i troszcząca się o to, by proces poprawy bytu irlandzkiego rolnika – dokonujący się dzięki heroicznym niemal wysiłkom Irlandzkiego

46 Z gaelickiego: „My sami” - niepodległościowa, do dziś działająca partia irlandzka, utworzona w 1905 roku.

47 Rok wzniecenia przez tzw. „bractwo feniańskie” niepodległościowego powstania w Irlandii.

48 Organizacja walcząca o zachowanie i rozwój języka gaelickiego i związanej z nim kultury; „apolityczna”, w sensie, że apartyjna. Założycielem był doktor Douglas Hyde (1860-1948), irlandzki polityk, poliglota, w latach 1938-45 prezydent Irlandii.

Stowarzyszenia Agrarnego, Komisji do Walki z Przeludnieniem[49] oraz ministerstwa rolnictwa – nie zaowocował upadkiem narodu w kulturowy materializm. Fundamenty pod działalność Ligi położył zaś pan Douglas Hyde. „Jeśli", pisze de Blacam[50], „Irlandia współczesna to nie Irlandia Carletona, Lovera i Levera[51], znana z desek teatrów Irlandia pijaków, pieniaczy, głupków i snobów, ale Irlandia tradycji gaelickiej – heroiczna, twórcza, odważna – jest tak wyłącznie ze względu na nieocenioną pracę naukową dra Hyde'a. Jego *Historia literatury irlandzkiej* – dzieło ogromne, nieproporcjonalne, kipiące od nadmiaru treści, plotkarskie niemal, i niesamowicie wciągające, przypominające prędki wykład pasjonata, który próbuje powiedzieć o swoich odkryciach więcej, niż się da – odsłoniła przed przeciętnym czytelnikiem gigantyczne bogactwo kulturowe, o którym dziewięćdziesiąt dziewięć

---

49 Oryg. *Congested Districts Board*, organizacja założona w 1891 roku celem zwalczenia nędzy w najbardziej zaludnionych częściach Irlandii północno-zachodniej (Ulsterze).

50 Aodh (Hugo) de Blacam (1890-1951) – irlandzki dziennikarz, prozaik, poeta, historyk literatury i działacz polityczny; fenianin. Autor do dziś niezmiernie cenionej monografii o literaturze gaelickiej.

51 William Carleton (1794-1869) – irlandzki powieściopisarz, literat, bardzo „zanglicyzowany" i słynny z utrwalania stereotypowego, negatywnego wizerunku irlandzkich chłopów. Samuel Lover (1797-1868) – irlandzki kompozytor, malarz, pisarz, dramaturg. Badacz irlandzkiego folkloru. Słynny z komedii naigrywających się z irlandzkich wad narodowych. Karol Jakub Lever (1806-72) – irlandzki powieściopisarz, gawędziarz, autor dzieł komicznych. Wielki krytyk irlandzkich wad narodowych (krytykował je oczywiście z przymrużeniem oka i prześmiewczo), co wpłynęło poniekąd na jego późniejszą reputację, bo zupełnie zepchnęło w cień fakt jego niewątpliwego patriotyzmu i żywej sympatii do własnego narodu. Postać ciekawa.

procent Irlandczyków wiedziało równie mało, co o twórczości Krasińskiego czy Mickiewicza. Rzuciła nowe światło na irlandzką historię, w którym wszystkie znane już przecież postaci i miejsca zaczęły wyglądać inaczej, i niemal cudownie. Jego pióro okazało się różdżką, dzięki której kraj nasz przestał jawić się swoim synom jako miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc, a stał się dla nich wielką ojczyzną legendarnej chwały. Język gaelicki, subtelny, muzyczny, elegancki, lecz od czasów O'Connella[52] traktowany przez nas ze wstydliwością godną prawdziwego niewolnika, okazał się nam płodnym źródłem życia intelektualnego; i literatura anglo-irlandzka, odbijając wielkie światło gaelickiej tradycji, zalśniła imionami Yeatsa, Synge'a, Gregory'ego, Columa, O'Gradyego, Russella, Alicji Milligan[53]... Zaczął

---

52 Daniel O'Connell (1775-1847) – irlandzki polityk i myśliciel, nazywany „Wyzwolicielem". Zwolennik równouprawnienia katolików i zniesienia Aktu Unii (równouprawnienie nastąpiło w 1832, z aktem się nie udało). W związku z rosnącą popularnością (na jego spotkania przychodziło po 10 000 ludzi), prawy, słuszny i kontrrewolucyjny rząd Wielkiej Brytanii wtrącił go do więzienia za wichrzycielstwo. Tam stan jego zdrowia bardzo się pogorszył i uniemożliwił dalsze prowadzenie działalności. Zmarł w Genui, podczas pielgrzymki do Rzymu. Przypis z *Williama Cobbetta* GKC.

53 William Butler Yeats (1865-1939) – poeta centralny irlandzkiego Odrodzenia Narodowego, pisarz, myśliciel, badacz folkloru; laureat literackiej Nagrody Nobla (1923). Jan Millington Synge (1871-1909) – irlandzki poeta, prozaik, dramaturg, jedna z ważniejszych postaci Odrodzenia Narodowego. Padraic Colum (1881-1972) – irlandzki literat, dramaturg, badacz folkloru, człowiek nieprawdopodobnie wszechstronnego talentu; pisał dużo, oryginalnie i inspirował, co uczyniło go jedną z najważniejszych postaci Odrodzenia Narodowego. Standish Jakub O'Grady (1846-1928) – irlandzki literat, dziennikarz, historyk; badacz celtyckiej mitologii i jej popularyzator. Jerzy William Russel (1867-1935) – irlandzki malarz,

rozwijać się teatr irlandzki; i Dublin, porzucając nareszcie anachroniczną dumę „ubogiego szlachcica”, stał się niezmiernie dobrym miejscem do życia. Tak kulturalnie żywym, że pisarze wywodzący się z kasty arystokratów lub kościoła protestanckiego, ludzie, którzy w przeszłości nieodmiennie zamieniali się w Bernardów Shawów, nagle zaczęli znajdować w Irlandii najlepszą publiczność.

Pierwotna pasja gaelickiego odrodzenia cechowała się duchem niemal apostolskim, religijnym, towarzyszyły mu znaki i cuda, i nikt z nas nie zapomni nigdy swojego pierwszego *Feis*[54], jak to było wędrować pierwszy raz

---

poeta i działacz religijny, pozostający pod wpływem doktryn teozoficznych. Wielki przyjaciel W.B. Yeats'a i jedna z najistotniejszych postaci irlandzkiego Odrodzenia Narodowego w kulturze i sztuce. W swoim bogatym życiu przez pewien czas zajmował się redagowaniem czasopisma *The Irish Homestead*. Swoje wiersze podpisywał znakiem „Æ”, który to znak & dźwięk stanowił jego popularny pseudonim. Alicja Milligan (1865-1953) – irlandzka nacjonalistka, poetka, wielka postać irlandzkiego Odrodzenia Narodowego, założycielka Irlandzkiej Ligi Kobiecej w Belfaście; nie feministka. Przez resztę towarzystwa traktowana z ogromnym szacunkiem, jak to w „systemie patriarchalnym” bywa. Przy okazji: trzeba przyznać, po pierwsze, że irlandzkie odrodzenie literackie to światowy unikat, i dobrze byłoby, gdybyśmy tak szanowali w Polsce naszych twórców, jak oni swoich; po drugie – korzystając z okazji wyjaśnię, dlaczego czasem jest „yego”, a czasem „y’ego”; otóż zależy to od wymowy. Apostrof idzie wtedy, gdy ostatnia litera imienia czy nazwiska jest „niema”, to zaś kwestia konwencji, a czasem po prostu osobistej decyzji piszącego. Tak też np. „Henry’ego”, bo w polskim to imię wymawia się „ustawowo” jako „henrego”; ale „O’Gradyego” czy „Pentyego”, bo „ogrejdiego” i „pentjego”; bo jak tak powiedziałem (he he).

54 Tradycyjny festiwal kultury celtyckiej w Irlandii i Szkocji.

po zielonych wzgórzach przy akompaniamencie dud, czy śpiewać stare, gaelickie pieśni przy mchem porosłych grobach bohaterów. I choć mało kto to wtedy przypuszczał, dziś, w perspektywie, widzimy wyraźnie, że już w tych wczesnych usiłowaniach kryły się zarodki przyszłych dokonań, i że Sinn Fein, ruch republikański oraz odnowienie gaelickie, wszystkie stanowiły ledwie naturalne owoce ziarna, które wtedy zasiano. Wszyscy wiedzieliśmy, już wtedy, że oto wspinamy się na strome wzniesienie, i że na szczycie, choć wciąż przesłoniętym od oczu naszych przez gęste mgły, znajduje się coś cudownego”[*].

Na temat ruchu literackiego, z którego wywodzi się środowisko Sinn Fein, pan Blacam pisze natomiast tak: „Rozwój dobrej gospodarki wiejskiej, któremu towarzyszył także wielki renesans literacki oraz namiętne pragnienie dotarcia do płodnych, lecz zapomnianych źródeł twórczej inspiracji, musiały ostatecznie znaleźć wyraz w ruchu politycznym, szczególnie że zastany porządek był dla tych wszystkich energii czymś tak bardzo wstrętnym”[**]. Stąd wzięła się właśnie słynna „polityka apolityczności”, którą Sinn Fein zawdzięcza przede wszystkim panu Arturowi Griffithsowi[55], który w 1902 opisał w gazecie *United Irishman* taktykę bojkotu parlamentarnego, dzięki której Węgrzy wymusili na Franciszku Józefie uznanie ich za niepodległe państwo, związane z Austrią wyłącznie osobą monarchy, domagając się jednocześnie przyjęcia podobnej metody. Zamiast wysyłać swoich posłów do Westminsteru, niech naród

---

* *Czy jest Sinn Fein,* A. de Blacam (Chapman & Dodd), ss. 42-43.

** Ibid., p. 44.

55 Artur Józef Griffith (1871-1922) – irlandzki polityk i literat, założyciel Sinn Fein.

irlandzki ustanowi własny parlament w Dublinie, i niech podporządkuje się jego decyzjom z nieprzymuszonej woli. W ten sposób, tyrańskie państwo okupanta musiałoby mierzyć się już nie z rozproszonymi i słabymi organizacjami oddolnymi, ale z innym państwem. Parlament Imperium nie mógłby działać, i siłą rzeczy musiałby uznać to „państwo faktyczne", zbudowane wyłącznie dzięki determinacji narodu, za realny byt. Później, dołączył się tutaj jeszcze P.H. Pearse[56], który skrzesał iskrę na przygotowaną przez pana Griffithsa beczkę prochu. Głosił ewangelię krwi i ofiary, mocą której Sinn Fein zmieniła się w realną siłę wojskową. Do tych dwóch imion należy dodać jeszcze Jakuba Connolloya[57], założyciela Irlandzkiej Partii Socjalistyczno-Republikańskiej, dzięki której ruch wykazywać zaczął pewne ogólne sympatie pro-socjalistyczne, mające owocować później w zwrocie ku średniowiecznym zasadom gospodarczym, jako bardziej odpowiadającym warunkom czasu[***].

Czy jest cokolwiek, czego możemy nauczyć się z historii tego ruchu? Wydaje mi się, że tak. Po pierwsze zatem, to, że wszelki ideał polityczny czy ekonomiczny niebędący częścią ogólniejszego ideału życia, znajdującego wyraz w wartościach duchowych, to zasadniczo czcza iluzja; w tym znaczeniu, że bez twórczego kontaktu z tym, co nadaje sens naszej myśli

---

56 Patryk Henryk Pearse (1879-1916) – irlandzki polityk i literat, jeden z przywódców Sinn Fein; zabity za zdradę stanu po Powstaniu Wielkanocnym.

57 Jakub Connolloy (1868-1916) – wielki irlandzki działacz niepodległościowy, marksista, zginął w Powstaniu Wielkanocnym. Przed śmiercią przyjął sakramenty Kościoła.

*** *Czym jest Sinn Fein,* ss. 44-46.

i działaniom, polityka traci łączność z rzeczywistością i degeneruje się w prymitywny oportunizm, albo terroryzm. Po drugie, to, że jeśli jakiś ruch społeczny ma wzbierać na sile, to bezwzględnie musi opierać się nie na niejasnych przewidywaniach co do przyszłości, ale próbie odzyskania zapomnianej i lekceważonej przeszłości. Bo choć to paradoks, to jednak i prawda: że możemy zmierzać ku przyszłej Złotej Erze wyłącznie jeśli zapatrzeni jesteśmy w przeszłą Złotą Erę. Przyszłość nie ma kształtu, i czynić z niej zasadniczy punkt odniesienia to wyrzekać się empirii, i dobrowolnie zdawać na łaskę i niełaskę każdego szarlatana, który się akurat napatoczy. Bo nie da się obnażyć fałszu nowych herezji, jak tylko przez odwołanie do historycznego standardu lub historycznych doświadczeń. Szarlatan, zatem, odwołując się do przyszłości i kompletnie lekceważąc przeszłość zawczasu zabezpiecza się przed wszelką poważną krytyką, i kusi społeczeństwo bajkowymi wizjami, w które bardzo często sam zresztą kompletnie nie wierzy. Niezdolność do uchwycenia tej prawdy stanowi przyczynę jałowości polityki socjalistycznej i laburzystowskiej, bo skłania jej zwolenników i pionierów do naiwnej wiary w to, że kwestię społeczną rozwiązać można przy użyciu samych tylko środków ekonomicznych – choć przecież w ostatecznym rozrachunku współczesny kryzys ekonomiczny to ledwie symptom poważniejszej choroby duchowej, spowodowanej przez odebranie człowiekowi religii, sztuki i łączności z naturą, które dramatycznie zmieniła sens i strukturę naszej aktywności.

Ale, powie ktoś, nawet jeśli zasady, na których opierała się w swoich działaniach Sinn Fein, faktycznie są słuszne, nie możemy pójść w ślady tego ruchu. Zaistniał on w Irlandii – ponieważ irlandzka tradycja literacka rzeczywiście była zapomniana, i podobne odrodzenie dostarczyło narodowi

narzędzi walki z angielską dominacją polityczną i kulturalną, a zatem i przywróciło mu wiarę we własne możliwości i przeznaczenie. My wszakże, działamy w kompletnie innych warunkach. Nie zapomnieliśmy o własnej kulturze, ani nie wzdychamy pod jarzmem okupacji. W jaki sposób zatem mielibyśmy wynieść coś z przykładu Sinn Fein? W sensie dosłowny, rzecz jasna, nijak. Ale choć mierzymy się z innymi problemami, możemy oprzeć się w naszych staraniach na tych samych zasadach. Nie możemy wskrzesić zapomnianej tradycji literackiej, ale zapomniane tradycje historyczne – już tak; tradycje społeczne i tradycje pracy, wywodzące się z epok, w których na ziemi naszej pracowali oracze, a w miastach kwitło rzemiosło, gdy wytwarzaliśmy rzeczy piękne i gdy, zjednoczeni w organizacjach cechowych, ludzie wiedli życie prawdziwie wspólne – gdy, krótko mówiąc, Anglia była naprawdę Anglią radosną. Tę przeszłość naprawdę można wskrzesić, i można rzucić ją przeciw naszemu obecnemu wrogowi, który pustoszy samo serce kraju, a którego z własnej woli wpuściliśmy za bramy – postępowi przemysłowemu, „którego motywację stanowi mamona, a metodę – maszynizm”.

Fundament pod to odrodzenie został już zresztą położony dzięki wielu naszym ruchom reformatorskim, i trzeba nam jeszcze tylko powszechnego uznania owej „zasady retencji”, abyśmy złączyli w dążeniu do wspólnego celu te nasze starania, które – osobno i bez podobnego zwornika – nie zdadzą się na nic. Dotąd na przeszkodzie do realizacji tego wielkiego zadania stało przeświadczenie o trwałości i stabilności systemu przemysłowego, dziś wszakże, gdy widać już wyraźnie, że takie przeświadczenie to czysta iluzja, niedługo wrota się przed nami otworzą; bo każdy, kto nie może patrzeć w przyszłość ze spokojem, zaczyna spoglądać w przeszłość. Gdy zmiana ta

stanie się *fait accompli*, to wszystko, co świat współczesny miał za anachronizm, odsłoni swe inne oblicze. Dokonania naszych ruchów agrarnych, i ruchów na rzecz odrodzenia sztuk i rzemiosł, nareszcie zostaną należycie docenione, i zaczną wywierać należyty wpływ na inteligentną debatę o przyszłości.

Nie będę zajmował się teraz kwestią agrarną, bo zająłem się nią już wcześniej, w innym dziele*, ale przejdę natychmiast do Ruchu Sztuk i Rzemiosł, najbardziej anty-industrialistycznej inicjatywy naszego czasu. Jego podstawę stanowią idee Ruskina, oraz eksperymenty Williama Morrisa, mające prowadzić do odrodzenia rękodzieła. Celem bliższym było zbudowanie mostu łączącego środowiska rzemieślników i artystów, które w warunkach mechanicznego systemu produkcji zostały całkowicie rozdzielone, na zgubę tak pierwszego jak drugiego. Lecz ruch ten, oczywiście, nie mógł poprzestać tylko na tym; bo idea miała ewidentne konsekwencje społeczne i ekonomiczne. W krótkim czasie zaowocowała reakcją antyprzemysłową; bo jasne jest, że jeśli tzw. „ewolucja społeczna” rozerwała więzy łączące rzemieślnika z artystą, dalszy postęp po tej samej drodze przyniesie tylko więcej podobnych szkód. Dlatego też próba zjednoczenia środowisk rzemieślniczych i artystycznych z konieczności stanowi, *de facto*, próbę obalenia industrializmu. Najważniejsi członkowie ruchu otwarcie uznawali ten fakt. Dlatego też pan Walter Crane[58] pisze: „„Nasz ruch istotnie stanowi, w pewnym sensie, wyraz sprzeciwu wobec życia mechanicznego, wobec jego twardości i niewrażliwości na piękno (rzecz zupełnie różną od

* *Cechy, handel i rolnictwo*.

58 Walter Crane (1845-1915) – angielski malarz, grafik, ilustrator, prerafaelita.

ozdobności). Gest protestu wobec tak zwanego ‘postępu przemysłowego’, wydającego z siebie tandetne dobra, za których niską cenę płaci się życiem ich wykonawców i degeneracją użytkowników. Protestu wobec zamieniania ludzi w maszyny, wobec sztucznych podziałów w sztuce, i czynienia doraźnej wartości rynkowej, czy – jeśli to możliwe – zysków, podstawowym standardem jakości artystycznej. Broni również przysługującego wszystkim i każdemu z osobna prawa do udziału w pięknie, które jest własnością wspólną, i które powinno w związku z tym być dostępne ludziom również w rzeczach zwykłych i powszechnie znanych, a także pragnie na powrót obudzić w ludziach poczucie owego piękna, stępione i stłamszone, jak to zbyt często się dzisiaj zdarza, albo – z jednej strony – przez niepotrzebne luksusy, albo – z drugiej – przez brak podstawowych środków do życia i wycieńczający niepokój o przyszłość; nie wspominając nawet o codziennej brzydocie, do której nasze oczy zdążyły się już przyzwyczaić, zmącone zalewem fałszywych przejawów smaku bądź zaćmione pośpiechem życia współczesnych miast, w których wielkie gromady ludzkie pędzą żywot w kompletnej izolacji tak od sztuki, jak od natury, pozbawione zupełnie ich zbawiennego wpływu.

Ruch nasz uznaje również wartość praktyk rękodzielniczych jako drogi rozwoju przyrodzonych talentów człowieka i jako najbardziej wartościowej alternatywy dla przemęczających skutków aktywności czysto mentalnej, dokonującej się jeszcze w obecnych warunkach brutalnej rywalizacji; nie wspominając nawet o kwestii prawdziwej przyjemności, jaką czerpie się z tworzenia przedmiotów artystycznie udanych i pięknych, zmagania się z oporem materii i tryumfowania nad nim, której istnieniu nawet dziś nikt nie mógłby zaprzeczyć. I, na koniec, odzyskując w ten sposób dla człowieka

ów pierwotny i wspólny wszystkim zachwyt nad pięknem zwyczajnych zupełnie rzeczy, odzyskuje dla nich – za pośrednictwem sztuki – wielki czynnik społeczny, sprzyjający budowie życia prawdziwie wspólnego i braterskiego, prawdziwie serdecznych i zdrowych więzi międzyludzkich, domagając się jednocześnie takiej zmiany warunków politycznych, aby nasi artyści i rzemieślnicy mogli stać się wreszcie prawdziwie wolni.

‘Oto jak mały ogień, jakże wielki las podpala’. Niektórzy mogą sądzić, że to wielki projekt – odległy ideał, uchwytny tylko dla ruchu czysto estetycznego. A jednak, jeśli odrodzenie sztuki i rękodzieła nie jest ledwie teatralnym impulsem i imitacją; jeśli nie dokonuje się wyłącznie celem zaspokojenia chwilowego trendu mody czy zapotrzebowania handlowego; jeśli ma swoją własną rzeczywistość i własne korzenie; jeśli to nie ledwie słaby poblask koloru na końcu bardzo ponurego dnia – nie może być niczym innym, niż tym, co opisałem. Musi zwiastować albo zmierzch – albo jutrzenkę”*.

Wydaje się, że Ruch Sztuk i Rzemiosł, w stanie, w jakim go znamy dzisiaj, dzieli od tego okrzyku bojowego prawdziwa przepaść. A jednak, nie jest ona tak szeroka, jak z początku wygląda, bo socjalizm cechowy wziął się przecież dokładnie z ekonomicznego fiaska Ruchu. Nie zapominajmy, że angielski gildyzm z początku ogólnie stanowił ledwie odnóżkę Ruchu Sztuk i Rzemiosł, i że odrodzenie rękodzieła było jednym z ważniejszych punktów jego pierwotnego programu. Niemniej, gdy idea ta zaczęła wywierać wpływ także na inne środowiska i przejęli ją socjaliści, program się zmienił, bo

---

* *Sztuka i rzemiosło.* Zbiór esejów autorstwa członków Stowarzyszenia na rzecz Sztuki i Rzemiosła. Zebrał Walter Crane.

w systemie cechów narodowych rękodzielnictwo nie grało właściwie żadnej roli. Że z propagandowego punktu widzenia, na zasadzie „wszystko po kolei", separacja idei społecznych Ruchu od kwestii rzemieślniczej jako takiej miała swoje uzasadnienie, nie można zaprzeczyć; bo zasada cechowa ma zastosowanie także poza dziedziną rzemiosła. Ale że zmiana ta nie przyniosła nikomu żadnych korzyści to rzecz równie łatwa do udowodnienia; bo zacząwszy traktować odnowę produkcji ręcznej jako problem odległy i drugo-, o ile nie trzeciorzędny, gildyzm stracił ów żywotny kontakt z rzeczywistością, którym się wcześniej tak wyraźnie odznaczał. Stracił z oczu problem maszynizmu i podpodziału pracy, który – jak próbowałem pokazać – stanowi w ekonomii kwestię centralną; w konsekwencji, gildyzm nie atakuje już industrializmu jako takiego, ale zaledwie jego aspekt finansowy, któremu nadajemy miano kapitalizmu. Wygląda to zatem w ten sposób, że choć ruch cechowy odniósł zawrotny sukces, musimy uznać go jednak za ledwie jeden z owych pół-sukcesów, stanowiących tak naprawdę milowy krok na drodze do wyjałowienia, o czym obecna sytuacja socjalizmu cechowego świadczy aż nadto dobitnie.

W takich okolicznościach oczywistym staje się fakt, że nadszedł czas podjąć bardziej fundamentalne aspekty myśli ruchu cechowego, które świeciły mu w przeszłości. Zdając sobie sprawę, ze centralne problemy naszej epoki to produkcja maszynowa i podpodział pracy, musimy domagać się – z jednej strony – regulacji pierwszej i likwidacji drugiego, z innej strony: rozpocząć odbudowę tego, co zostało zniszczone albo wciąż niszczeje. Przy czym kluczem jest tutaj bezwzględnie odrodzenie rękodzieła, bo rękodzieło jako takie uderza we wszystkie formy produkcji mechanicznej. W tym przedsięwzięciu zaś, warunki czasu powinny wreszcie zacząć nam sprzyjać;

jako iż skoro dni ekspansji przemysłowej są już za nami, bezrobocie zaś i redukcja etatów stają się naszym chlebem powszednim, ze znalezieniem powszechnego poparcia dla naszego ruchu, dotąd tak niepopularnego, nie powinno być większych trudności. Dlaczego bezrobotni, czy ci, którym redukuje się etaty do jednej drugiej, czy jednej czwartej, nie mieliby nie chcieć zacząć pracować na swoim, w rolnictwie czy rzemiośle? Potrzeba tylko treningu. Dlatego też nowy system ekonomiczny można zbudować w dokładnie taki sam sposób, w jaki Sinn Fein zbudowało w Irlandii swoje państwo w państwie.

Ale, powie ktoś, skoro to takie logiczne i wykonalne, dlaczego Ruch Sztuk i Rzemiosł poniósł porażkę? Odpowiedź brzmi, że Ruch ten miał właściwie wyłącznie cele archeologiczno-muzealne. Był to ruch pionierski, mający odnaleźć i pokazać światu zapomniane tradycje kompozycji i wykonania. Dlatego też miał charakter indywidualistyczny. Każdy rzemieślnik miał troszczyć się o siebie, najlepiej jak potrafił, to zaś nie było takie łatwe, bo rzemieślnik taki zazwyczaj nie mógł pożyczać kapitału (rzemiosła nie traktowano, słusznie zresztą, jako dobrego zabezpieczenia), a musiał samemu organizować własny rynek, bo – z różnych względów – przeciętnie nie miał możliwości wkomponować się w istniejący system dystrybucji. Jeśli zatem nie był człowiekiem wszechstronnym, z koneksjami, z zapasem grosza lub kółkiem przyjaciół, którzy byliby chętni go wspomóc, nie miał właściwie żadnych szans na sukces; bo doświadczenie jasno pokazuje, że eksponatów muzealnych zazwyczaj się nie kupuje. Plus, wszystkie te problemy wykoleiły Ruch z dobrego toru rozwoju, bo im bardziej rzemiosło jest utylitarne, tym więcej potrzeba mu kapitału. W związku z tym wszystkim, rzemieślnicy z rzadka tylko mogli poświęcić się pracy bardziej

przyziemnej, wymagającej sporych pieniędzy, i zajmowali się głównie ornamentyką, która nie wymaga ich prawie wcale – i w konsekwencji Ruch Sztuki i Rzemiosła, z początku zryw przeciwko kulturze luksusu, przemienił się w jedno z jej najżywszych ognisk.

Widać zatem wyraźnie, że poważne odrodzenie rzemiosła nie dokona się według tendencji wyznaczanych przez spadkobierców Williama Morrisa. Przeciwnie: to, co należy zrobić, to spopularyzować ideał rzemieślniczy przy pomocy nowoczesnych metod propagandowych. Za tym pójść musi przeorganizowanie rynku i zapewnienie rzemiosłu, pozostającemu pod ścisłym nadzorem cechów, odpowiedniego dostępu do kredytu. Gdyby kroki te podjęto na szeroką skalę, i w ramach ogólnonarodowego ruchu dążącego do odrodzenia ustroju cechowego, regulacji cen i produkcji maszynowej oraz zniesienia podpodziału pracy, wtedy stanowiłoby to praktyczny projekt – na małą skalę wszakże, każde z tych przedsięwzięć musi zakończyć się fiaskiem, bo w dzisiejszych czasach rynek lokalny nie istnieje.

Choć Ruch Sztuk i Rzemiosł co do celów bardziej dalekosiężnych poniósł porażkę, wydaje mi się, że można oddać mu choć tyle, że zdołał przywrócić tradycje rękodzielnicze i kompozycyjne, w sensie, że zainspirował sporą grupę autentycznych rzemieślników, którzy wiedzieli, czego chcą i co powinni robić, i dzięki temu otworzyła drogą do odrodzenia na szerszą skalę – bo pierwszy eksperyment udało się przeprowadzić. Nie ma większej iluzji, niż pospolite przeświadczenie modernistów, że wyzwolenie mas z okowów ekonomicznego niewolnictwa zaowocuje spontanicznym i demokratycznym odrodzeniem artystycznym, bo nie tak się rzeczy dzieją. Przeciwnie, nie tylko przeszła historia sztuki, ale również wszystkiego, co wykonano współcześnie

dla jej odrodzenia, ponad wszelką wątpliwość dowodzi, że każde artystyczne przebudzenie jest dziełem nielicznych, i dopiero potem staje się także współwłasnością wielu, na drodze stopniowego poszerzania się grupy tych, którzy rozumieją o co chodzi. I uznanie tej zasady nie kłóci się w żaden sposób z przekonaniem, że sztuka przyszłości będzie sztuką demokratyczną. Ale gdy mówimy o „sztuce demokratycznej", sztuce będącej własnością całego narodu, nie mamy na myśli tego, że twórczość artystyczna narodzi się spontanicznie, i w jakiś niewytłumaczalny sposób, wśród wyzwolonych gospodarczo mas, ale że należy promować odpowiedni rodzaj tej twórczości, taki, w którego owocach wszyscy będą mogli mieć udział, i dokładnie ze względu na to, że sztuka średniowieczna* była demokratyczna dokładnie w takim sensie, uważamy ją za konieczną podstawę wszelkiego artystycznego odrodzenia. Sztuka grecka, rzymska i renesansowa zaś – przeciwnie – to sztuki naraz autokratyczne i niewolnicze. I to zupełnie naturalne i konieczne: ponieważ opierają się one na idei formy abstrakcyjnej; a próba uczynienia z formy abstrakcyjnej podstawy sztuki ludu przypominają próby oparcia na logice formalnej kryminałów za dwa pensy. Dlatego też wywyższenie takiego ideału w nieuniknony sposób kończy się tak, że masa robotników pracuje pod dyktatem garstki wybrańców. W wypadku sztuki średniowiecznej wszakże, wyglądało to inaczej. Była to sztuka inkluzywna, i każdy mógł się w niej odnaleźć. Mistrz formy

---

* Mówiąc „sztuka średniowieczna" mam tutaj nie tylko na myśli sztukę romańską, bizantyjską czy gotycką, ale również świecką architekturę i rzemiosło renesansu, które zachowały średniowiecznego ducha – słowem, te wszystkie dzieła artystyczne Europy, które wzięły się – w pewien sposób – z eksperymentalnego rękodzieła.

abstrakcyjnej szybował wysoko w dziełach bardziej ogólnych. Starczyło jednak również pracy dla pojedynczych rzemieślników, dbających o konkret detalu dzięki konkretnej i żywej wyobraźni. To właśnie mamy na myśli, gdy mówimy o „sztuce demokratycznej” – sztukę, w której każdy może mieć udział, i w której każdy odnajduje siebie, nie zaś – jak to się roi niektórym – sztukę, którą stworzą z niczego Tom, Dick i Harry, nie poświęciwszy sprawie ani minuty namysłu.

Powiedziałem, że każde szerokie odrodzenie sztuki dokonać się może wyłącznie przez stopniowe poszerzanie się kółka tych, którzy wiedzą o co chodzi. To zaś, z kolei, zależy od dwóch czynników: usunięcia przeszkód ekonomicznych oraz kultywacji odpowiedniego usposobienia i wrażliwości intelektualnej wśród mas. Obecnie zajmuje nas wyłącznie czynnik drugi, bo główna trudność ruchu, niepozwalająca mu przekroczyć granic relatywnie niewielkiego obszaru jego oddziaływania, to nic innego, jak nastawienie przejawiane przez ogół w stosunku do każdego, komu przydarzy się wiedzieć więcej. Ludzie często są bardzo wrażliwi w sprawach gustu, szczególnie jeśli mają o nich biedne pojęcie, a słaby gust, podobnie jak ignorancja, to rzecz niezmiernie niebezpieczna. I zwyczaj owocuje organiczną niezdolnością do przyjęcia krytyki. Lud nienawidzi dogmatyzmu artysty, bo uważa kompetencję za zagrożenie, które – gdyby mu się nie przeciwstawić – odebrałoby mu niezależność. Rzetelna edukacja w sprawach sztuki to kwestia mądrej pokory, która pozwala nam podporządkować się w pewien sposób tym, co do których czujemy, że wiedzą pewne rzeczy lepiej od nas. Jeśli człowiek zgodzi się na to na pewien czas, wkrótce wyrośnie z okresu dziecięctwa, i poczuje grunt pod nogami. Niewielu jest jednak takich, którzy to potrafią. Na przeszkodzie zazwyczaj stoi tutaj, jak się wydaje, pycha. Ale

wszystko zależy od odpowiedniej formacji charakteru. Dobrze uczynił Kościół średniowieczny uznając pychę za największy z grzechów głównych. Istotnie, to grzech śmiertelny, i w najwyższym stopniu śmiercionośny – ponieważ odcina człowieka od możliwości uczenia się, i skazuje na życie wyłącznie o własnych siłach.

A zatem, choć możemy uznawać – i słusznie – że odnowa ekonomiczna to fundamentalny warunek wielkiego dzieła cywilizowania świata, nie wolno nam nigdy zapominać, że mamy jeszcze innego wroga, a wrogiem tym jest osobista małoduszność – bo nie ma żadnego powodu, poza pospolitą małodusznością właśnie, dla którego nawet w obecnym systemie sprawy musiałyby wyglądać tak źle, jak wyglądają. Dlatego też podstawowy warunek jakiegokolwiek odrodzenia artystycznego stanowi kształtowanie charakterów, i to kształtowanie ich pod prąd głównych tendencji; bo prawdziwa sztuka wymaga mistrzostwa, i szacunku dla mistrzostwa – zdolności uznania autorytetu i podporządkowania się – ale wszystko to niszczy obecnie do szczętu dominująca społecznie, głupia pewność siebie – zarówno pewność artysty, ze względu na którą roi on sobie, że jest „oryginalny”*, jak i pewność tzw. „człowieka z ulicy”, który „wie, co lubi” i nie chce się dokształcać. Prawda jest taka, że wszyscy wielcy mistrzowie byli

---

* Nigdy nie wolno tracić z oczu faktu, że ten dominujący obecnie w sztuce duch indywidualistyczny, czy wprost anarchiczny, bierze się tak z przyczyn gospodarczych, jak osobistych. Aby odnieść sukces, artysta musi dzisiaj przede wszystkim umieć zwrócić na siebie uwagę, co w naturalny sposób sprzyja wrogości do tradycji, a umiłowaniu tanich sztuczek. Na to zło nie ma, w ostatecznym rozrachunku, innego lekarstwa, jak tylko inteligentny mecenat, pozwalający usunąć gospodarcze przyczyny tej sytuacji.

również pilnymi uczniami, i dogmatyzm ich nie wynikał z pychy czy egotyzmu, ale z tej *zdrowej* pewności, którą zapewniają rzetelne studia – ze spokojnego i ugruntowanego przekonania, że rozumieją pewne rzeczy, i radosnego pragnienia, by się tym rozumieniem dzielić. Wielki artysta zawsze zaczyna od podporządkowania się wspólnej tradycji, by potem ją przekroczyć. Mniejszy artysta tego nie potrafi. Nigdy nie zdobędzie się na taki poziom dyscypliny. Tak bardzo zależy mu na własnej indywidualności, że ostatecznie w niczym nie osiąga rzeczywistej jakości tworzenia, na koniec staczając się w najgorsze ludzkie niedołęstwo – niską pychę, biorąc się z mnóstwa podrzędnych osiągnięć, która tak często kojarzy się dzisiaj z „osobowością artystyczną".

Powiedziałem, że wielki artysta umie podporządkować się wielkiej tradycji. Dlatego też jego *duch* jest ściśle demokratyczny, bo prawdziwy demokrata nie chce po prostu dać ludziom tego, czego chcą, jak koncern Northcliff Press[59], ale faktycznie szuka tego, czego *potrzebują*. To zupełnie co innego; i pierwsza postawa czyni koniunkturalistę; druga – nauczyciela. W świecie współczesnym wszakże, nie ma wspólnej i jasno określonej tradycji sztuki. Czemu więc mógłby podporządkować się dzisiaj wielki artysta? Odpowiedź leży w tradycjach artystycznych przeszłości. Współczesny artysta musi wybrać sobie jedną z nich, jako najodpowiedniejszy dla siebie środek wyrazu, a potem ją przekroczyć. Moderniści wygadują na temat tak zwanych „odrodzeń" tak wielkie mnóstwo nonsensów, bo pragnąc jak najszybciej

---

59 Ogromny trust prasowy, specjalizujący się w wydawaniu tabloidów; jego właścicielem był Alfred Harmsworth (1865-1922), jeden z „ulubieńców" Gilberta Keitha Chestertona.

oczyścić życie z ostatnich resztek treści, jakie nam jeszcze zostały, umniejszają i lekceważą studia nad przeszłością, jako rzekomo uniemożliwiające ludzkości uczynienie kroku w przyszłość. Prawda jest jednak taka, że nie da się zrobić kroku w przyszłość nie rozumiejąc własnej przeszłości, jak tego charakterystyczna bezradność modernistów wobec wszystkich poważniejszych problemów niezbicie dowodzi.

Celem bliższym Ruchu Sztuki i Rzemiosła było zatem zapoczątkowanie odrodzenia tradycji rękodzielniczych przez odbudowę związków łączących niegdyś rzemieślników z artystami; w implikacji, działalność jego miała charakter anty-industrialny, w sensie właściwym natomiast – mediewistyczny, bo stanowiła ledwie przejaw większej fali mediewizmu, która – przez cały wiek dziewiętnasty – starała się odwrócić skutki renesansu we wszystkich dziedzinach życia. Wiele czynników złożyło się w zeszłym stuleciu na ten zwrot. Po pierwsze zatem, zaczęto orientować się powoli, że głównym skutkiem reformacji i renesansu było odarcie życia z treści. W religii dominować zaczęły formalizm i powierzchowność, w nauce – snobizm, w sztuce – pozerstwo dyletanta, w architekturze – martwe formułki, politycznie i ekonomicznie zaś, społeczeństwo rozchwiało się i wpadło w konwulsje. Rewolucja Francuska, z którą wiązano tak wielkie nadzieje, skończyła się wielkim rozczarowaniem, rewolucja przemysłowa zaś, szła jak taran „miażdżąc twarze ubogich”[60]. W konsekwencji, zaczęto odczuwać potrzebę wytworzenia filozofii głębszej, niż ta, której dostarczały naczelne tendencje epoki – i nie pozostawało to bez związku z wpływem

60 Aluzja do Księgi Izajasza, 3,15; w obecnym tłumaczeniu polskim ten fragment się wygładza.

literackim Sir Waltera Scotta, absolutnego pioniera nowej fascynacji wiekami średnimi. W ciągu półwieku, Szkocja przeszła transformację, która w Anglii zajęła kilkaset lat; ostateczna klęska wodzów klanowych (podczas powstania w 1745) przypieczętowała zmiany, i zaraz po niej kapitalizm rozlał się w społeczeństwie szerokim strumieniem. Scott na własne oczy ujrzał zmierzch resztek średniowiecznego dziedzictwa, i starał się zachować w prozie i poezji jakieś wspomnienie po życiu, które się wtedy kończyło. O jego wpływie na epokę, Newman pisze w swojej *Apologii* tak: „Popularność swoją zawdzięczał przede wszystkim pragnieniu głębi, pragnieniu czegoś bardziej fascynującego, niż to, co oferowała ówczesna kultura; i tak też, korzystając ze swej popularności, oddawał czytelnikom ile tylko mógł, zaspokajając głód ich intelektu, podtrzymując nadzieję, roztaczając przed nimi wizje, których – gdy się je raz ujrzy – nie da się łatwo zapomnieć, i niepostrzeżenie wpajając im szlachetniejsze ideały życia i myśli, do których potem powracać mogli jako do pierwszych zasad”.

Współcześnie do Scotta działali Coleridge, Southey i Wordsworth, z których każdy, na swój własny sposób, zwracał serca i umysły swoich czytelników w tę samą stronę. Impuls pierwotny stanowiło tutaj rozczarowanie Rewolucją Francuską, oraz żywa nienawiść industrializmu i pseudoklasycyzmu wieku osiemnastego. Rolę *spiritus movens* odgrywał Coleridge, który zetknął się podczas podróży po Niemczech z ruchem romantycznym. Choć nie zostawił żadnego systematycznego wykładu swoich poglądów, w znacznej mierze złożonych z religijno-filozoficznych aforyzmów, jego osobista siła oddziaływania była ogromna. Był na pewno najbardziej błyskotliwym polemistą swojej epoki; i po roku 1820 – roku, w którym, co warto zauważyć, komunizm Owena i ogólnie myśl antykapitalistyczna w ekonomii zaczęły

znajdować coraz większe grono zwolenników – młode pokolenie zaczęło szukać w nim nauczyciela i przewodnika. Newman, Disraeli, Maurice, Kingsley[61] i Ruskin, między innymi, znajdowali się – pośrednio lub bezpośrednio – w orbicie jego wpływów. Ta inspiracja okazała się dla epoki brzemienna w skutkach. Ogólna tendencja anty-indywidualistyczna, skłaniająca ludzi do spoglądania w przeszłość, do szukania wzorców w czasach, gdy społeczeństwo naturalnie organizowało się w korporacje mające wobec swych członków określone obowiązki, skrystalizowała się ostatecznie w trzech zasadniczych ruchach – tzw. ruchu oksfordzkim w łonie Kościoła Anglii, prerafaelityzmie w dziedzinie malarstwa, i neogotyku w architekturze. Te trzy ruchy, choć różne od siebie co do celów i – przede wszystkim – najważniejszych przedstawicieli, były ze sobą mimo wszystko ściśle związane. Wszystkie szukały natchnienia w kulturze średniowiecza. Do tych trzech ruchów dodać należy jeszcze Ruch Sztuk i Rzemiosł oraz gildyzm, które – choć zaczęły istnieć dopiero w naszych czasach – stanowią kontynuację tej samej tradycji.

Sprawą niezwykłej wagi jest, by ta historia była powszechnie znana. Bo prowadząc naszą ofensywę przeciw maszynizmowi i podpodziałowi pracy, świadomi jesteśmy nie tylko tego, że udało się już przełamać prawie

---

61 Karol Kingsley (1819-75) – duchowny anglikański, powieściopisarz, działacz społeczny; przyjaciel sprawy robotniczej i Karola Darwina. Fryderyk Maurice (1805-72) – duchowny anglikański, teolog, jeden z głównych myślicieli nurtu socjalizmu chrześcijańskiego. Beniamin Disraeli (1804-1881) – angielski polityk konserwatywny pochodzenia żydowskiego, długoletni przewodniczący partii i premier WB. W polityce imperialista. Był także pisarzem.

wszystkie linie obrony istniejącego systemu, ale i że pracowali nad tym przez sto lat inni ludzie, których wielki wysiłek podejmujemy i usiłujemy doprowadzić do logicznego zwieńczenia. Wiemy zatem, i ta wiedza nas wzmacnia, że stanowimy część wspaniałej tradycji – tradycji, z której wywodzi się wszystko, co dzisiaj żywe i zdrowe. Bo wywarła ona ożywczy wpływ tak na religię, jak sztukę i ekonomię; i jeśli dzisiaj, wiek później, starania te wciąż nie wydały owocu, to nie ze względu na błędy tych, którzy nas poprzedzili, ale tylko dlatego, że moment jeszcze nie nadszedł, i twierdza nieprzyjaciela wciąż trzyma się mocno. Ale aby szturm na nią w ogóle stał się możliwy, trzeba było mnóstwa pracy; trzeba było kopać tunele, i drzewo po drzewie karczować otaczające ją lasy. Dziś, gdy wszystko to wykonano, zostaje ledwie jedna rzecz – zaatakować wreszcie, i zdusić, niekontrolowany maszynizm oraz system podpodziału pracy, największe zło naszej epoki, wiodące cywilizację Europy wprost ku przepaści.

## KONIEC